

M.L. LONGWORTH

TAJEMNICE

BASTIDE BLANCHE



Głos Longworth jest jak wykwintny rocznik
musującej Dorothy Sayers i dojrzałej Donny Leon.

— Booklist

M. L. Longworth

Verlaque
i Bonnet na tropie

Tom 7

Tajemnica Bastide Blanche

Przekład:

Małgorzata Trzebiatowska



Sopot 2022

Tytuł oryginału: *The Secrets of The Bastide Blanche*

Copyright © Mary Lou Longworth, 2018.

Published by arrangement with Macadamia Literary Agency and Curtis Brown, Ltd.

All rights reserved. The moral rights of the author have been asserted.

Copyright © 2022 for the Polish edition by Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Trzebiatowska

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska

Redakcja i korekta: Anna Mackiewicz

Skład: Piotr Geisler

Projekt okładki: Agnieszka Karmolińska

Druk: Drukarnia Abedik

Konwersja do EPUB/MOBI:

<http://www.epubio.pl>

<https://www.facebook.com/epubio>

kontakt@epubio.pl

ISBN: 978-83-66420-84-7

Wydawnictwo Smak Słowa

ul. Bohaterów Monte Cassino 6A

81-805 Sopot

tel. 507-032519

Zapraszamy do księgarni internetowej wydawnictwa



www.smakslowa.pl



Spis treści

1. Nowy Jork, 22 września 2010
2. Nowy Jork, 22 września 2010. Valère rozpoczyna swoją opowieść
3. Aix-en-Provence, niedziela 4 lipca 2010
4. Aix-en-Provence, poniedziałek 5 lipca 2010
5. Nowy Jork, 22 września 2010
6. Nowy Jork, 22 września 2010
7. Aix-en-Provence, poniedziałek 5 lipca 2010
8. Nowy Jork, 22 września 2010
9. Aix-en-Provence, wtorek 6 lipca 2010
10. Nowy Jork, 22 września 2010
11. Aix-en-Provence, środa 7 lipca 2010
12. Nowy Jork, 22 września 2010
13. Aix-en-Provence, czwartek 8 lipca 2010
14. Aix-en-Provence, czwartek 8 lipca 2010
15. Nowy Jork, 22 września 2010
16. Paryż, piątek 9 lipca 2010
17. Nowy Jork, 22 września 2010
18. Aix-en-Provence, sobota 10 lipca 2010
19. Nowy Jork, 22 września 2010
20. Aix-en-Provence, sobota 10 lipca 2010
21. Nowy Jork, 22 września 2010
22. Aix-en-Provence, niedziela 11 lipca 2010
23. Aix-en-Provence, niedziela 11 lipca 2010
24. Aix-en-Provence, niedziela 11 lipca 2010
25. Nowy Jork, 22 września 2010
26. Paryż i Aix-en-Provence, poniedziałek 12 lipca 2010
27. Aix-en-Provence, poniedziałek 12 lipca 2010
28. Aix-en-Provence, wtorek 13 lipca 2010
29. Nowy Jork, 23 września 2010
30. Aix-en-Provence, wtorek 13, środa 14 lipca 2010
31. Aix-en-Provence, środa 21 lipca 2010
32. Nowy Jork, 23 września 2010



Dla Kathy, Bev and Sue

*Je te tiens, tu me tiens, par la barbichette;
le premier de nous deux qui rira aura une tapette!*

(Ja trzymam ciebie, ty trzymasz mnie za brodę;
kto pierwszy się roześmieje, dostanie w policzek!)

- Piosenka z francuskiej zabawy dziecięcej, w której dwoje
dzieci stoi naprzeciwko siebie, trzymając się nawzajem za
brody, i śpiewa te słowa.

*Gdy noc swą ciszę w tajne zmienia dźwięki.*¹

- Percy Bysshe Shelley, *Alastor, czyli duch samotności*

Przypisy:

¹ Percy Bysshe Shelley, *Poeci angielscy. Wybór poezji*, przeł. Jan Kasprowicz, Lwów 1907, s. 201.

1

Nowy Jork, 22 września 2010

Justin Wong dorastał w Nowym Jorku, ale nigdy dotąd nie przemierzał ulic tego miasta tak szybko ani tak zdecydowanie, jak tego popołudnia. Czuł się tak, jakby potrafił latać. Minęło dopiero siedem lat, od kiedy ukończył wydział nauk humanistycznych na nowojorskim uniwersytecie, i oto znalazł się tutaj, pracował w dużym domu wydawniczym – co z tego, że na poślednim stanowisku zastępcy redaktora – i właśnie miał się spotkać z jednym z najsłynniejszych pisarzy na świecie. Laureatem Nagrody Goncourtów z 1982 roku. Kawalerem Orderu Francuskiej Legii Honorowej z 1986 roku. Nominowanym do Nagrody Nobla w 1987. Z milionami sprzedanych książek, tłumaczonych na czterdzieści dwa języki. Justin zatrzymał się, by złapać oddech. Oparł ręce na biodrach i lekko się pochylił.

- Nie spieprz tego – powiedział do siebie. – Musisz jeszcze dzisiaj doprowadzić do tej umowy. Może wtedy mama i tata wybaczą ci, że nie studiowałeś medycyny.

Wyprostował się i spojrzął na swoje odbicie w designerskim oknie wystawowym. Średniego wzrostu, szczupły, z kruczoczarnymi, świeżo przyciętymi włosami, w nowych ubraniach, kupionych specjalnie na ten wieczór. Spodnie typu chinos, biała, wyprasowana koszula i dla dodatkowego efektu kamizelka w niebiesko-zieloną kratę oraz niebieskie półbuty,

które, choć z wyprzedzący, przekroczyły jego budżet. Jest gotowy.

Skręcił przy Flatiron i zwolnił, zbliżając się do Est Twentieth Street. Dobrze znał tę okolicę – z kilkoma kumplami chadzał tu kiedyś do taniego klubu jazzowego. Nie tylko szef Justina, ale także jego wydawczynie spotkali się z nim, by zdecydować o miejscu dzisiejszego wydarzenia. Wybrali restaurację słynącą nie tylko z menu, ale też z bogatej piwnicy francuskich win. Pisarz był znany ze swej miłości do wina i cygar. Justin lubił i jedno, i drugie, ale to nie dlatego został wybrany na to spotkanie. Zamiast niego chętnie wziąłby w nim udział redaktor naczelny albo wydawczynie. Justina wytypował sam wielki pisarz – jego prawnik napisał do Nowego Jorku list na bardzo staroświeckim, wyłaczanym papierze firmowym. Justin szedł teraz wolno – miał jeszcze sporo czasu – z szerokim uśmiechem, który pojawił się na jego twarzy, kiedy po raz tysięczny przypomniał sobie fragment listu: „Mój klient, Valère Barbier, chciałby się spotkać z panem Justinem Wongiem, pracownikiem Państwa szacownego domu wydawniczego. M. Barbier przyjedzie do Nowego Jorku na trzy dni w sierpniu. *Merci beaucoup*. Maître Guillaume Matton, 15 Avenue Hoche, 75008, Paryż”.

Ten list zaskoczył Justina tak samo, jak wydawczynię, która natychmiast wezwała go do swojego gabinetu na jedenastym piętrze. Spotkali się wówczas po raz pierwszy, gdyż wydawnictwo zatrudniało bardzo wiele osób.

– Czy dzwonił pan do prawnika Barbiera, niejakiego Maître Mattona? – wykrzyczała, przemierzając pokój. – Skąd znał pańskie nazwisko? Nie można tak po prostu kontaktować się ze światowej klasy autorem bez pozwolenia szefowej!

Jej twarz poczerwieniała, osiągając prawie taką samą barwę, jak żakiet od Chanel, który miała na sobie. Justin wpatrywał się w podłogę, skrywając szeroki uśmiech. Zawsze się śmiał, kiedy

był przerażony. Usiadł na skórzanym krześle i oparł spocone dłonie na udach. Musiało istnieć jakieś wytłumaczenie. „Pomyśl”. Co mogło go łączyć z tym francuskim pisarzem? Przez rok studiował na Uniwersytecie Nowojorskim w Paryżu, ale wtedy w ogóle nie czytał dzieł Valère’a Barbiera. Był zbyt zajęty uganianiem się za francuskimi dziewczętami. Poza tym Barbier w tamtym czasie zmienił swój rodzaj pisarstwa, czym doprowadził do furii krytyków, ale zyskał jeszcze więcej czytelników.

Clothilde uznała to niegdyś za doskonały żart. „To bardzo do nas pasuje!” – Śmiała się znad szklanki z piwem w Dzielnicy Łacińskiej. „My, Francuzi, jesteśmy takimi snobami! A Valère Barbier rzuca nam to w nasze galijskie twarze!” – Wyciągnęła rękę i pogłaskała Justina po policzku. Pamiętał to bardzo dobrze. „Jesteś takim uroczym nowojorczykiem!” – stwierdziła. „Tak uroczym, że zamierzam zabrać cię dziś wieczorem do mojego mieszkania!”

- Clothilde - powiedział na głos.

- Co? - zapytała wydawczyni. - Kim jest Clothilde?

- To Francuzka, którą spotkałem, kiedy studiowałem w Paryżu - zaczął wyjaśniać Justin. To jedyna nić wiążąca go z pisarzem, jaka przyszła mu do głowy. - Pisała pracę magisterską o Barbierze.

- I co z tego? - naskoczyła na niego. - Wielu ludzi o nim pisało - przynajmniej do czasu, gdy zboczył ze swojej wybranej ścieżki.

- Clothilde spotykała się z nim i wykonywała dla niego różne prace sekretarskie. Kilka dni temu wysłała mi dziwnego maila. Nie rozumiałem...

- Proszę mi go przeczytać.

Justin wyjął telefon komórkowy i przewijał wiadomości w dół, aż znalazł tę właściwą. Zaczął czytać, omijając seksualne aluzje na początku tekstu. „Justin, *chérie*, wkrótce będziesz

musiał odświeżyć swoją wiedzę na temat francuskich win. Od tego może zależeć twoja kariera. *Bisous!*”

Wydawczyni zatrzymała się na środku pokoju.

- To cały Barbier. Kiedyś przepytował trzech wydawców z wiedzy o winach, zanim zdecydował się podjąć z którymś współpracę. - Spojrzała na swojego młodego redaktora. - Zna się pan na francuskich winach? Ja nie piję.

Justin skinął głową.

Zerknęła na zegarek.

- W Paryżu jest teraz wieczór. Niech pan napisze do tej Clothilde esemesa albo maila. Proszę zapytać, co się dzieje.

Justin przejrzał listę kontaktów i ze zdumieniem stwierdził, że zachował numer komórki Clothilde. Wysłał jej esemesa i kiedy czekali na odpowiedź, przejrzał swoją stronę facebookową i upewnił się, że jego przyjaciółka wciąż widnieje na liście znajomych. Mogła więc bez trudu sprawdzić jego status zawodowy. Podobnie jak on, rzadko zamieszczała zdjęcia czy wiadomości, ale odczytał jej ostatnie wpisy. Pracowała teraz w Canal Plus, jednym z dużych, francuskich producentów telewizyjnych i filmowych. Zupełnie go to nie zaskoczyło.

Po kilku minutach jego telefon zabrzączał. Wydawczyni odwróciła się od okna, przez które patrzyła na rzekę Hudson. Justin przeczytał esemesa od Clothilde, ponownie omijając treści erotyczne. „*Chér Justin, nadal jestem w kontakcie z Valère'em Barbierem. Któregoś dnia wpadłam na niego w pracy i wypiliśmy kilka mojito. Wyobraź sobie! Mojito z Barbierem! Brzmi jak tytuł filmu, n'est-ce pas? Powiedział mi, że jest niezadowolony ze swojego wydawcy - waszej poważnej konkurencji - i przekazałam mu twoje nazwisko. Chce napisać kolejną książkę - autobiografię! Voilà! Powiedziałam mu, że kochasz Francję*”. Justin przerwał i powiedział:

- To prawda... i kocham jego nowe książki. - Spojrzał na wydawczynię i potrząsnął głową, krzywiąc się. Cicho przeczytał

resztę wiadomości: „*La vie est belle. Ciao, kochanie! Trop cuuute!*”

Tymczasem wydawczyni usiadła i skrzyżowała ręce na biurku.

- No cóż, kłamka zapadła - powiedziała. - Kto by się spierał z Wielkim Człowiekiem?

Ku jego wielkiej radości zgodziła się, by to on rozmawiał z Barbierem. Wstał, uścisnął jej dłoń i podziękował. Odwzajemniła uścisk i uśmiechnęła się.

- Na studiach licencjackich byłam taka głupia. - Justin spojrział na nią zdumiony. - Też studiowałam przez rok w Paryżu, ale nie miałam żadnej przygody miłosnej.

Kiedy Justin doszedł do restauracji, wciąż szeroko się uśmiechał. Spojrział na zegarek - był dziesięć minut przed czasem. Otworzył ciężkie, szklane drzwi i wszedł do środka. Szefowa zamówiła najspokojniejszy stolik. Przedstawił się hostessie i podążył za jej długimi nogami przez prawie pustą salę do stolika w przytulnej niszy. Ściany zostały tu pomalowane na złotawy odcień, lampy rzucały przyćmione światło, a w ciągnących się od podłogi do sufitu drewnianych wnękach dumnie prezentowały się niezliczone butelki wina. Justin był zaskoczony, ponieważ w sali nie czuł klimatyzacji. Być może jednak stały tam tanie wina albo takie, które się szybko sprzedawały.

- Jeśli potrzebuje pan więcej prywatności, mamy tu zasłonę - powiedziała hostessa, lekko pociągając aksamitne beżowe kotary po obu stronach wejścia do niszy.

- Dziękuję - odparł Justin. - Pozostawmy je rozsunięte, dopóki przyjdzie mój, hm, znajomy. - Justin prawie nazwał Valère'a Barbiera swoim przyjacielem. Za duży wpływ nadaktywnej Clothilde. *Trop cuuute!* To raczej starszy człowiek. Po sześćdziesiątce. Z gęstymi, siwymi włosami i francuskim akcentem.

Hostessa skinęła głową.

- Czy ma pan ochotę na drinka w oczekiwaniu na spotkanie?

- Poproszę wodę. - Justin zakasłał, zdając sobie sprawę, jak bardzo jest zdenerwowany. - Gazowaną. - „Mógłbym równie dobrze zamówić wszystko” - pomyślał. „To moja pierwsza kolacja na koszt firmy”.

- Zapomnij o wodzie gazowanej - zza hostessy rozległy się słowa wypowiedziane z francuskim akcentem. - Proszę o dwa kieliszki waszego szampana.

Justin szybko wstał, a hostessa chłodno skinęła głową w kierunku Francuza i odeszła.

- Tutejszy szampan będzie dobry, *non?* - zapytał Valère doskonałym angielskim, choć z intonacją zdradzającą jego narodowość.

- *Oui* - odparł Justin, znowu pokaszując. - *Il est très bon.*

- Możemy rozmawiać po angielsku - rzekł Barbier. - Mieszkałem w Nowym Jorku przez pięć lat, by uciec przed francuską prasą po mojej niesławnej zmianie gatunków. - Uśmiechnął się. - Skąd wiesz, że domowy szampan jest dobry?

- Przed przyjściem tutaj sprawdziłem listę win. To Drappier.

- Wspaniale! - powiedział Valère. - Odrobiłeś... *devoirs!*

- Pracę domową. Tak, mam nadzieję. Proszę usiąść.

Valère Barbier usiadł naprzeciwko redaktora. Zaskoczyło go, że był taki młody, ale Clothilde powiedziała, że Justin Wong jest jej przyjacielem, więc oczywiście musieli być mniej więcej w tym samym wieku. Tuż przed trzydziestką. Valère zdał sobie sprawę, że on sam dużo osiągnął do tego wieku.

- Lubię ludzi po osiemdziesiątce i przed trzydziestką. Jedna z moich najlepszych przyjaciółek w Aix-en-Provence ma jedenaście lat. Lata pomiędzy są pełne *la merde!* Ile masz lat?

- Dwadzieścia dziewięć - odrzekł Justin. - Za rok zamienię się w *une merde.*

Valère klepnął w stół.

- *Enorme! Quel garçon!*

Justin uśmiechnął się, zastanawiając się, czy Barbier pił, zanim tu przyszedł. Ale tak naprawdę nie miało to znaczenia. Hostessa wróciła z dwoma kieliszkami szampana. Valère szybko zdjął je z tacy.

- *Merci beaucoup!*

- Którą z moich książek lubisz najbardziej? - zapytał Valère, podnosząc swój kieliszek i mocno stukając w kieliszek Justina. - *Santè!*

- No cóż - zaczął Justin. - Kiedy dowiedziałem się, że się spotkamy, zacząłem czytać *Mężczyznę honoru*.

Valère pochylił się do przodu.

- I skończyłeś?

- Jestem w środku.

- *Enorme, ce garçon*. Nie skłamiesz i nie powiesz, że uwielbiasz wszystkie moje książki?

- Nie.

Valère upił duży łyk szampana.

- Więc dlaczego zacząłeś od tej książki?

- Napisał ją pan jako pierwszą, i to będąc w moim wieku. W wieku dwudziestu dziewięciu lat. Zanim...

- Zanim stałem się dupkiem! - zawołał Valère.

Justin uśmiechnął się z zakłopotaniem, nie tak zamierzał zakończyć zdanie.

- Przystąpmy do rzeczy.

- *Négociations? Déjà?*

Justin roześmiał się.

- Nie, M. Barbier. Spójrzmy na dzisiejsze menu i na listę win.

* * *

Justin starał się nie spierać za nadto o wina. Był tutaj, by przygotować grunt pod umowę z Valère'em Barbierem, a nie popisywać się swoją wiedzą. Poprosił o listę win domu, a nie o imponująco długą listę win ekskluzywnych, nie chcąc wydać całych pieniędzy wydawnictwa. Tak został wychowany. Uważał też, że w dobrej restauracji z pewnością znajdzie się wspaniałe wino w rozsądnej cenie. Podzielił się tą myślą z Barbierem, który zgodził się z nim bez wahania. Pisarz w skrytości ducha pomyślał, że każdy inny redaktor zdecydowałby się na wina ekskluzywne. Ostatecznie wybrali kilkuletniego burgunda z Puligny-Montrachet.

- Popisujemy się - stwierdził Valère. - Chociaż cena jest dobra.

- Wiem - zgodził się Justin. - Ale nigdy tego wina nie piłem.

Valère roześmiał się. Wszedł młody kelner z piegami i ciemnymi, rudymi włosami i zapowiedział przystawki:

- Krab peekytoe w zwoju z ogórka. - Umieścił dania przed każdym z gości. - Oraz zupa z wędzonej ryby, a także sorbet z żółtego pomidora z balsamicznym sosem winegret.

- *Merci* - podziękował Valère, kiedy kelner odchodził. Pochylił się do Justina i zapytał:

- Co to jest krab peekytoe?

- To ostatni krzyk mody w Nowym Jorku. To po prostu krab atlantycki, którego nogi zaginają się do środka.

Valère uniósł brew i powiedział:

- Wydaje się, że sporo wiesz o jedzeniu i winie. Kiedy byłem w twoim wieku, moje książki już się sprzedawały, ale wciąż liczyłem moje *centimes*.

Justin uśmiechnął się.

- Lubię czytać czasopisma kulinarne. Ale zawsze z pełnym żołądkiem.

Valère roześmiał się, wybrał łyżkę i zanurzył ją w sorbecie pomidorowym.

- *Bon appétit.*

- Nawzajem - rzekł Justin. - Podoba mi się ten sorbet. Wygląda jak żółtko jaja.

- Dokładnie to samo pomyślałem - odparł Valère. - Równie dobrze mogłoby to być zabajone. Bardzo pomysłowe...

Justin skończył jeść i spojrzał na Barbiera.

- Dużo czytałem o pańskim życiu i mam kilka pytań.

Valère odłożył sztucce i popatrzył na młodego człowieka.

- Pytaj, proszę.

Justin zauważył, że coś się w oczach pisarza zmieniło. Do tej pory był bon vivantem, człowiekiem pozbawionym trosk. Nagle wydał się starszy i bardziej melancholijny. Jego duże, brązowe oczy zwęziły się, a na czole pojawiło się kilka zmarszczek.

- To *château*, które kupił pan w Aix-en-Provence... - zaczął Justin.

- *Bastide* - poprawił go Valère. - La Bastide Blanche.

- Właśnie. Czytałem kilka artykułów o pożarze i o wszystkim, co się stało tamtego lata. To stało się moją obsesją.

- Powiedz mi, co wiesz.

- No cóż, kiedy *bastide* się spalił, bez obrazy, ale niektórzy ludzie oskarżali pana - choć nic nie zostało udowodnione.

- Tak, to prawda.

- Ale był pan tam, kiedy to się stało.

Valère skinął głową i zaczął jeść.

- Niewiele pamiętam z tamtej nocy. Mówiono mi, że krzyczałem coś o Agathe...

- Pańskiej zmarłej żonie.

- Zgadza się - odparł Valère. - Był czas, gdy Agathe była bardziej sławna niż ja. Ale dość krótko. Czy coś o niej wiesz?

- No cóż - zaczął Justin. - Wiem, że była artystką, że długo byliście małżeństwem i że zmarła w 1988 roku. - Justin oparł się pokusie, by dodać „w tajemniczych okolicznościach”.

Valère uśmiechnął się i podniósł swój kieliszek.

- Wierzysz w duchy, Justinie?

„Czy Barbier mówi o Agathe?” - Justin oparł brodę na złożonych rękach i starał się wymyślić uczciwą odpowiedź, która jednocześnie skłoniłaby Barbiera do mówienia. Przypomniawszy sobie, że w noc pożaru Barbier twierdził, iż jego dom jest nawiedzony.

- Tak, wierzę - odparł. - Wierzę, że zmarli kręcą się nocami po starych budynkach, bo myślą, że wciąż tam mieszkają. Kiedy byłem w szkole średniej, musieliśmy nauczyć się na pamięć wiersza. Wybrałem Shelleya. Teraz pamiętam tylko „Gdy noc swą ciszę w tajne zmienia dźwięki”.

- „W tajne zmienia dźwięki”... Nie mogłem spać w La Bastide - powiedział Valère, wzdychając. - To był czas ich aktywności.

- Czas ich aktywności? - zapytał Justin.

- To długa historia - odparł Valère, dopijając szampana. - Ale mamy cały wieczór. Jeżeli mam napisać ostatnią książkę, to mój potencjalny wydawca musi wysłuchać mojej historii i w nią uwierzyć. Jesteś na to gotowy?

- *Oui, monsieur.*

2

Nowy Jork, 22 września 2010. Valère rozpoczyna swoją opowieść

Jak wskazuje sama nazwa, La Bastide Blanche miała tynkowaną fasadę malowaną na biało, ale popękaną, z farbą odchodzącą od ścian. Dom był dokładnie symetryczny, tak jak zazwyczaj *bastides* – w środku znajdowały się drewniane drzwi frontowe, szerokie prawie na metr i flankowane z każdej strony dwoma wysokimi oknami. Okna ponad nimi miały identyczny rozkład, a nad wejściem mieścił się portfenetr. W jego balustradę, wykonaną z kutego żelaza, wpisana była duża litera B. Na drugim piętrze, nie tak wysokim jak pozostałe kondygnacje, umieszczono pięć eliptycznych, poziomych okien. Dach z czerwonej dachówki – obowiązkowy w Prowansji – tworzył patchwork z nowych i starych dachówek w różnych odcieniach czerwieni, pomarańcza, a nawet żółci, wymienianych przez stulecia. Wyobrażałem sobie, że kiedyś w przyszłości zmienię sypiący się tynk na elewacjach i pomaluję je na żółto, a czerwone i już spłowiałe okiennice zyskają oliwkowozieloną barwę.

Kiedy ostatniej zimy kupiłem La Bastide Blanche, byłem przygotowany na gorące i suche prowansalskie lata.

Wystarczająco często spędzaliśmy wakacje na Południu, bym zapamiętał wczesnoranny rytuał zamykania okiennic w każdym pokoju i otwierania ich późnym wieczorem. Agathe upierała się, by w domach, które wynajmowaliśmy, wykonać nasz obowiązek jeszcze przed siódmą. Jestem z natury leniwy i uwielbiam długo spać. Bardzo lubię ją taką wspominać: kiedy stoi przy naszym łóżku, z rękoma na biodrach i mówi mi, że czas wstawać. „*Les volets! Les fenêtres!*” – wołała, po czym sięgała pod bawełnianą pościel i łaskotała mnie w palce u nóg. Usiłowałem protestować: „*Je suis en vacances!*” i naciągałem na siebie kołdrę. Ale prawda jest taka, że Agathe zawsze była bardziej pracowita niż ja. I silniejsza fizycznie. Pracowała jako garncarka, choć powinienem raczej powiedzieć *ceramist*. Ale ty to wiesz.

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień z La Bastide Blanche pochodzi z piątego lipca – kiedy zaczęły się wszystkie problemy. Otworzyłem okna, potem okiennice i wrzasnąłem: „Przestańcie!”. Pamiętałem upały, ale zapomniałem o *cigales*. Wydajesz się zaskoczony. To po francusku cykady. Była dziewiąta rano, a one już śpiewały. Podszedłem do jednego z wielkich okien sypialni, otworzyłem je, a potem rozsunąłem wiekowe okiennice. Jeszcze więcej *cigales* włączyło się do chóru, ich pieśń rozbrzmiewała głośniejsz niż tuzin paryskich alarmów samochodowych lub tysiące małych pił łańcuchowych. Dla większego efektu krzyknąłem jeszcze raz: „Powiedziałem przestańcie!” i zamknąłem okiennice, a potem ze złością zatrzaskałem jednoszybowe okna. Czulem, jakby Agathe mnie obserwowała, niezadowolona z tego, że już tak późno. Przebiegłem po wykładanej płytami posadzce, której chłód czulem na podeszwach stóp, i zamknąłem dwa okna wychodzące na południe.

Kiedy spędzałem wakacje w Prowansji, *cigales* wydawały mi się urocze – stanowiły symbol Południa, lata, przyjaciół

i różowego wina, niekończących się lunchów, sjest, aperitifów i kolacji. Byliśmy wtedy na wakacjach, nie musieliśmy nic robić. Tamtej nocy pracowałem do trzeciej i zasnąłem około czwartej.

Ale to nie był spokojny sen. Wróć do tego później.

Zanim zamknąłem ostatnią okiennicę, spojrzałem na krajobraz i starałem się przypomnieć sobie, dlaczego kupiłem ten wielki dom. Tuż poniżej ogrodu znajdował się wysypany żwirem taras, który zagospodarowałem meblami kupionymi od pretensjonalnego marszanda w L'Isle-sur-la-Sorgue. Wokół tarasu rósł rząd lawendy, która w czasie, gdy zaczyna się moja opowieść, była w pełnym rozkwicie. Poniżej rozciągał się srebrnozielony sad oliwny, który zamierzałem sam uprawiać. Czy zbieranie oliwek każdej zimy mogło być trudne? Za oknami roztaczały się też winnice, których część należała do mnie, a reszta do mojego sąsiada. Jego wiejski dom, zbudowany ze złotawego kamienia, widniał na krańcu rzędu winorośli i pysznił się świeżo pomalowanymi okiennicami. Niedaleko leżała wioska Puyloubier, od stuleci usadowiona bezpiecznie na białych skałach. W *bastide* podobało mi się także to, że od Aix dzieliło go piętnaście minut jazdy samochodem. Nie znam wielu miast tak niedużych jak Aix - ile ono ma mieszkańców, sto pięćdziesiąt tysięcy? - które mogą się z nim równać urodą i spokojem. Ale jak na ironię tamtego lata prawie w nim nie bywałem.

Starannie posłałem łóżko, opierając się pokusie, by znów się do niego wsunąć. Kiedy rozejrzałem się po przestronnym pokoju, dostrzegłem ogrom pracy, jaka mnie czekała. Pod ścianami stały kartonowe pudła, czekające na rozpakowanie. Przeważnie książki. Rozmaitej wielkości walizki z czasów, kiedy podróżowaliśmy. Oczywiście, można je wynieść do budynku gospodarczego albo na strych. Moje ubrania były upchnięte pod łóżkiem w bezładną stertę. Podniosłem je i wrzuciłem do

wiklinowego kosza na brudną bieliznę po drugiej stronie pokoju.

Wtedy sobie przypomniałem, że na popołudnie zaprosiłem sąsiadów na herbatę, co było dla mnie bardzo nietypowe. Spotkałem ich poprzedniego dnia na skraju podjazdu – nasze skrzynki na listy stały obok siebie. Wiedziałem, że Hélène wytwarza wino – widywałem jej zdjęcia w czasopismach winiarskich. Jej mąż ze swoją słuszną postawą i łysą głową wyglądał na brutala, ale temu wrażeniu przeczyły brązowe szczenięce oczy z ciemnymi, długimi rzęsami. Ich córka, na oko dziesięcioletnia, była po prostu czarująca. Zaprosiłem ich pod wpływem chwili właśnie ze względu na nią. Dzieci nigdy specjalnie mnie nie interesowały. I kiedy z Agathe dowiedzieliśmy się, że – przepaszam za wyrażenie – strzelam ślepakami, nie przejęła się tym. Miała już syna, tego niedojdę, który pojawi się w dalszej części mojej opowieści. Ale ta dziewczynka, Léa, była wyjątkowa.

Producentka win, Hélène, najwyraźniej była przejęta, kiedy podawaliśmy sobie dłonie – ale jestem do tego przyzwyczajony. Jej mąż udawał obojętność, jednak i z tym już się wiele razy spotkałem. Ich córka wyskoczyła z samochodu, by popatrzeć na winogrona zwieszające się grubymi kiśćmi ze starych, gruzłowatych gałęzi. Nie zwróciła uwagi ani na mnie, ani na nieznośny skwar.

- Léa, chodź i przywitaj się z naszym nowym sąsiadem – powiedziała Hélène, wzięła córkę za rękę i razem podeszły do mnie. Dziewczynka uśmiechnęła się, a ja się pochyliłem, by mogła złożyć *bise* na moich policzkach.

- Bardzo mi miło pana poznać – powiedziała. - Ładnie tu, prawda?

- Przepięknie – odparłem. Gdy jej pulchny policzek znalazł się blisko mojej twarzy, poczułem świeże powietrze, kurz i coś jeszcze. Jabłka.

- Winogrona są zielone, ale wkrótce się zaczerwienią - mówiła dalej. - Zobacz pan.

- Zapraszam na herbatę - odezwałem się, zanim zdążyłem się zastanowić, czy nie zmienić zdania. Mieszkałem w moim nowym domu już prawie tydzień i czułem się samotny. - Jutro po południu, około szesnastej. Nie mam jeszcze elektryczności, ale jest kuchenka gazowa, więc mogę przynajmniej zagotować wodę.

- Dziękujemy panu. Przyniosę ciasto - zaoferowała Hélène. - *Boulangerie* w wiosce jest całkiem dobra i pieką tam kilka rodzajów ciasta. Mamy szczęście.

Wielki facet uśmiechnął się i objął żonę ramieniem.

- A więc do jutra - powiedziałem. Szarpałem się z moimi listami, usiłując wyjąć je jak najszybciej. Hélène i jej mąż udawali, że tego nie zauważają, ale Léa mnie obserwowała. Dostrzegła moje zakłopotanie. Od śmierci Agathe trudno mi było patrzeć na szczęśliwe pary.

Zatem tamtego ranka, kiedy schodziłem do kuchni szerokimi, kamiennymi schodami, wciąż w piżamie, powiedziałem głośno, do nikogo:

- Co za śmieszny, dziwny dom.

Pochodzące z połowy XVIII wieku freski nad schodami wymagały odnowienia. Wpatrywały się z nich we mnie dwie damy w białych perukach, a także trzej dżentelmeni, którzy udawali, że rozsuwają ciężką, czerwoną, aksamitną zasłonę, tak jakby byli na scenie. Za nimi rozpościerał się prowansalski krajobraz, mniej więcej taki, jaki przed chwilą podziwiałem z okna sypialni. Malarz był amatorem: wysmukłe cyprysy na pierwszym planie miały tę samą wysokość, co szlachcianki i szlachcice, a budynki w oddali wyglądały bardziej jak weneckie niż francuskie. Ale namalowane postacie były urocze, zwłaszcza wysoka kobieta w bladoróżowych szyfonach

w centrum grupy, która sprawiała wrażenie, że zaraz wyskoczy z kamiennego balkonu wprost na moje schody.

Matton, mój prawnik, prawie zemdleł, gdy po raz pierwszy zobaczył nieostre zdjęcie *bastide* tuż przed rozpoczęciem aukcji. Powiedział:

- Jeśli ty tego nie kupisz, Barbier, ja to zrobię.

Matton jest moim prawnikiem od dziesięcioleci, ale zawsze zwracamy się do siebie po nazwisku, jak uczniaki. Dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę.

Zdjęcia z aukcji nie kłamały. Razem z domem kupowało się ścienne i sufitowe malowidła, liczące kilka wieków płytki podłogowe, okna z drobnym podziałem i marmurowe gzymsy nad kominkiem w każdym pokoju. Ale fotografie pokazywały też potłuczone szyby, rodzinę gołębi, która z dumą opanowała salon, oraz butelki po piwie i dziurę wypaloną w podłodze jadalni przez miejscowych nastolatków. Jeden z nich zaznaczył nawet swoją obecność na ścianie ze sztucznego marmuru: „*Dylan et Maéva toujours!*”

- Co za dziwaczne imiona - powiedziałem do Mattona.

Kiedy aukcja się skończyła - jakimś cudem przebiliśmy projektanta mody oraz chińskiego miliardera - Matton mi pogratulował, po czym pochylił się w moją stronę i szepnął:

- Nie martw się. Mam bratanicę, która mieszka niedaleko Puylobier i może posprzątać dom przed twoim przyjazdem. To prezent ode mnie.

„Prezent?” - pomyślałem. Maître Matton został sownie opłacony za to, że towarzyszył mi podczas aukcji, jego obecności wymagało francuskie prawo. Ale jednak to było coś. Przez wszystkie lata od kiedy go znałem, nigdy nie był szczodry. Kiedy się nad tym zastanowię, właśnie to zdecydowało, że wybrałem go na mojego prawnika.

Muszę przyznać, że jego bratanica wykonała kawał dobrej roboty. Zacząłem robić kawę. Na kuchennym blacie zostawiła

notkę, podpisaną Sandrine Matton. Pisała, że mam do niej zadzwonić, jeśli będę potrzebował jakiejkolwiek innej pomocy. „Wciąż jest dużo do zrobienia” – dodała i zostawiła swój numer telefonu. W tekście znalazł się jeden błąd ortograficzny, co nie zmienia faktu, że Sandrine była osobą dobrze zorganizowaną. Wiedziałem, że będę musiał do niej zadzwonić. Już wystarczająco długo mieszkalem wśród kartonowych pudeł, a że EDF² rzucało mi kłody pod nogi z powodu przedpotopowej instalacji, wciąż nie miałem elektryczności. Sandrine nawet wybrała się do Ikei, by kupić wszystkie niezbędne rzeczy, których, jak słusznie założyła, nie przywiozłem z Paryża: miotły i szufelki, sprzęt kuchenny, komplet bardzo porządnych białych talerzy i misek, ściereczki kuchenne, ręczniki kąpielowe i białą, lnianą pościel. „Stryjek Guillaume musiał dobrze ci zapłacić, i to z góry” – pomyślałem. Lniana pościel była kosztowna, nawet w Ikei. Spojrzałem na pudło po komplecie naczyń, które stało puste na podłodze. Wydrukowany czcionką blokową napis głosił: „Zestaw na początek”. Uśmiechnąłem się. Tak, w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat zaczynałem od nowa. Albo po prostu zaczynałem.

Niewiele zrobiłem tamtego ranka. Zadzwoniłem jedynie do Sandrine Matton i zostawiłem wiadomość z prośbą, by przyjechała najszybciej, jak może. Po kilku godzinach usłyszałem pukanie do drzwi i musiałem oprzytomnieć. Wcześniej zasnąłem na czarnym, skórzanym szezlongu Miesa van der Rohe. Kupiliśmy go z Agathe jako nowożeńcy, kiedy oboje pracowaliśmy na swoje nazwiska i uważaliśmy się za młodych, kulturalnych mieszkańców miasta. Niepewnym krokiem skierowałem się do drzwi i w holu zerknąłem do lustra ze złoconą ramą. Przyklepałem moje gęste, siwe włosy i energicznie potarłem twarz. W młodości szybko się opalałem i wtedy Agathe mawiała, że mam „surowy” wygląd. Teraz się nie opalam – lekarz mi zabronił.

Słyszałem, jak rozmawiają na progu.

- *Je suis ici!* - zawołałem, zadowolony, że przed moją nieplanowaną sjestą przebrałem się w czystą, białą koszulę i lniane spodnie. Otworzyłem połowę drewnianych drzwi i hol wypełnił się odgłosami *cigales*. - Wejdźcie, proszę - powiedziałem, gestem pokazując im drogę. - Schrońmy się przed tymi hałaśliwymi insektami.

Zauważyłem, że Héléne trzyma w rękach pudełko i przypomniałem sobie o jej obietnicy.

- Dziękuję za ciasto, pani Héléne - odezwałem się.

- Jeżeli to nieodpowiedna pora... - rzekł jej mąż. Dostrzegłem wyraz jego twarzy - nie chciał tu być, miał nadzieję, że zapomniałem o tej wizycie.

- Nie, nie - zaprotestowałem. - Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Wezmę tylko ciasto do kuchni, wyłożę je na talerz, a potem nastawię wodę na herbatę. Chyba że jest za gorąco na herbatę?

- Nie tutaj - odparła Héléne. - Te stare domy sprawiają pewne problemy, ale na szczęście pozostają chłodne w lecie.

- Także w zimie - zażartował jej mąż.

- Przepraszam, może mi pan przypomnieć pańskie... - zacząłem.

- Bruno. Bruno Paulik - odpowiedział. Objął córkę ramieniem. - A to jest Léa.

Jej imię także umknęło mi z pamięci. Spojrzałem na dziewczynkę, zauroczoną freskiem nad schodami.

- Léa, jeśli chcesz, idź popatrzeć na malowidła - zaproponowałem.

Skinęła głową i powoli poszła w górę wyślizganych, kamiennych schodów, trzymając się balustrady z kutego żelaza.

- Usiądziemy w dużym salonie - powiedziałem jej. - Kiedy zejdziesz ze schodów, będzie po lewej stronie.

- *D'accord* - zawołała.

Polubiłem ją. Nie była gadułą, nie próbowała przerywać innym i dominować w rozmowie, jak to robią niektóre dzieci - oczywiście, gdy im się na to pozwala. Była bystra, widziałem to w jej oczach i zmarszczonych brwiach. I z pewnością utalentowana, choć jeszcze nie wiedziałem, jaki jest jej talent. Może jazda konna. Albo rysowanie.

- Przepraszam - usprawiedliwiałem się, wskazując ręką na pokój. - Wciąż się rozpakowuję. - W salonie, chociaż umeblowanym, pod ścianami nadal stały pudła, brakowało zasłon i oświetlenia - zostały rozkradzione przez lata, kiedy dom stał pusty. - Proszę, rozgoście się, ja wrócę za kilka minut.

- Dziękujemy - powiedziała Hélène. - I proszę zawołać, jeśli będzie pan potrzebował pomocy.

Posłałem jej mój zwyczajny uśmiech - uśmiech Belmondo, jak mawiała Agathe, kiedy się ze mną drażniła - i wyszedłem.

Pośpieszyłem do kuchni z nadzieją, że Sandrine Matton kupiła jakiś sok lub napój gazowany. Otworzyłem lodówkę i odetchnąłem z ulgą, widząc tam sok pomarańczowy. Nie znam się dobrze na dzieciach, ale byłem prawie pewien, że dziesięciolatki nie piją herbaty.

Słyszałem Hélène i Brunona, jak chodzą po olbrzymim pokoju. Okiennice były zamknięte z powodu upału, w powietrzu unosiła się lekka woń stęchlizny i delikatna nuta cytrynowej pasty do podłóg. Goście coś szeptali, bez wątpienia o mnie. Przestali szeptać i Hélène odezwała się normalnym głosem:

- Kominiek jest taki jak u nas.

- Pomarańczowo-żółte marmury z Sainte-Victoire. Nie trzeba było daleko jechać - zauważył Bruno.

- Jest taki jaskrawy - odparłem, wchodząc do pokoju z tacą zastawioną kubkami, dzbankiem herbaty i sokiem pomarańczowym dla Léi. - Pozostałe kominki zbudowano tu

z białego marmuru. – Zdałem sobie sprawę, że wychodzę na snoba, tym bardziej że, jak właśnie powiedział Bruno, oni mieli taki sam kominek.

Bruno wzruszył ramionami:

– Zawsze go lubiłem.

– Czy mogę w czymś pomóc, M. Barbier? – zapytała Hélène.

– Nie, ale dziękuję.

Właśnie się obróciłem, kiedy do pokoju wpadła bez tchu i z wypiekami na twarzy Léa. Podbiegła prosto do ojca i wtuliła się w niego. Wpatrywałem się w nią, niezdolny do ruchu. Taca zaczęła mi się trząść w rękach.

– *Chérie? Ça va?* – zapytała Hélène.

Léa wzięła kilka głębokich oddechów i odwróciła głowę, by spojrzeć na matkę, wciąż obejmowała ojca w pasie. Hélène podeszła do córki i dotknęła jej czoła.

– Jesteś rozpalona – rzekła.

– Wszystko dobrze, mamó – odparła Léa, łapiąc oddech.

Hélène popatrzyła na mnie, a ja czułem, jak krew odpływa mi z twarzy.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha – zaśmiał się Bruno.

Spojrzałem na buzię dziewczynki i zastanawiałam się, jak odpowiedzieć jej ojcu. Wtedy ona się odezwała:

– Tak naprawdę to żadnego nie widziałam...

– Myślę, że powinnaś się położyć – stwierdziła Hélène. – Chyba masz gorączkę.

– *Mais ça va, maman!*

– To ten upał – mówiła dalej Hélène.

– Możemy spotkać się kiedy indziej – zasugerowałem. Odłożyłem tacę na bardzo stary stół ze zdobionego drewna, jeden z wielu przywiezionych z Paryża. „Tylko nie ta mała dziewczynka” – pomyślałem. Nagle poczułem się bardzo zmęczony.

- Obawiam się, że musimy tak zrobić - powiedział Bruno. - Powinniśmy zabrać córkę do domu.

* * *

- Co się przydarzyło Léi? - zapytał Justin.

Odstawił kieliszek, kiedy zdał sobie sprawę, że ściska jego nóżkę obiema rękami. Nagle dotarły do niego dźwięki z sali restauracyjnej - stukanie sztućców, przytłumione głosy. Zapomniał, gdzie się znajduje.

- Ogarnęła mnie panika, kiedy się pojawiła w pokoju - odparł Barbier. - Jakiż byłem nieodpowiedzialny, pozwalając jej samotnie krążyć po domu.

- Ale co zobaczyła?

Valère wzruszył ramionami.

- Co zobaczyła? Nie wiem. Cokolwiek dostrzegła czy poczuła, najwyraźniej zachowała to dla siebie.

- Nie przeraziło jej to?

- Właśnie nie - odparł Valère. - Ale ja prawie wyzionąłem ducha.

- Proszę mówić dalej. Przerwałem panu.

* * *

Tamtego wieczoru zjadłem na obiad mniej więcej jedną trzecią ciasta od Hélène, popijając je whisky. To zaskakujące, jak dobrze single malt pasuje do słodkiego ciasta. Przeszedłem się po ogrodzie, wciąż było ciepło i jasno i nie miałem ochoty siedzieć w domu. Poczułem się jak przekłuty balonik. Usiadłem na jednym z designerskich szezlongów, zapaliłem kubańskie cygareto i myślałem o Agathe.

Może to z powodu przeprowadzki i rozpakowywania rzeczy, ale złapałem się na tym, że wspominam nasze pierwsze lata razem, w Paryżu w latach siedemdziesiątych. Klepaliśmy biedę, ale któregoś dnia Agathe zdobyła kontrakt w Le Bon Marché na

zaprojektowanie linii naczyń stołowych. To pozwoliło mi odejść z „Le Monde” i poświęcić się wyłącznie pisaniu. Niektóre z naczyń Agathe z Bon Marché można kupić na eBayu za astronomiczne ceny. W tym samym czasie moje książki zaczęły zbierać pozytywne recenzje i ich sprzedaż rosła. Po wyjątkowo entuzjastycznym artykule w „Le Figaro” wydawcy, dziennikarze i sławni pisarze zaczęli zapraszać mnie na lampki wina i na kolacje. Agathe czasem wybierała się na te przyjęcia, czasem nie. Uważała je za głupie i pretensjonalne. Kiedy wydana w 1975 roku *Czerwona ziemia* została zaadaptowana na film fabularny, który zdobył Złotą Palmę w Cannes, zacząłem cieszyć się większą sławą niż moja żona. Widziałeś *Recepcjonistkę*? Powinieneś zobaczyć. Gra tam Alain Denis, zabity przed kilkoma laty na Île Sordou, na wybrzeżu w pobliżu Marsylii. Pisałem kolejne książki, zdobywałem nagrody i z każdą następną czułem się coraz bardziej bezwartościowy. Jak oszust.

Moje reminiscencje w ogrodzie *bastide* przerwał dźwięk telefonu komórkowego. Ładowałem go za pomocą gadżetu podłączonego do zapalniczki w moim mercedesie. Dzwoniła Sandrine Matton, by poinformować, że przyjedzie następnego dnia. Podobał mi się jej głos - miała silny prowansalski akcent. Przywiezie *paing*, co miało znaczyć *pain*, i czy ja potrzebuję czegoś jeszcze? Kawy? Mleka? Słowa płynęły z jej ust wartkim potokiem. Poczulem ulgę, że zjawi się ktoś, kto mi pomoże.

Podziękowałem jej i się rozłączyłem. Zauważyłem, że wreszcie jest cicho. *Cigales* umilkły. Ponownie zapaliłem kubańskie cygaro i siedziałem w ciemności. Widziałem stary, kamienny dom Paulików, teraz rozświetlony, i próbowałem wyobrazić sobie, co robią. Czy Hélène, teraz, kiedy jej winorośle śpią, zajmuje się papierkową robotą? Czy Bruno jej pomaga? Zdałem sobie sprawę, że nie wiem, jak M. Paulik zarabia na życie.

Było tak spokojnie bez śpiewu *cigales*, że gdy usłyszałem dobiegający z oliwnego zagajnika chrzęst łamanych gałązek, aż wypuściłem z ręki cygaro. Kiedy je podniosłem i umieściłem w popielniczce, pochyliłem się, by się uważnie przysłuchać. Jeszcze kilka trzasków i dźwięk przypominający chrząknięcia przekonał mnie, by wrócić do domu, zanim dzik, czy cokolwiek to było, zdecyduje się podejść bliżej. A i tak czułem się zmęczony – choć spokojny i lekko zawiany, i szczęśliwy po cygarze i whisky.

Przeklinałem EDF za to, że nikt się nie zjawił w tym tygodniu, by wymienić instalację, i na wszelki wypadek przy wejściu trzymałem cały kosz ze świecami. Włożyłem jedną do pustej butelki po winie i zapaliłem. Potem przeszedłem dookoła i otworzyłem okna i okiennice na dole. Latem złodzieje mieli łatwy dostęp do prowansalskich domów. Być może dlatego wielu mieszkańców montowało te wielkie, okropne bramy przed podjazdami do swych domów. Wołałem takiej nie mieć, podobnie jak Paulikowie.

W połowie schodów zatrzymałem się. Kobieta w różu uśmiechała się do mnie i mógłbym przysiąc, że jej wymalowana twarz zarumieniła się od blasku świecy. Życzyłem jej *bonne nuit*, celowo mówiłem głośno, starając się, by mój głos brzmiał jak najbardziej beztrąsko. Przeszedłem obok niej i otworzyłem okiennice, by wpuścić do domu wieczorną bryzę. Ale nawet o dziesiątej wciąż było gorąco, szczególnie na górze. Zdawało się, że pokoje wypełnione są zatechłym kurzem i upałem. Poproszę Sandrine, by wymyła podłogi w każdym pokoju.

Tak jak zwykle, zostawiłem mój pokój na koniec i kiedy powoli otwierałem drzwi, czułem, że dama w różu obserwuje mnie ze schodów i uśmiecha się znacząco. Pomyślałem o małej Léi i o tym, co mogło jej się przydarzyć po południu. Czy pamiętasz, kiedy wspomniałem o literze „B” z kutego żelaza na balkonie pierwszego piętra? To dziwny przypadek, że moje

nazwisko zaczyna się od tej samej litery. Kupiłem tę nieruchomość pod wpływem chwili i początkowo uznałem, że „B” pochodzi od „Bastide Blanche”. Ale kiedy już podpisałem czek na niewiarygodną sumę i dom według prawa stał się moją własnością, Matton zaczął kopać w jego przeszłości. Wpadł w obsesję na tym punkcie i był zachwycony, gdy mógł mnie poinformować, że pierwszymi właścicielami była *famille de Besse*. Stąd to „B”. Od tamtej pory całe pokolenia grubych, leniwych de Besse’ów, niejednokrotnie zawierających małżeństwa z członkami własnej rodziny, zamieszkiwały *bastide*. Dopiero na początku XX wieku pewien notariusz kupił go od ostatnich spośród tych wspaniałych szlachciców, którzy roztrwonili rodzinny majątek. Matton dzwonił nieustannie, za każdym razem z nową ciekawostką, ale najbardziej szokująca była historia Hugues’a de Besse, syna pierwszego właściciela. Hugues urodził się w 1688 i niestety żył do 1760, więc miał całe dziesięciolecie na znęcanie się nad innymi mieszkańcami *bastide*. Później opowiem ci więcej o tym zwyrodnialcu.

Trzymałem świeczkę i omiotłem pokój jej światłem. Nie sądziłem, że coś zobaczę, ale musiałem się upewnić, że jestem sam. Obszedłem najdalsze kąty, po czym zbliżyłem się do łóżka. Pamiętasz, Justinie, że starannie je wcześniej pościeliłem. Moją specjalnością są kopertowe narożniki, które doprowadzały Agathe do pasji. Była wysoka i narzekała, że kiedy to ja ścielę, ona nie może swobodnie ruszać stopami. W każdym razie tamtej nocy zobaczyłem, że moja strona łóżka jest nietknięta, z poduszką starannie przykrytą narzutą. Ale ktoś musiał leżeć na narzucie po drugiej stronie – tak się działo każdej nocy, od kiedy się wprowadziłem. Na poduszce widniało owalne wgniecenie, a na narzucie wyraźnie zarysowały się wgłębienia w miejscach, gdzie spoczywały ramiona i biodra. Gość był wysoki, jak Agathe. Postawiłem świecę na stoliku nocnym i potrząsnąłem głową. Agathe drażniła się ze mną, kiedy

marudziłem, że nie zasługuję na wszystkie te nagrody literackie. „Valère, ty naprawdę masz niezwykłą wyobraźnię” – mówiła. Ale czy to była moja wyobraźnia, Justinie, kiedy tej samej nocy obudził mnie ktoś, kto mościł się obok w pościeli?

Przypisy:

² Électricité de France - francuski koncern energetyczny (przyp. tłum.).

3

Aix-en-Provence, niedziela 4 lipca 2010

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Antoine Verlaque, całując Marine Bonnet.

Wysunął spod stołu kawiarniane krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Właśnie minęła dziewiętnasta i plac otoczony kamiennymi budynkami w kolorze miodu, pośród których wyrastał imponujący aixański ratusz, wypełniony był ludźmi. Wokół centralnej fontanny rozstawione były stoły i krzesła, a z wiekowych platanów dochodziły przejmujące dźwięki *cigales*.

- Nie ma problemu - odparła Marine. - Mam dobrą książkę. Verlaque pochylił się i spojrzał na tytuł.

- Claude Petitjean - nowa powieść! Mogę później przeczytać?

- Pożyczyłam od Sylvie. Ale zapytam.

- O czym jest? Tak jednym słowem.

- Jednym słowem to historia dwojga przyjaciół, chłopaka i dziewczyny, dorastających w Paryżu w latach pięćdziesiątych. Są sąsiadami z trzynastej dzielnicy. Wyjeżdżają na studia i oboje osiągają sukcesy, potem spotykają się znowu w latach siedemdziesiątych.

Podszedł kelner i Verlaque wskazał na *pastis* Marine.

- *Le même* - rzekł.

- Podziwiam kobiety, które piją *pastis* - powiedział kelner. - Nieczęsto się je spotyka.

- Zgadzam się - odparł Verlaque z uśmiechem. A gdy kelner odszedł, zwrócił się do Marine: - W „Le Monde” piszą, że ta książka jest tak dobra, jak wczesne powieści Valère’a Barbiera.

Marine skinęła głową.

- Zgadzam się. Jest w niej podobne poczucie humoru, przenikliwość z domieszką melancholii i sarkazmu w stylu Barbiera.

Verlaque się roześmiał, odchylił do tyłu na krześle i rozejrzał po placu. Rankiem wypełniały go kwiaty i inne rośliny na sprzedaż, parujące w porannym słońcu. Teraz zastąpiły je stoły zastawione piwem, winem, *pastis* i napojami gazowanymi.

- To zabawne - powiedział. - Mamy piękne mieszkanie ze wspianiałym tarasem, ale czasami miło...

- Posiedzieć na zatłoczonym placu, w otoczeniu innych ludzi?

- Właśnie. Słyszeć rozmowy i śmiech...

- I pijanego ulicznego muzyka grającego na gitarze - dopowiedziała Marine, patrząc przez ramię. - Ten facet jest tu od stu lat.

Mieszkała w Aix przez całe swoje życie, z wyjątkiem lat studiów spędzonych w Paryżu.

Wrócił kelner z *pastis* dla Verlaque’a. Ten wzniosł toast:

- Za aktywne życie uliczne.

Rozmawiali o wydarzeniach dnia, ale często przerywali im przyjaciele czy koledzy Marine, Verlaque’a albo obojga. Wymieniali wtedy najważniejsze informacje i uściski dłoni, a z bliskimi przyjaciółmi także *bises*. Sędzia śledczy poczuł ulgę, widząc, że sąsiednie stoliki były już zajęte. Miał za sobą długi dzień i cieszył się czasem, który mógł spędzać ze świeżo poślubioną żoną.

- Jeszcze jedno? - zapytał Marine, kiedy w końcu zostali sami.

- Dlaczego nie? Chociaż zapomniałam, że gdy siedzi się naprzeciwko ratusza w ciepły, letni wieczór, to przez cały czas ktoś ci przeszkadza. Całe to gadanie o znaczeniu intensywnego życia na ulicach!

- Po prostu jesteś zbyt popularna.

- Może powinniśmy iść do domu...

- Za późno - odparł Verlaque. - Właśnie zbliża się do nas para, którą chyba znamy. Zwalniają i uśmiechają się do nas.

Po chwili Verlaque rozpoznał w nich sąsiadów z tej samej ulicy. Uścisnęli sobie dłonie, a on był pod wrażeniem, że Marine pamięta nie tylko ich imiona i nazwiska, ale nawet to, że spędzili wakacje w Lizbonie.

- Żyliśmy tam jak rodzina królewska - powiedział mężczyzna. - Wszystko kosztowało o połowę mniej niż w Aix.

Verlaque wzdrygnął się - nie lubił, gdy turyści z zamożnego kraju wykorzystywali złą sytuację ekonomiczną innego. Ale w miarę jak słuchał, coraz bardziej podobała mu się ta para. Ze szczerym entuzjazmem opowiadali o mieście, które sam chciał kiedyś odwiedzić, a teraz to pragnienie stało się jeszcze większe. Oboje z Marine ożywiali się przy opowieściach sąsiadów o wspaniałych lizbońskich muzeach, doskonałym jedzeniu i winach oraz o staroświeckich tramwajach sunących szybko w górę i w dół wąskich ulic na wzgórzach miasta. Przed oczyma stanął mu zużyty egzemplarz *Podróży po Francji i Włoszech* Tobiasa Smolletta³ i przez chwilę nie wiedział, dlaczego. Szybko jednak to sobie uświadomił: angielski autor już przed ponad dwoma wiekami narzekał na drożyznę w Aix.

- Och, to Petitjean! Najnowsza powieść - zawołała kobieta, widząc książkę, którą trzymała Marine.

- Bardzo nam się podobała - odezwał się jej mąż. - Jest prawie tak dobra, jak wczesne książki Barbiera.

- Właśnie to samo mówiliśmy - włączył się Verlaque, uznając, że może uczestniczyć w rozmowie, chociaż jeszcze nie

czytał książki. Ale kiedy Marine wyjęła notes, który zawsze nosiła ze sobą, i zaczęła notować nazwy restauracji w Lizbonie polecanych przez sąsiadów, jego myśli zaczęły dryfować. Ponownie przypomniał sobie Smolletta, który uważał mieszkańców Aix za dobrze wychowanych, wesołych i towarzyskich. Ta para idealnie pasowała do jego opisu – kobieta, najprawdopodobniej około sześćdziesiątki, mogła się poszczycić nienaganną opalenizną i świetną fryzurą. Była szczupła i atrakcyjnie ubrana – w długie, lniane spodnie i jedwabną bluzkę. Jej mąż, być może o kilka lat młodszy, był wysportowany, ubrany w różową koszulkę polo firmy Lacoste oraz starannie wyprasowane bawełniane spodnie. Byli przyjacielscy, ale nie wścibscy, najwyraźniej obyci i skromni. *Bien élevés*. Pożegnali się i odeszli, ramię w ramię.

- Marzysz o Lizbonie – stwierdził Verlaque, podczas gdy Marine wpatrywała się w przestrzeń. - I słuchasz raczej chropawej wersji *Norwegian Wood*⁴.

- Ach, to on właśnie to gra? – zapytała Marine, obracając się, by spojrzeć na gitarzystę. - Ale masz rację. Od lat nie byłam w Portugalii. - Podniosła z miseczki czarną oliwkę i włożyła ją do ust.

- Co więcej – zaczął Verlaque – nie tylko marzysz o Lizbonie, ale tęsknisz do tych kolorowych płytek ceramicznych, które Portugalczycy umieszczają dosłownie wszędzie.

- *Azulejos* – sprecyzowała. - Gdybym miała wybór, też umieściłabym je dosłownie wszędzie.

Przypisy:

³ T. Smollett, *Travels through France and Italy*. Książka została wydana po raz pierwszy w 1766 roku (przyp. tłum.).

⁴ Piosenka zespołu The Beatles z płyty *Rubber Soul*, opublikowanej w 1965 roku (przyp. tłum.).

4

Aix-en-Provence, poniedziałek 5 lipca 2010

Bruno Paulik uwielbiał lato. O tej porze roku w Prowansji żyło się jeszcze wolniej niż zwykle. Nadal nie brakowało pracy do wykonania, ale kiedy koledzy opowiadali o swoich planach na wakacje i wymieniali informacje o plażach z najlepszym piaskiem i z najsmaczniejszymi *moules-frites*, rozmowy zawsze się przeciągały. Léa nie chodziła do szkoły, tylko na próby chóru i lekcje notacji muzycznej w konserwatorium. A winogrona w winnicy Hélène, duże, ale wciąż zielone, zwisały ciężko z winorośli. Raz w tygodniu budzik Hélène dzwonił o czwartej, wtedy ubierała się, szła do stodoły i wsiadała do traktora. Pracowała mniej więcej do szóstej, spryskując winnicę siarką, by ochronić ją przed mączniakiem. To było zadanie na wczesny ranek, kiedy jeszcze nie wiał wiatr. Bruno miał poczucie winy, że Hélène wstaje praktycznie w środku nocy, i dopiero gdy wychodziła z sypialni, wkładał do uszu zatyczki. Traktor robił diabelnie dużo hałasu.

Tego ranka Bruno zawiózł Lée do konserwatorium, zaparkował przy Pałacu Sprawiedliwości i ruszył w kierunku cours Mirabeau, by wypić kawę w Mazarin. Wiedział, kogo zastanie w kawiarni: swojego szefa - sędziego śledczego Antoine'a Verlaque'a, jego żonę, Marine Bonnet, która niedawno zrezygnowała z profesury na uniwersytecie, by w pełni oddać się pisarstwu, oraz prawnika Jean-Marca

Sauvata, zaprzyjaźnionego z Marine od dzieciństwa. Na pewno nie zabraknie też różnych sąsiadów, stałych gości kawiarni i pierwszych turystów – zazwyczaj Niemców i Holendrów. Bruno rzadko chadzał do Mazarin, tak naprawdę nie czuł się tutaj swojsko. Jako chłopak z gospodarstwa w Luberonie uważał, że kawiarnie to miejsca, gdzie gra się z kumplami w piłkarzyki, a nie sprzeczka o politykę z przyjaciółmi, którzy studiowali prawo na najlepszych francuskich uczelniach. Lubił jednak towarzystwo Antoine'a, który był współwłaścicielem winnicy Hélène i zawsze chciał wiedzieć, w jakim stanie są winogrona. Lubił przebywać z Marine, a także z Jean-Markiem. Poza tym dzisiaj miał ważne wieści.

Dochodziła dziewiąta, kiedy przeszedł szybko przez zatłoczony taras, pomiędzy wiklinowymi krzesłami i okrągłymi stolikami chronionymi przed słońcem przez czerwone markizy. Wiedział, że jego przyjaciele będą w środku, i nie miał czasu, by przywitać się czy wymienić *bise* ze znajomymi, którzy znali go jako komisarza policji w Aix. Nieomal wpadł na elegancko ubranego kelnera niosącego tacę zastawioną filiżankami z kawą i szklankami ze świeżo wyciskany sokiem pomarańczowym.

- *Bonjour*, Frédéric – powiedział Paulik, przytrzymując drzwi.

- *Bonjour, monsieur le commissaire* – odparł kelner, mrugając okiem. – Ma pan szczęście – pański przyjaciel, sędzia, nie zjadł jeszcze wszystkich brioszek.

- Zachowaj dla mnie dwie, Frédéric.

Bruno wszedł do środka i po biało-czarnej posadzce pokrytej cienką warstwą trocin przeszedł do dalszego narożnika sali. Rozjaśnione złotym światłem wewnątrz kawiarni pozostało niezmienione od dziesiątków lat.

- *Salut*, Bruno! – zawołał Verlaque zza stolika, który zwykle zajmowali. Podniósł mały koszyk i nim potrząsnął. –

Przepraszam, wszystkie brioszki już poszły.

W Mazarin podawano ciasta wyłącznie z ciastkarni Michauda - chyba najlepszej w mieście - znajdującej się po przeciwnej stronie ulicy.

- Kłamca - odparł Bruno, odkładając swoją teczkę na puste krzesło. Złożył *bise* na policzkach Marine i uściśnił dłonie Verlaque'a i Jean-Marca.

- Miło cię tu widzieć, Bruno - odezwała się Marine. - Czy to nowy zwyczaj na poniedziałkowe poranki?

- Być może. - Bruno usiadł, zamówił espresso u innego kelnera i położył swoje duże dłonie na stoliku. - Przejdę od razu do rzeczy. Nigdy nie zgadniecie, kim jest nasz nowy sąsiad.

- W La Bastide Blanche? - zapytał Jean-Marc.

- Tak - odparł Bruno, szukając wzrokiem kelnera.

- A więc - powiedział Verlaque - nieznany nabywca się ujawnił?

- Albo ujawniła - dodała szybko Marine.

Bruno podziękował Frédéricowi, który właśnie podszedł z dwiema brioszkami na porcelanowym talerzu.

- Ja zjadłem tylko jedną - zarzekął się Verlaque, wskazując na wypieki.

- Ty naprawdę nie potrafisz kłamać - roześmiała się Marine. - Mów dalej, Bruno.

- Więc zgadnijcie, kto to jest - powiedział Bruno, robiąc pauzę na kęs brioszki.

- Zagrajmy w dwadzieścia pytań - zaproponowała Marine. - Najwyraźniej to ktoś sławny. Z rodziną?

- Nie.

- Mężczyzna? - zapytał Jean-Marc.

- Tak.

- Aktor? - zgadywał Verlaque. - Oni wręcz najeżdżają Aix. Chciałbym, żeby wszyscy przeprowadzili się do Saint-Tropez

albo do Luberonu. Jedna z sekretarek z Pałacu Sprawiedliwości któregoś dnia widziała na cours Brada Pitta.

- Nie!

- Zatem nie aktor. Gwiazda futbolu? - dociekała Marine.

- Nie, ale dobre pytanie.

- Masz mówić tylko tak lub nie, Bruno - upomniał go Verlaque. - Polityk?

- Też nie.

- Pisarz? - zgadywał Jean-Marc.

- Tak.

Marine zaklaskała w dłonie.

- To ekscytujące. Czy pisze beletrystykę?

- Tak.

Marine drążyła dalej:

- A czy ja lubię jego książki?

Paulik odłożył zjedzoną w połowie brioszkę i spojrzał na sufit.

- Tak. Nie.

Popatrzyła na niego ze zmarszczonymi brwiami.

- Nie wiesz?

Paulik wzruszył ramionami.

- On może odpowiedzieć tylko tak albo nie - roześmiał się Verlaque.

- Może Marine lubi niektóre z jego książek, a innych nie - zasugerował Jean-Marc.

- Tak!

- Ponieważ po zdobyciu przeróżnych nagród i zaadaptowaniu jego książek na filmy zmienił gatunek literacki! - zawołała Marine.

Verlaque chrząknął.

- Tak! - zawołał Paulik.

- Rany Julek - odezwał się Jean-Marc. Był to nieśmiały i grzeczny mężczyzna i „rany Julek” było najbardziej nieprzyzwoitym zwrotem, jakiego w ogóle używał. - To Valère Barbier.

Paulik skinął głową. Nie mógł mówić, bo właśnie kończył jeść.

- Niezła bomba - odezwała się Marine. - Jaki jest nasz mistrz?

- Na początku wydał nam się trochę dziwny - odparł Bruno, kiedy przełknął. - Spotkaliśmy go przy skrzynce na listy, a on prawie nie patrzył nam w oczy. Ale od razu polubił Léeę i ni z tego, ni z owego zaprosił nas na kawę następnego dnia.

- Byliście u niego w domu? - zapytał Verlaque.

- Widzieliście ceramikę Agathe Barbier? - zainteresowała się Marine.

- I nagrody Valère'a Barbiera? - Jean-Marc pochylił się do przodu.

- Zdjęcia z Mitterrandem? Albo z Jakiem Brelem? - dodał Verlaque. - Barbier bywał na całonocnych imprezach z Brelem i Georges'em Brassensem. Pod jego wpływem zaczęłam palić cygara.

Bruno pomachał ręką.

- Nie wszyscy naraz, proszę.

- Kiedy studiowałam prawo, przeznaczyłam część mojego stypendium na miskę wykonaną przez Agathe Barbier - wspominała Marine. - Bardzo małą.

- Której raz użyłem do płatków śniadaniowych.

- No cóż, miałaś szczęście, że ci wybaczyłam i za ciebie wysłam - skomentowała Marine.

- Masz dzieło Agathe Barbier? - zdziwił się Jean-Marc. - Teraz są nie do kupienia.

- Czy pamiętacie, gdzie byliście, gdy po raz pierwszy czytaliście *Recepcjonistkę*? - zapytał Verlaque. - Książki Barbiera były takie ważne dla naszego pokolenia.

- W stodole - odparł Paulik. Wszyscy się roześmiali, a on mówił dalej: - Nie żartuję. Wymigiwałem się od prac w gospodarstwie i czytałem. Ukrywałem się pod stosem płóciennych worków.

- Nie pamiętam, ile miałem lat, kiedy poznałem tę powieść, ale na pewno pamiętam Alaina Denisa w filmie - oznajmił Jean-Marc. - Od razu się w nim zakochałem.

- Ja również - rzekła Marine z uśmiechem.

- Odpowiadając na pańskie pytanie - mówił dalej Bruno. - Gospodarz dopiero się wprowadza. Wszędzie pudła, trochę stylowych, designerskich mebli, ale żadnych terakotowych donic, żadnych nagród i fotografii ze świata celebrytów. Budynek wygląda imponująco z zewnątrz, zawsze trochę nas przytłaczał swoim rozmiarem. Ale w środku robi zupełnie inne wrażenie - jest duży, ale zniszczony i... wyblakły... I to jest urocze. Ściany obłazą, pokazując kolejne warstwy farby - od niebieskiej poprzez różową aż do bladożółtej. Wiele starych płytek podłogowych popękało i trzeszcza, kiedy się po nich chodzi. Można sobie wyobrazić fotografa z „Vogue’a” robiącego w tych wnętrzach zdjęcia pięciu lub sześciu chudych modelek w powiewnych, białych sukienkach i z papugą, która przysiadła na ręce jednej z nich.

Verlaque uniósł brew.

- Hélène od czasu do czasu kupuje „Vogue’a”. W każdym razie *bastide* ma wielki potencjał - powiedział Bruno, wgrzając się w drugą brioszkę.

- O czym rozmawialiście? - zapytała Marine.

- Nie mieliśmy wiele czasu na rozmowę - odparł Bruno. - Barbier wyszedł do kuchni i kiedy wrócił, musieliśmy już wychodzić.

- Dlaczego? - cała trójka zapytała unisono.

- Léa weszła w górę po schodach, by spojrzeć na fresk, i kiedy wróciła, zachowywała się tak, jakby właśnie zobaczyła ducha. Była rozpalona i nie mogła złapać tchu.

- To zupełnie niepodobne do Léi - zauważył Verlaque. Przepadał za córką Brunona, która śpiewała w młodzieżowej operze. Była uprzejma, bystra i myśląca. - To taka rezolutna mała dziewczynka.

- Wiem - przytaknął Bruno. - Dlatego usprawiedliwił się i wyszliśmy. Léa jest uparta i czasami przemądrzała, ale nie udaje. Trochę się przelękliśmy. Ale, co dziwne, nie wydawała się wystraszona. Raczej zmartwiona i... skonsternowana. Ale nie wystraszona.

- Co na to Barbier? - zainteresowała się Marine.

Bruno Paulik pomyślał przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Wyglądał na przerażonego.

5

Nowy Jork, 22 września 2010

Justin przeprosił i poszedł do toalety. Przed kolacją położył na stole swój nowy iPhone, z włączonym mikrofonem. Zarejestrował trzy kwadransy historii Barbiera i teraz wysłał do siebie maila z załączonym plikiem, więc mógł go wykasować z telefonu i zacząć nagrywanie od nowa. Nie wiedział, ile pamięci miał ten telefon, i nie chciał ryzykować.

- Homar w rosole? - zapytał Valère, kiedy Justin wrócił do stolika. Założył okulary do czytania i przyglądał się menu na wieczór wydrukowanemu na kartce białego papieru.

- Ich specjalność - odparł Justin. - A przynajmniej tak czytałem. Zupa z homara z kabaczkim i cukinią. Biały burgund będzie doskonały. - Odłożył iPhone z powrotem na stół, a Valère uśmiechnął się znacząco.

- Czekasz na telefon? - zapytał.

- Szefowa prosiła, by ją informować - wyjaśnił Justin. - Więc właśnie wysłałem jej esemesa.

- Jesteś szczery.

Justin zmusił się do uśmiechu. Kłamał dalej:

- Jest też wielką fanką tej restauracji i obiecałem jej wysłać nasze menu, danie po daniu.

Na stole pojawiła się zupa, a po chwili podeszła sommelierka. Okrążyła stół i pokazała Barbierowi butelkę Puligny-Montrachet z 2006 roku.

- *Merci* - podziękował. - Sądzę, że mój młody przyjaciel będzie chciał je przetestować.

Sommelierka wlała odrobinę do kieliszka Justina. Ten zwrócił uwagę na złotawożółty kolor trunku, zakręcił kieliszkiem kilka razy, trzymając jego stopkę na stole, i powoli unióśł go do nosa. Głęboko wciągnął powietrze.

- Jest doskonałe.

Valère uśmiechnął się, podobnie jak sommelierka, która napełniła jego kieliszek, dołała więcej wina Justinowi i powiedziała:

- Smacznego, panowie.

Odłożyła butelkę do wiaderka i starannie owinęła je lnianą serwetką.

- *Enorme* - odezwał się Valère, pochylając się do Justina. - Z samego aromatu potrafisz wyczytać, czy było zakorkowane.

Justin wzruszył ramionami.

- Oglądam dużo programów winiarskich - powiedział.

- Czy mogę kontynuować moją opowieść, gdy będziemy jedli nasze *nage*? - zapytał Valère.

- Ależ oczywiście - odparł Justin i upił łyk wina.

* * *

Przeżyłem, jak możesz się domyślić, kolejną niespokojną noc. Jedną z dobrych stron emerytury jest świadomość, że zawsze możesz sobie uciąć popołudniową drzemkę. Przez dłuższy czas rzucałem się i kręciłem, próbując jakoś znieść gorąco i nie myśleć o wgnieceniach, jakie zauważyłem na moim łóżku. Około drugiej czy trzeciej podmuchy wiatru z okna sprawiły, że pociągnąłem za koc złożony w nogach łóżka. Leżałem na prawym boku, twarzą w kierunku drzwi. Przyciągnąłem koc pod brodę i wreszcie poczułem się dobrze. Nagle koc zsunął się ze mnie. Zamarłem. Bardzo wolno i delikatnie znów się nim przykryłem. Wydawało mi się, że

słyszę jakieś dźwięki, jakby ktoś jęczał. „To musi być wiatr” – uznałem.

Staralem się myśleć o sprawach do załatwienia i zacząłem przygotowywać listę dla Mlle Matton. Doszedłem do piątego punktu – kupienia nowego węża do podlewania ogrodu, takiego, który nie przecieka i nie skręca się co pół metra. Wtem z lewej strony znowu ktoś lub coś ściągnęło ze mnie koc. Tym razem usiadłem, by poszukać telefonu i włączyć latarkę. Po raz kolejny usłyszałem hałasy, ale wydawało się, że nikogo nie ma w pokoju. Nagle coś stuknęło, aż podskoczyło mi serce. Wyrzależem przez jedno z okien i zobaczyłem, że okiennica szaleńczo buja się do przodu i do tyłu, uderzając w kamienną ścianę. Wstałem i podbiegłem tam, przymocowałem okiennice do ściany i zamknąłem okno. Ugotuję się bez świeżego powietrza, ale może chociaż zasnę.

Obudził mnie dźwięk samochodu, zakręcającego na zwirowym podjeździe. Brzmiało to prawie tak, jakby pojazd obrócił się wokół własnej osi i dopiero wtedy zatrzymał. To się nazywa piruet, Justinie? No cóż, wykonanie piruetu swoim samochodem jest zapewne łatwiejsze niż zrobienie tego samego na łyżwach. Wstałem z łóżka i otworzyłem okna wychodzące na południe, nad ogrodem przed frontem budynku. Od razu wiedziałem, że to Mlle Matton. Jej samochód to był prawdziwy... jak wy mówicie? Rupieć. Mały dwudrzwiowy citroën AX, miał chyba ze trzydzieści lat. Mlle Matton wyskoczyła z siedzenia kierowcy, a ja nie zdążyłem cofnąć głowy do wnętrza pokoju.

- *Oh là, là!* - zawołała. Roześmiała się, wskazując na jasnoróżowy, plastikowy zegarek, tak duży, że prawie mogłem z mojej sypialni odczytać godzinę. - Ktoś tu nieźle sobie pospał!

Przetarłem oczy i spojrzałem na stojący na stoliku nocnym zegar – dochodziła dziesiąta. Miała rację. Szybko się ubrałem, słysząc, jak wyjmuje rzeczy z samochodu i zatraskuje drzwi.

- Zaraz będę na dole - krzyknąłem.

Nie byłem pewien, czy mnie słyszy, bo *cigales* piłowały zawzięcie. Już drugi raz w ciągu dwóch dni obudzili mnie goście. To nie był specjalnie dobry początek. Zatrzymałem się w holu wejściowym, spojrzałem w lustro i przeczesałem palcami włosy. Zauważyłem, że wyglądam jeszcze gorzej niż wtedy, kiedy podejmowałem rodzinę Paulików. Otworzyłem drzwi i ujrzałem ją w całej okazałości.

Widzisz, Justinie, większość mojego zawodowego życia spędziłem w salonach literackich Paryża, a później Nowego Jorku. Ale nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ona. Opierała ręce na biodrach i czubkami swoich ogromnych sandałów na koturnie wybijała jakiś rytm. Wcisnęła swoją rękę w moją dłoń i powiedziała:

- Sandrine Matton, do usług.

Po czym po prostu mnie wyminęła i weszła do holu. Była filigranowa, nawet na koturnach mierzyła pewnie niewiele ponad metr pięćdziesiąt. Miała kręcone, rozjaśnione na blond włosy, zebrane złotą gumką na czubku głowy. Omiotła wzrokiem mój dom, wyciągnęła szyję, by popatrzeć na malowidło na klatce schodowej, przejechała palcami po kolejnych powierzchniach, jakby sprawdzała, czy jest na nich kurz. I przyznaję, kurz znalazła bez trudu, ponieważ od czasu przyjazdu nie zrobiłem nic, a ona ostatni raz wysprzątała dom przed moim przybyciem. Stuknęła obcasem w wiekową, czarno-białą posadzkę.

- Popękane kafle - powiedziała. - Na pewno zechce pan je wymienić. Ja umieściłabym tu nowe i błyszczące. Marmur jest stylowy. Pomarańczowy. Ładny i jasny.

Byłem tak zdumiony, że nie odpowiedziałem.

- Wciąż zaspany? - zapytała ze śmiechem. - To w porządku, ponieważ wszystko jest tutaj, prawda? - Wskazała na swoją

głowę. – Pewnie buja pan w obłokach, kiedy wymyśla pan te swoje historie.

Spojrzałem na nią, nie wiedząc, czy ją zbesztać, czy się roześmiać. Czy czytała moje książki? A jeśli tak, to które? Te, dzięki którym wyrobiłem sobie nazwisko, jak *Recepcjonistka*, czy też te, które uczyniły mnie bogatym?

– Przywiozłam ze sobą moje biuro! – zawołała, trzymając wiadro ze środkami czystości, i wciąż się śmiała. – Wstawię wodę na kawę i będziemy mogli porozmawiać o robocie. – Skierowała się w stronę kuchni. – Wydaje mi się, że przyda się panu kawa.

Poszedłem za nią jak skarcone dziecko, nieomal wygadałem się na temat nocnego gościa, czy też gości, ale ona już była tak zniesmaczona moim wyraźnym lenistwem, że nie chciałem przeżywać więcej wstydu. Czułem jednak, że jeśli te odwiedziny się powtórzą, będę mógł jej o nich powiedzieć. A ona będzie umiała mi pomóc. Takie są *cagoles*. To słowo wymawia się „kagol” i pochodzi z marsyńskiego slangu. *Cagole* to dziewczyna małego marsyńskiego *kéké*, kolesia, który nie ma dobrego smaku ani dobrego wykształcenia i którego interesują głównie szybkie samochody, *pastis* i piłka nożna. A ona jest nawet bardziej wulgarna niż jej męski odpowiednik. Głośna. Zawsze z przekleństwami na ustach. Ubiera się prowokacyjnie, w kolory, które – muszę przyznać – wyglądają dobrze w słonecznej i otoczonej morzem Marsylii: w neonową żółć, gorący róż, jabłkową zieleń. Ani trochę paryskich czerni czy szarości. Już ją sobie wyobrażasz? Pytasz o makijaż i biżuterię? Tak, Justynie, tony i jednego, i drugiego. Myślę, że już wiesz, o co chodzi. Ale jest coś jeszcze, co sprawdza się w przypadku Sandrine Matton – *cagoles* potrafią być najsłodszymi kobietami na świecie. Są uczuciowe i troskliwe, a kiedy z tobą rozmawiają, położą ci rękę na ramieniu i zapytają, jak się czujesz. I naprawdę słuchają odpowiedzi. Ciężko pracują,

często dużo więcej niż ich *kéké* – chłopcy i bracia. Są nieustraszone i nie przepraszają za swój wygląd czy język. Przyjmują postawę „jestem, jaka jestem”. Tak to wygląda, teraz sobie to uświadomiłem. Są uczciwe. Możesz im bezgranicznie zaufać.

Usiadłem zatem przy drewnianym kuchennym stole, który stał w *bastide* od dziesięcioleci, i patrzyłem, jak Sandrine zapala zapalną, włącza palnik i przystępuje do pracy. Większość dziewcząt z Marsylii ma ciemną karnację, zdradzającą ich włoskie lub północnoafrykańskie pochodzenie, ale Sandrine miała delikatną, jasną skórę, duże niebieskie oczy, pełne usta pomalowane błyszczkiem, szeroki uśmiech i lekko zadarty nos. Jej spódniczka we wzory gwiazd i pasków starego, dobrego USA była niemożliwie krótka i zadawałem sobie pytanie, jak dziewczyna zdoła w tym oryginalnym stroju sprzątać dom. Kreację dopełniała błyszcząca, zielona bluzka, zawiązywana na szyi i odsłaniająca brzuch, który był równie napięty i muskularny, jak jej uda i łydki. Pogwizdywała, robiąc kawę, a ja siedziałem i kręciłem młynka palcami. Byłem wyczerpany i wciąż myślałem o kocu, który ktoś lub coś ściągnęło ze mnie w środku nocy.

- Ależ wiało w nocy, prawda? - zapytała, jakby czytała w moich myślach.

- Był wiatr?

Znów się roześmiała i pogroziła mi palcem.

- A co? Nie zauważył pan? I to nie tylko wiatr, ale mistral!

Czy to mistral szarpał moją pościel? Jestem dorosłym mężczyzną i znam różnicę między podmuchami wiatru a celowym szarpaniem za pościel, do jakiego często uciekała się Agathe. Sandrine nalała kawy do dwóch miseczek do *café au lait* i dodała gorącego mleka. Spojrzała na mnie i dostrzegła moje zmęczenie, a może coś więcej.

Upiłem łyk kawy - robiła ją lepiej niż ja - i się uśmiechnąłem. Poczułem się lepiej.

- A zatem, Sandrine, czytałaś moje książki?

Usiadła i założyła nogę na nogę, z jej prawej stopy zwisał sandał, bujała nim w przód i w tył.

- Czy czytałam?! - Westchnęła i udawała, że się wachluje, i już wiedziałem, które książki czytała. - Moja ulubiona to chyba *Wszystko, co powiedzieliśmy* - oznajmiła. - Takie smutne zakończenie, ale jakoś nie czuje się przygnębienia. I strasznie podobał mi się *Pocztówkowy romans*. To taki dobry pomysł, by napisać historię miłości dwojga podróżników, którzy wysyłają do siebie pocztówki! Ulubiona książka mojej siostry, Josy, to *Kwiecień w Paryżu*. Czytałyśmy ją, kiedy byłyśmy nastolatkami i marzyłyśmy o wyjeździe do Paryża. - Wzruszyła ramionami i wypila trochę kawy. - Może kiedyś.

Wpatrzyłem się w nią.

- Nigdy nie byłaś w Paryżu?

- Proszę to sobie wyobrazić - odparła. - Mam trzydzieści sześć lat i nigdy nie odwiedziłam naszej stolicy.

- Ale twój stryj...

- Och, stryj Guillaume woli przyjeżdżać tutaj. Uwielbia południe Francji.

- To tylko trzygodzinna podróż pociągiem z Aix... - mówiłem dalej.

- Tylko? - zapytała. - I co mam zrobić, kiedy tam dojadę? Stryj jest zajęty pracą. Kto pokaże mi miasto?

Chciałem powiedzieć: „Po prostu kup mapę lub przewodnik i zwiedzaj, ile dusza zapagnie. Albo usiądź w kawiarni i obserwuj przechodniów. Możesz też iść do Luwru”.

Justynie, na tym polega różnica pomiędzy ludźmi, którzy czytali moje wczesne książki - na przykład, jak sądzę, Paulikami - a tymi, którzy czytali późniejsze powieści,

wypełniające półki z romansami w księgarniach na lotniskach i dworcach. Ci pierwsi są aktywni i sprawczy. A ci drudzy mogą tylko o tym marzyć. Mówisz, że jestem niesprawiedliwy? Zobaczymy. Skończyłem moją kawę i uświadomiłem sobie, że gdyby Sandrine Matton naprawdę chciała jechać do Paryża, to już by to zrobiła. Prawda? Ale potrafiła tylko o tym śnić. To bezpieczniejszy wybór.

6

Nowy Jork, 22 września 2010

- Słyszałem, że w Jersey City są ludzie, którzy nigdy nie byli na Manhattanie - powiedział Justin. - Ale może to miejska legenda.

Spojrzał na puste kieliszki, podniósł butelkę i nalał do nich trochę wina. Wiedział, że to zadanie sommelierki, ale nigdzie jej nie dostrzegął.

Valère zastukał w brzeg swojego kieliszka i Justin dolał więcej trunku.

- Chcesz, żebyśmy umarli z pragnienia? - Pisarz upił duży łyk wina i dalej snuł swoją opowieść. - Sandrine to naprawdę fascynująca osoba. Pełna sprzeczności. Jeździ z własnym kompletem narzędzi, mówi jak hardy miejski dzieciak, a jednak boi się jechać do Paryża.

Justin sączył swoje wino. Chyba nigdy nie kosztował nic lepszego.

- Czego się boi?

Valère bawił się kieliszkiem, kręcił nim, trzymając za nóżkę.

- Sandrine ma własne duchy, z którymi musi się uporać. Ona... Nie, na to przyjdzie pora później. Wrócę do tego ranka, kiedy ją poznałem.

* * *

Skończyliśmy jeść śniadanie – czerstwe croissantsy, które Sandrine podpiekła w staromodnym, gazowym piekarniku, i razem obeszliliśmy *bastide*, próbując zdecydować, co rozpakować w pierwszej kolejności i gdzie to umieścić. Dom był dla mnie za duży, a ona dostrzegła na mojej twarzy zmartwienie i rozczarowanie.

- M. Barbier – powiedziała, kładąc ręce na moich ramionach – rozpakujemy te pudła i skrzynie i dom od razu się zapełni. Poza tym potrafię nie tylko sprzątać i organizować, znam się też na projektowaniu wnętrz!

Spojrzałem na jej strój i zmusiłem się do uprzejmego uśmiechu.

- A tak w ogóle, to co jest w tych skrzyniach? – zapytała, wskazując na jedną z większych, stojącą pośrodku jadalni.

- Dzieła mojej nieżyjącej żony – wyjaśniłem.

- Rzeźby?

- Garnki – mówiłem dalej. – Agathe była garncarką.

- Och, rozumiem – odpowiedziała Sandrine powoli. Rozejrzała się po pokoju, dotykając palcem swojej brody. – Czy mają cokoły?

- Mniejsze tak, większe stoją na podłodze.

- To będzie świetna zabawa! – zawołała. Moje serce lekko drgnęło, po raz pierwszy od miesiący. – Przyniosę moją wiertarkę i otworzymy te skrzynie.

- Masz wiertarkę? – zapytałem. Nie mogłem w to uwierzyć. Tak jak ci mówiłem, Justinie, nie mógłbym sobie tego wymyślić.

- Przywiozłam moją skrzynię z narzędziami – mówiła dalej. – I niech się pan nie martwi, wiertarka działa na baterię, a dzisiaj rano ją naładowałam. Wiem, że nie ma pan tu jeszcze elektryczności. – Uderzyła się w czoło. – Ale zanim pójdę, zadzwonię do EDF, każę im natychmiast przyjechać!

Z obszytej cekinami, wielkiej, jasnoniebieskiej torby wyjęła telefon komórkowy, wybrała numer i zaczęła bardzo uprzejmie prosić o połączenie. Zachowała spokój, kiedy przełączano ją od jednej osoby do drugiej. Wkrótce rozśmieszyła kolejnego urzędnika. Usiadłem na najniższym stopniu schodów w holu wejściowym i słuchałem. Rozłączyła się i podeszła do mnie.

- Jutro rano - powiedziała. - Obiecali. Jeszcze jeden wieczór z ogniskiem, prawda, M. Barbier? - Roześmiała się i poszła po wiertarkę.

Resztę poranka spędziliśmy, wyjmując prace Agathe ze skrzyń.

- To dobre skrzynie - zauważyła Sandrine. - Później znieśliśmy je do piwnicy.

Mruknąłem coś na potwierdzenie, ale nie wyobrażałem sobie, bym kiedykolwiek jeszcze ich potrzebował. Sandrine miała rację - to miejsce wkrótce wypełni się pracami Agathe, które teraz staraliśmy się rozmieścić przemyślnie w pokojach na dole. Od dawna mi ich brakowało, z tymi ich chropowatymi powierzchniami i ciemnymi terakotowymi barwami.

Po szybkim lunchu, złożonym z bardzo przyzwoitej sałatki jajecznej i kanapek przygotowanych przez Sandrine (pomyślała o przywiezieniu lodu i piwa do mojej lodówki turystycznej), zaczęliśmy rozpakowywać mniejsze pudełka. Sandrine wyjmowała jakiś przedmiot - powiedzmy, kryształową popielniczkę - podnosiła go i pytała:

- Kiedy ostatnio pan tego używał? W ubiegłym roku? - Jeśli odpowiedziałem „tak”, jak w przypadku kryształowej popielniczki, prezentu od Jacques’a Mitterranda, odkładała tę rzecz, na przykład na niski stolik. Jeśli zaprzeczyłem, przedmiot lądował w pudle nazwanym Emaus. Kiedy tylko Sandrine ustali datę, przyjadą przedstawiciele organizacji dobroczynnej i wszystko zabiorą.

Do końca dnia umeblowaliśmy trzy pokoje: duży salon, który Sandrine lubiła nazywać *la salle des fêtes*, mniejszy salon, nazywany przez nią *la salle de télé*, choć ja nie znoszę telewizji, i jadalnię. Byłem uszczęśliwiony. Dała mi do zrozumienia, że nie podziela mojego gustu – słabości do różnorodnych francuskich i włoskich staroci z lat siedemdziesiątych, ale cieszyłem się, że podobały jej się dzieła Agathe.

- Co pan o tym sądzi, M. Barbier? – zapytała Sandrine z rękami na biodrach, kiedy staliśmy na środku jadalni.

- Jest cudownie – odparłem. – Meble oraz garnki Agathe wyglądają pięknie na tle spłowiałych, błękitnych ścian.

Sandrine zamruczała coś do siebie.

- Zachowam ten kolor ścian – dodałem, wiedząc, że jej pomruk oznaczał, że nie zgadza się z tym pomysłem. – Spłowiła elegancja.

Sufit znajdował się na wysokości około czterech metrów, a ściany pomalowano przed dziesiątkami lat, a może i całym stuleciem, na dwa odcienie błękitu: do wysokości bioder był ciemny jak niebo o północy, a powyżej – jasny jak jajko drozda. Ponad drzwiami, zgodnie z prowansalską tradycją, umieszczono małe, owalne malowidła ściennie przedstawiające pory roku. Wskazałem na jesień zobrazowaną nad drzwiami prowadzącymi z jadalni do foyer.

- Trwają tam żniwa – powiedziałem.

- Na pewno zebrano tu setki żniw – odparła Sandrine. – Gdyby tylko obrazy umiały mówić. Prawda, M. Barbier?

- Chciałbym skosztować trochę wina, które wtedy robili.

- Jestem pewna, że to był bełt – stwierdziła Sandrine. – Moi dziadkowie dodawali wody do swojego wina, a to nie było tak dawno temu.

- Pewnie masz rację.

Właśnie miałem, Justinie, powiedzieć coś o najstarszym winie, jakiego próbowałem - Châteauneuf-du-Pape - gdy się zatrzymałem. Przerwał mi ledwie słyszalny szept - tak cichy, że nie mogłem nic zrozumieć.

- Słucham?

Popatrzyła na mnie, marszcząc brwi.

- Nic nie mówiłam - powiedziała. - Może skończymy na dziś? - Patrzyła na mnie, jakbym był jakimś zbzikowanym starcem.

- Dobry pomysł - odparłem, starając się, żeby zabrzmiało to nonszalancko. - Masz ochotę na piwo?

- Po to je kupiłam! - odrzekła. - Idę do piwnicy znaleźć jakieś miejsce na skrzynki i to będzie wszystko na dziś.

- Zróbmy to jutro - zaproponowałem.

Machnęła ręką w moim kierunku.

- Nie, lepiej teraz. - Najwyraźniej chciała w ten sposób pokazać, że się ze mną nie zgadza i zamierza zlekceważyć moją sugestię. - Włączę latarkę w mojej komórce. I będziemy mieli to z głowy.

Prawie w podskokach ruszyła do drzwi prowadzących do piwnicy i umiejscowionych za schodami. Otworzyła je kluczem, który wisiał na gałce. Po kilku sekundach zawołała z dołu:

- Tu jest mnóstwo miejsca!

Słyszałem, jak rozmawia sama ze sobą - *oh là là to, oh là là* tanto - uśmiechnąłem się szeroko i skierowałem do kuchni po piwo. Wychodziłem z butelką w każdej ręce, gdy nagle Sandrine wybiegła z piwnicy, zaczerwieniona, z szeroko otwartymi oczyma. Minęła mnie, ruszyła do drzwi wejściowych i wybiegła na zewnątrz. Pośpieszyłem za nią, odstawiając piwa na konsolę w foyer. Sandrine zatrzymała się przy sośnie i oparła o nią, ciężko dysząc.

- Co, u licha? - zapytałem.

Potarła szyję, w jej oczach wzbierały łzy.

- Nie mogłam oddychać...

- Było duszno?

Gwałtownie pokręciła głową.

- Nie. - Odetchnęła głęboko i znów dotknęła szyi. - Było zimno, nie gorąco. Ale nie mogłam oddychać. - Miałem ją poprosić, by się nie powtarzała, ale ona zaczęła mówić dalej: - Ktoś mnie dusił.

Cofnąłem się o krok i potknąłem o korzenie drzewa. Widziałem, że nie żartuje ani nie udaje.

- W takim razie - stwierdziłem - musimy wezwać policję.

- Ale tam na dole nikogo nie ma - odparła. - Jak ktoś mógłby tam być? Przez cały dzień pracowaliśmy tuż przy drzwiach wejściowych.

- Więc tam zejść.

Nie śmieję się, Justinie. Wiem, że zachowywałem się jak idiota, strugając bohatera, ale nie mogłem jej pokazać, że autor książki *Wszystko, co powiedzieliśmy* to cykor.

- Pójdę z panem - oznajmiła, chwytając mnie pod rękę.

Dostrzegła więc, że jestem cykorem.

- To mógł być wiatr - wymruczałem, kiedy stanęliśmy u szczytu schodów do piwnicy.

Chciałem powiedzieć jej o moich bezsennych nocach, ale raczej nie był to dobry moment.

- Zostanę tutaj - powiedziała, stając na pierwszym stopniu i wpatrując się w dół, w czeluść piwnicy. - Będę świeciła latarką.

- Dobrze.

Ruszyłem w dół, starając się robić dużo hałasu.

Sandrine zaczęła śpiewać starą piosenkę Claude'a Nougaro zatytułowaną *Tu verras* i uznałem, że to bardzo dobry wybór:

„Ach, zobaczysz, zobaczysz. Wszystko zacznie się jeszcze raz, zobaczysz”.

Tak jak powiedziała, na dole było bardzo przestronnie i zimno. Ściany wykonano z surowego kamienia, a podłogę z nudnego, szarego betonu.

- Tu jest zbyt wilgotno na skrzynie - zawołałem w górę, usiłując prowadzić rozmowę. - Umieścimy je w jednym z budynków gospodarczych.

Poświeciłem latarką dookoła, przechodząc z pomieszczenia do pomieszczenia. Butelki po winie, połamane krzesło i niezliczone stosy gazet. Jeśli wcześniej w tej piwnicy znajdowało się więcej rzeczy, to je usunięto, zanim kupiłem *bastide*. Jedno z pomieszczeń zajmował przestarzały piec. Jak przez mgłę pamiętałem, jak stryj Sandrine - mój przyjaciel Matton - mówił mi, że system grzewczy w budynku wymaga wymiany. Piwnica robiła niesamowite wrażenie, ale z całą pewnością byliśmy tu sami.

Wyszedłem na górę i z ulgą dostrzegłem minispódniczkę Sandrine w gwiazdy i paski.

- Czy schodziłaś tutaj, sprząając dom? - zapytałem.

Sandrine pokręciła przecząco głową.

- Drzwi były zamknięte na klucz, a klucza nie znalazłam.

- Oczywiście - przytaknąłem. - Dopiero wczoraj go tu powiesiłem.

- Przepraszam, M. Barbier - odezwała się, kiedy starannie zamykałem drzwi. Pokazałem jej klucz i włożyłem go do kieszonki koszuli. Próbując się uśmiechnąć, dodała: - Może to wszystko sobie wyobraziłam.

- Napijmy się teraz tego piwa. Na dworze.

Chciałem zaproponować, by nazywała mnie Valère, ale wiedziałem z doświadczenia, że relacje zawodowe powinny

pozostać formalne. Nie, Justinie, nie możesz zwracać się do mnie Valère. Bardzo zabawne.

- Potrzebuję czegoś mocniejszego - stwierdziła wtedy. Jej usta lekko drżały i zagryzała górną wargę, by to powstrzymać.
- Na przykład whisky.

Zaskoczyła mnie. Większość francuskich kobiet nie pije mocnych trunków.

- To życzenie mogę spełnić - odparłem. - I chętnie do ciebie dołączę.

Usiedliśmy na leżakach i wpatrywaliśmy się w winnicę. Zapaliłem duże cygaro Montecristo double corona, a Sandrine wyjęła paczkę tych długich, cienkich, mentolowych papierosów. Kiedy zapaliła jednego, powiedziała, że nie pali codziennie, wypala kilka sztuk, kiedy pije alkohol.

- Więc to mi nie szkodzi - stwierdziła, wrzucając do torebki zapalniczkę z napisem *Marseille je t'aime*. - Nie tak, jak palenie tego - mówiła dalej, wskazując na moje cygaro.

Wygłosiłem krótką lekcję o cygarach, wyjaśniając, że do tabaki nie dodaje się żadnych chemikaliów i, co najistotniejsze, cygarem się nie zaciągamy, więc nie ma ryzyka raka płuc. Ale w twoim wypadku, Justinie, przekonuję przekonanego. Powiem ci, że przywiozłem z Francji trochę kubańskich cygar, by dziś wieczorem je z tobą wypalić.

Sandrine zapytała:

- Ale takie duże cygaro to chyba jest mocne?

To powszechny błąd, powiedziałem jej, i pozwoliłem jej się sztachnąć. To może wydawać się bardzo intymne, ale dzielenie się cygarem nigdy mi nie przeszkadzało, zwłaszcza jeśli mogłem nawrócić palacza papierosów.

Jej twarz rozjaśniła się.

- *Ça alors!* - wykrzyknęła, wydmuchując dym z cygara jak profesjonalista. - Ależ dobrze smakuje! Bardzo dobrze!

Godzinę i jedną whisky później Sandrine poszła do domu po jakieś przekąski. Wróciła z miską orzeszków ziemnych i z salami, którą pokroiła na duże kawałki. Staralem się nie skrzywić - cienko pokrojona wędlina zawsze smakuje lepiej. Agathe mnie tego nauczyła. Sandrine opowiadała o Prowansji, o pogodzie i o swojej siostrze Josy. Czułem się tak zrelaksowany, jak nigdy od miesięcy. Około ósmej czy dziewiątej wyprostowała się i zaczęła szukać w torebce kluczyków do samochodu. Przez ostatnią godzinę wypila mnóstwo wody, więc wiedziałem, że będzie mogła kierować autem. Wstałem, by ją odprowadzić, uściśnłem jej dłoń i powiedziałem, jak ogromnie była pomocna.

- Czy możesz przyjechać jutro? - zapytałem.

- Oczywiście - odparła, siadając za kierownicą. - Mamy do zrobienia kuchnię i możemy pomyśleć, jak ją przeprojektować.

Włożyła kluczyk do stacyjki, a samochód zacharczał głośno. Westchnęła i roześmiała się, poklepując deskę rozdzielczą.

- *Clochette! Allez, Clochette!*

Tak, nazywała ten stary, zdezelowany samochód Dzwoneczkiem. Pojazd wydawał zabawne dźwięki i nie chciał ruszyć. Widzisz, do czego to zmierzało.

- Czy to akumulator? - zapytałem.

Jako paryżanin nie wiedziałem nic o samochodach.

- Akumulator mam nowy - odparła. - Słysząc, jak próbuje poruszyć silnik. - Spojrzała w górę i uśmiechnęła się do mnie, myśląc zapewne, jakie to śmieszne, że tego nie zauważyłem. -

Nie, to pompa paliwowa - mówiła dalej. - Kiedy miałam ten problem wcześniej, wymienili mi filtr paliwa, ale teraz obawiam się, że muszą wymienić pompę. *Ô purée!* - To uroczy, południowy zamiennik słowa *putain*.

Wyjęła telefon komórkowy i do kogoś zadzwoniła. Usłyszałem po drugiej stronie męski głos i odsunąłem się, by zapewnić jej trochę prywatności. Szybko wyrzucała z siebie

słowa, tak naprawdę bardziej krzyczała do telefonu, niż mówiła.

- *Connard!* - krzyknęła w końcu i się rozłączyła.

Podszedłem do samochodu.

- Rozumiem, że ten człowiek nie może ci pomóc?

- *Connard d'ex!*

- Były chłopak? - zapytałem. A może były mąż. Albo były szwagier. Nie miałem pojęcia. W każdym razie nazwała go dupkiem.

- Tak! Jeden z moich byłych chłopaków. André - zawołała. - Siedzi w domu i ogląda Puchar Świata!

- O, piłka nożna? Teraz grają?

Sandrine zagwizdała.

- Wow. Dzisiaj ostatni mecz. Z jakiej pan jest planety?

- A Josy? - zapytałem, ignorując jej złośliwość.

Sandrine zrobiła przerwę, zanim odpowiedziała:

- Wyjechała na wakacje.

- Nie martw się - pocieszałem ją. - To pewnie lepiej, że nie będziesz prowadzić, po tej whisky.

Westchnęła i wysiadła z samochodu. Poklepała maskę i powiedziała:

- To nie twoja wina, Clochette.

Zaczęła przeszukiwać kontakty w telefonie, ale widziałem, że nie wierzy, by ktokolwiek tu po nią przyjechał. Jej dłoń lekko drżała.

- Kupiłaś wystarczająco dużo pościeli, by założyć mały, luksusowy hotel - powiedziałem. - Możesz wybrać dowolną sypialnię, na kolację zamówimy pizzę ze wsi. Zawiozłbym cię do Aix, ale wypilem więcej whisky niż ty. Jutro znajdziemy mechanika. Zauważyłem, że we wsi jest warsztat.

- Przykro mi, M. Barbier - odezwała się. Spojrzała na dom, a ja nie byłem pewny, czy jest jej przykro, bo sprawia mi kłopot,

czy też boi się spać w La Bastide Blanche. Wzruszyła ramionami. – Ale przynajmniej będę tutaj, kiedy wcześniej rano pojawi się EDF.

Wróciliśmy na leżaki, a ja poszedłem do domu, by zabrać telefon komórkowy i butelkę wina. Podczas jednego z moich spacerów do Puylobier zapisałem sobie w telefonie numer do pizzerii. Wioska leżała zaledwie o kilometr od *bastide*, ale nie miałem ochoty tam iść, zaczęło się już ściemniać. Sandrine także weszła do środka i przyniosła dwa kieliszki oraz korkociąg. Była kobietą, która zawsze brała sprawy w swoje ręce. Zapytałem, jaką chce pizzę, zgodziliśmy się na chorizo, grzyby i czerwoną paprykę. Kiedy zadzwoniłem do pizzerii, ponownie usiedliśmy i nalałem każdemu z nas trochę wina.

– M. Barbier – zagadnęła – dlaczego zaczął pan pisać swoje cudowne romanse?

To pytanie zadawano mi nieskończoną ilość razy, ale domyślałem się, że Sandrine nie czytała moich standardowych odpowiedzi.

– Śmierć Agathe złamała mi serce – powiedziałem. – Napisałem pierwszy romans...

– *Kolejny dzień!*

– Właśnie. Jako hołd dla niej. Nie myślałem: „Zmieniam gatunek literacki”. Pisałem o tym, co miałem w sercu i co, jak uważałem, powinienem wyrazić.

– A wcześniejszych książek nie pisał pan z serca? – zapytała. Dla większego efektu położyła rękę na piersi.

– Nie – odparłem z namysłem. – One były bardziej stąd – dodałem, wskazując na skroń. – Émile Zola powiedział kiedyś, że jego przyjaciel, Paul Cézanne, jest bardziej utalentowany od niego, bo maluje sercem, podczas gdy on sam pisze głową.

Sandrine słuchała ze zmarszczonymi brwiami i uśmiechnęła się, zrozumiawszy, co Zola miał na myśli.

- I potem nadal pisał pan romanse.

Wolałbym, żeby nie nazywała ich romansami. W branży określano je jako „współczesne powieści dla kobiet”. Ja też tak o nich mówię.

- Tak. Zwłaszcza po sukcesie *Kolejnego dnia*. Pisanie tych książek przynosiło mi emocjonalną ulgę. Tańszą niż terapia.

- Zapewniało panu dobre samopoczucie.

- Właśnie. - Nie dodałem: „I bogactwo”.

- Dlatego uwielbiam sprzątać - oznajmiła. Próbowiałem nie okazać zaskoczenia. Mówiła dalej: - Pomagam innym i dzięki temu dobrze się czuję. Porządkuję ich rzeczy, więc oni też czują się lepiej sami ze sobą.

Delikatnie stuknęliśmy się kieliszkami.

- Jeśli o mnie chodzi, to już to zrobiłaś. Dziękuję.

- Jak zmarła Mme Barbier?

Ludzie zwykle nie zadawali tego pytania. Albo znali odpowiedź, bo wszystko zostało opisane w prasie, albo nie chcieli pytać.

- Nie jesteśmy pewni.

Teraz to ona spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

Mówiłem dalej:

- Jej przypadek nigdy nie został rozwiązany. Tak naprawdę śledztwo wciąż jest otwarte. Agathe wpadła do morza. Przynajmniej ja tak pamiętam tamtą noc. Byliśmy na jachcie mojego wydawcy, nazywał się Alphonse Pelloquin. Kilka lat temu zmarł na raka. Zrobiło się późno, a wszyscy dużo wypiliśmy. Morze było lekko wzburzone. Ja zszedłem na dół na drzemkę...

Sandrine, milcząc, wpatrywała się w swój kieliszek. Z oddali usłyszeliśmy dźwięk silnika i chrzęst żwiru. Wkrótce do domu zaczęło się zbliżać małe światło. To była nasza pizza.

Na końcu podjazdu, około trzech metrów od nas, pojawił się mały motorower z czerwoną drewnianą skrzynką zamocowaną z tyłu. Kurier zsiadł i wyjął ze skrzynki pizzę. Miałem przygotowane pieniądze i ruszyłem w jego stronę. Powoli zdjął kask i zobaczyłem, że to dzieciak, miał może dwadzieścia lat. Wpatrywał się we mnie i zanim się odezwał, przełknął ślinę:

- M. Barbier - zaczął. - To... prawdziwy zaszczyt.

- Przywieźć mi pizzę? - zapytałem, próbując się roześmiać. Myślę, że whisky i wino zrobiły swoje.

Dzieciak roześmiał się i wręczył mi pizzę.

- Nie, to zaszczyt pana poznać - odparł.

Wyciągnął do mnie chudą dłoń, a ja ją uściśnąłem. Miałem zamiar zapytać, czy ma na imię Dylan, a następnie zrugać go za popisanie ścian w pokoju dziennym, ale on przedstawił się jako Thomas.

- Witam, Thomasie - powiedziałem. Zdałem sobie sprawę, że w tym całym zamieszaniu posłużyłem się swoim prawdziwym nazwiskiem podczas składania zamówienia. Zazwyczaj jestem M. Dupin. George Sand urodziła się jako Aurore Dupin.

- Chciałem tylko powiedzieć - odezwał się Thomas drżącym głosem - że *Czerwona ziemia* to moja absolutnie ulubiona książka.

Odwrociłem się, mając nadzieję, że Sandrine będzie chciała porozmawiać o *Pocztówkowym romansie*, ale była zajęta zapalaniem świec na stole na tarasie.

- Bardzo mi miło - odpowiedziałem szczerze.

- Musieliśmy ją przeczytać w szkole średniej - wyjaśnił. - Ale od tamtej pory kilkakrotnie do niej wracałem. - Wskazał na motorower i dodał: - To moja wakacyjna praca.

Skinąłem głową.

- Brawo. Praca w wakacje jest bardzo ważna. A co będziesz robił jesienią?

- Zaczynam drugi rok szkoły *prépa*.

* * *

- Clothilde uczyła się w takiej - wtrącił Justin. - Mówiła, że to było czyste piekło.

- Bo taka jest prawda. Koszmarne dwa lata piekielnej nauki - *préparation*, aby przystąpić do egzaminów wstępnych do *une grande école*.

- Tak, ale jeśli się dostaniesz, studiujesz za darmo, prawda? - zapytał Justin.

Valère się roześmiał.

- Nie tylko studiujesz za darmo, ale też wypłacają ci stypendium. Za to, że jesteś studentem! Zapytałem Thomasa, na jakie studia się wybiera.

* * *

- Nauki polityczne - odpowiedział Thomas. - Chcę być dziennikarzem.

Tak, masz rację, Justinie. To są szkoły nauk politycznych z wieloma przedmiotami humanistycznymi.

- Życzę ci wszystkiego dobrego - powiedziałem do Thomasa, znów ściskając jego dłoń. - I proszę, bądź ostrożny na tym ustroju. - Wskazałem na motorower.

- Tak jest, M. Barbier! - zawołał, wkładając kask.

Chciałem zaproponować mu jakąś pracę, w ogrodzie lub coś w tym rodzaju, by mógł zrezygnować z tego pojazdu. Myślałem o tym całkiem poważnie. Stałem się nowym człowiekiem, który prawie nie sypiał, ale bardzo różnił się od swojego poprzedniego, paryskiego ja.

- *Oh là là* - zakrzyknęła Sandrine. - Będziemy jedli zimną pizzę?

7

Aix-en-Provence, poniedziałek 5 lipca 2010

Zamiast skierować się w malutki pasaż Agard, najszybszą drogę powrotną do Pałacu Sprawiedliwości, Bruno Paulik poszedł w biegnącą po łuku rue Thiers, jedną ze swoich ukochanych ulic w Aix. Lubił stojące wzdłuż niej eleganckie, choć już nie pierwszej świetności hotele oraz małe, rodzinne sklepy, które były tu od dziesięcioleci. Wszedł teraz do jednego z nich o nazwie „Cendrillon”, gdzie mama ciągała jego i jego starszą siostrę podczas sobotnich wypraw na zakupy.

- *Bonjour, mesdames* - powiedział uprzejmie do pozostałych obecnych w sklepie osób - samych kobiet, patrzących na niego z ciekawością, po czym starannie zamknął za sobą drzwi.

- Ah, *bonjour, monsieur le commissaire* - odezwała się zadbana kobieta, w wieku około siedemdziesięciu lat, która pomagała innej klientce w wyborze butów wyjściowych.

- Przyszłam tutaj ze względu na córkę - wyjaśniła.

- Zaraz do pana podejść - powiedziała sprzedawczyni.

- Ależ proszę obsłużyć pana - rzekła klientka. - Ja się trochę przejdę w tych butach po sklepie.

- *Merci, madame* - podziękował Bruno.

Rozejrzał się dookoła i mógłby przysiąc, że wewnątrz nie zmieniło się od dziesiątków lat, z wyjątkiem cen, które zdecydowanie poszły w górę i już nie liczyło się ich we

frankach. Teraz jednak trwały letnie wyprzedaże, a Léa potrzebowała nowych sandałów.

- *Et votre maman?* - zapytała sprzedawczyni, a Bruno zdał sobie sprawę, że to musi być Anne-Marie, właścicielka sklepu. - *Vos soeurs?*

- Wszyscy mają się dobrze, dziękuję - odpowiedział. Anne-Marie go pamiętała i wiedziała, że jest policjantem, ale on nie od razu ją sobie przypomniał. - *Maman* i *papa* nadal są bardzo aktywni - mówił dalej. - Powiem im, że pytała pani o nich.

- I proszę powiedzieć mamie, że za dwa miesiące zamykamy sklep, i że doceniamy, iż przez te wszystkie lata korzystała z naszych usług.

- Zamykacie na dobre?

- Obawiam się, że tak. Wczesna emerytura. Po prostu nie możemy konkurować z...

Bruno skinął głową.

- Z sieciówkami. Przykro mi.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Szuka pan butów dla córki?

- Tak, sandałów w rozmiarze 36. Chce te produkowane w Saint-Tropez - odpowiedział. - Mam konkretne zamówienie. Mają być z jasnobrązowej skóry.

Anne-Marie przechyliła głowę.

- Nie jestem pewna, czy mamy jeszcze w rozmiarze 36, ale sprawdzę.

Poszła na zaplecze, a Bruno uśmiechnął się do klientki, która chodziła po sklepie i testowała pantofle na wysokich obcasach.

- Letni ślub - wyjaśniła. - Moja siostrzenica. - Podeszła do Paulika i szepnęła: - Wesele będzie kosztowało fortunę. Wynajmują Château Grimaldi w Puyricard.

- Lepiej zacznę oszczędzać - powiedział Bruno. - Moja córka ma prawie dwanaście lat.

Kobieta roześmiała się i podeszła do lustra, by popatrzeć na buty. Bruno pomyślał, że ślub Antoine'a i Marine był jednym z najmiłszych, w jakich ostatnio uczestniczył. Odbył się przed rokiem w małej liguryjskiej wiosce.

Anne-Marie wróciła z pudełkiem w rękach.

- Świetnie - powiedział Bruno.

- Niezupełnie - odparła. - Nie są brązowe, a wiem, jak wybredne potrafią być małe dziewczynki. To ta firma z Saint-Tropez, ale srebrne. To teraz bardzo modny kolor. - Wskazała na małą, metalową naszywkę na jednym z pasków, by potwierdzić autentyczność buta.

Popatrzył na sandały z pięcioma delikatnymi paskami oplatającymi stopę. Były w modzie, od kiedy pod koniec lat pięćdziesiątych spopularyzowała je Brigitte Bardot. Jego siostry zawsze je nosiły, podobnie jak dziewczęta i kobiety w Aix.

- Wezmę je - zdecydował.

* * *

Marine pocałowała Verlaque'a na pożegnanie, życzyła jemu i Jean-Marcowi miłego dnia, po czym wyszła z kawiarni i skierowała się w górę rue Clemenceau w stronę ich mieszkania znajdującego się nieopodal katedry. W pierwszym roku małżeństwa każde z nich zachowało własne mieszkanie, ale niedawno sprzedali to należące do niej i właśnie zaczęli rozglądać się za czymś na wsi. Ceny nieruchomości przyprawiły ją o zawrót głowy, podobnie jak fakt, że jej mężowi ani razu nie drgnęła powieka, kiedy oglądali odnowione wiejskie domy wyceniane na wiele milionów euro. Twierdził, że po prostu przywykł do paryskich cen, ale według niej jego niefrasobliwość wynikała z bogactwa, w jakim wzrastał. Dziadek Antoine'a, Charles Verlaque, zbił majątek na budowie i eksploatacji młynów, ojciec Antoine'a, Gabriel,

przejął firmę w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku, choć nie był do tego przekonany.

Marine uwielbiała poranki w Aix, szczególnie latem, zanim jeszcze zaczynały się pojawiać pierwsze grupy turystów. Kiedy była dziewczynką, marzyła o mieszkaniu w wielkim mieście, w Paryżu albo Rzymie, i pragnęła, by jej miasto nie było zbyt sennie. Teraz zaś życzyłaby sobie, żeby w Aix mieszkało mniej ludzi. W kilka minut doszła do placu, który nazywano des Martyrs de la Résistance, ale to jego poprzednia nazwa – l'Archevêché – wryła jej się w pamięć. To właśnie z nią dorastała. Zamiast skręcić w prawo, w stronę ich mieszkania, zdecydowała się odwiedzić katedrę. Miała przed sobą długi dzień badań nad wojennymi losami Simone de Beauvoir i Jean-Paula Sartre'a i potrzebowała natchnienia. Kiedy jej pomysł na książkę – poświęconą zawodowej i uczuciowej relacji tej pary – został przyjęty przez prestiżowe paryskie wydawnictwo, zrezygnowała ze stanowiska profesorki prawa na Université d'Aix-Marseille. Decyzja o rezygnacji z pracy nie została podjęta pod wpływem impulsu – Marine rozważała ją poważnie już od roku i gdy podpisała umowę na książkę, postanowiła złożyć u pani dziekan wymówienie. Antoine bardzo ją w tym wspierał. Teraz, po prawie roku od tamtej chwili, dawni koledzy mówili jej, że uniwersytet wciąż nie zatrudnił nikogo na jej miejsce. Czowała ulgę, że jest już daleko od skostniałej Akademii Francuskiej.

Kiedy stanęła przy kościele Saint-Sauveur, powitała ją wyrzeźbiona twarz Świętego Mitre. Święty Mitre został ścięty w V wieku i na tym wizerunku trzymał w rękach własną głowę. To dużo bardziej eleganckie – uznała Marine – niż gdyby głowa leżała na ziemi przy jego stopach. Albo została umieszczona na półmisku, jak w niektórych przedstawieniach Judyty z głową Holofernesa. Marine zatrzymała się, by dać stojącemu przy drzwiach żebrakowi jedno euro. Mężczyzna powiedział „*merci*”

i wtedy zauważyła, że był niewidomy. Weszła do środka, z jasnego, słonecznego światła w półmrok kościoła. Panował tu łagodny chłód, podczas gdy na zewnątrz zrobiło się już gorąco. Chociaż kochała mieszkać w centrum, cieszyła ją wizja domu na wsi, o grubych ścianach, które najpewniej ochronią ich przed upałem. Zmarszczyła brwi, uświadamiając sobie, że jej poczucie winy z powodu planowanego zakupu domu szybko maleje.

Kaplica Świętego Mitre znajdowała się po lewej stronie nawy bocznej, ale Marine przemierzała kościół w konkretnym celu. Nie przyszła tu, by zobaczyć mieszczący się w kaplicy sarkofag świętego. „Kto wie, czyje ciało znajduje się pod tym kamieniem” – pomyślała. Chciała zrobić coś, co robiła od dzieciństwa i co zawsze przynosiło jej szczęście. A przynajmniej pozwalało trzeźwo myśleć. Na kolumnie po prawej stronie nagrobka, na wysokości około metra, znajdował się otwór wielkości dużej monety. Jak mówiła legenda, otwór ten wydzieliał tajemniczą ciecz, która leczyła choroby oczu. Schyliła się i powoli włożyła tam palec. Zamknęła oczy i pomyślała o żebraku przed kościołem. Starła się nie słyszeć dochodzących ze świątyni dźwięków i skupić myśli na swojej książce. Ale wizja kamiennego wiejskiego domu nie pozwalała jej zaplanować następnego rozdziału. Otwierając oczy, powoli wodziła palcem po gładkiej, zimnej powierzchni wgłębienia. Westchnęła. Nie czuła żadnej cieczy i tak naprawdę nie zauważyła jej tam nigdy wcześniej.

* * *

Aby przekonująco przedstawić ideę książki, Marine zaplanowała rozdziały najprościej, jak mogła. Książka miała opowiadać o długim życiu dwojga ludzi, przypadającym na jedno z najbardziej burzliwych stuleci w historii, zdecydowała więc, że rozdziały będą opisywać wydarzenia chronologicznie.

Po podpisaniu umowy zastanawiała się, czy nie ukazać losów bohaterów z większą odwagą i na przykład wędrować w czasie, ale w końcu logika wzięła górę i Marine postanowiła pozostawić rozdziały bez zmian. Przez cały dzień obmyślała treść rozdziału trzeciego, dotyczącego lat 1937-1939, i pod koniec dnia zapisała jego tytuł: „Nadchodząca wojna”, po czym zamknęła laptop.

Przed kilkoma miesiącami Verlaque przekształcił wychodzącą na pokój dzienny antresolę na biuro Marine.

- A co z biurem dla ciebie? - zapytała wtedy.

- Ja już mam biuro - odparł. - W pracy, w Pałacu Sprawiedliwości. W domu jedynie płacę rachunki, a do tego wystarczy mi stół w jadalni.

Wiedząc, że zaraz wyjdzie na niemiłosierny upał, Marine wypila pełną szklankę wody. Następnie chwyciła kluczyki i torebkę i wyszła z mieszkania, by zabrać do siebie swoją córkę chrzestną, Charlotte. Dziewczynka mieszkała tuż za rogiem z matką, Sylvie, najbliższą przyjaciółką Marine. Przed dwunastoma laty Sylvie miała romans z żonatym mężczyzną i ukryła przed nim ciążę, wbrew radom niemal wszystkich swoich przyjaciół, w tym Marine. Tego wieczoru Marine i Charlotte były zaproszone na kolację do Hélène i Brunona Paulików, aby Léa i Charlotte - najlepsze przyjaciółki - mogły się spotkać. Verlaque wychodził z przyjaciółmi z klubu palaczy cygar. Mieli oglądać mieszkania do wynajęcia w centrum z nadzieją, że znajdą odpowiednie lokum na siedzibę klubu.

Kiedy Marine podjechała, Charlotte stała już na ulicy, przy drzwiach frontowych. Marine bardzo się zdziwiła, widząc ją samą, jakby nie pamiętała, jak duża jest dziewczynka na swoje jedenaście lat.

- Gdzie jest Sylvie? - zapytała, kiedy wymienili z chrześniaczką *bise*.

- Musiała już iść - wyjaśniła Charlotte. - Była spóźniona na spotkanie.

Marine skinęła głową i nic nie powiedziała, myśląc, że „spotkanie” oznaczało zapewne randkę, a Charlotte nie chciała o tym mówić. Dziewczynka nigdy nie spotkała swojego ojca, ale Marine wiedziała, że był on znanym fotografikiem i mieszkał w Berlinie z żoną i dziećmi.

- *Maman* przez całe godziny przygotowywała się w łazience - odezwała się Charlotte.

Marine spojrzała na chrześniaczkę i uśmiechnęła się.

- Tak?

- Musiałam umyć zęby przy zlewie w kuchni.

- Biedactwo! - powiedziała Marine, siląc się na lekki ton. Nie była pewna, dokąd zmierza ta rozmowa i czy Charlotte nie skrywa zranionych uczuć.

- W końcu wyszła z łazienki, ale zaraz pobiegła z powrotem i zmyła z twarzy większość makijażu - mówiła dalej Charlotte. - A potem po raz trzeci zmieniła kreację.

Marine zagwizdała.

- Sylvie wygląda świetnie niezależnie od tego, co ma na sobie. Nie musi się za bardzo o to martwić.

Charlotte uśmiechnęła się.

- Tak, *maman* jest naprawdę piękna.

Wzięła Marine za rękę i ruszyły w stronę podziemnego parkingu, gdzie Marine i Antoine trzymali swoje samochody. Marine i Charlotte rytmicznie kołysały rękoma, a dziewczynka opowiadała o szkole. Za rok pójdzie do gimnazjum i zdecydowała się zdawać egzaminy do dwujęzycznej, francusko-angielskiej klasy w Collège Mignet. Do tej pory rolę jej nauczyciela angielskiego odgrywał Antoine Verlaque. Léa Paulik z pewnością dostanie się na intensywny program

muzyczny. Dziewczynki był zachwycone perspektywą uczenia się w tej samej szkole w centrum miasta.

Niespełna dwadzieścia minut później jechały w górę zakurzonej, żwirowej drogi prowadzącej do domu Paulików. Verlaque przekonał Marine do kupna samochodu, pokazywał jej zdjęcia małych, eleganckich, włoskich i francuskich samochodów wyścigowych. Ona jednak uparła się przy małym, czterodrzwiowym Renault Clio.

- Wyprodukowane we Francji - powiedziała. - Poza tym moi rodzice zawsze kupują Renault.

- Wiem - odparł Verlaque, a wyraz jego twarzy podkreślił smutek w jego głosie.

Marine roześmiała się.

- Moja rodzina od lat należy do klientów salonu Aix Renault i wiem, że nie zedrą ze mnie skóry, kiedy przyjdzie do napraw.

Tego dnia temperatura wynosiła trzydzieści cztery stopnie i Marine cieszyła się, że samochód jest wyposażony w klimatyzację.

- Widać górę! - zawołała Charlotte, wychylając się do przodu, by lepiej przyjrzeć się Sainte-Victoire.

- Wygląda, jakby się przechylała w naszym kierunku, jest tak blisko - powiedziała Marine i gwałtownie skręciła, by ominąć wyboje. - Jakby chciała chronić winnice.

- Jest taka biała! - wykrzyknęła dziewczynka. Przysłoniła ręką oczy, a Marine się roześmiała.

- Jesteśmy na miejscu, Léa już na ciebie czeka! - oznajmiła Marine, parkując samochód pod dębem z nadzieją, że drzewo zapewni odrobinę cienia.

Léa dopadła do nich i objęła Charlotte, gdy tylko ta wysiadła. Dziewczynki zaczęły rozmawiać, a Marine uśmiechnęła się. Charlotte była prawie o głowę wyższa od niewysokiej, pulchnej Léi.

- *Állo*, Marine! - zawołała Léa i podbiegła, by dać *bise*.

Marine uścisnęła ją i powiedziała:

- Chyba dużo biegasz, Léo.

- Ale nie wolno mi wchodzić do laboratorium mamy - odparła dziewczynka, wycierając pot z brwi. - Mama się boi, że coś potłukę!

- Z pewnością słusznie! - stwierdziła Marine ze śmiechem. - Wina Hélène są teraz bardzo drogie.

Léa wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia o cenach win swojej mamy i nie była nimi w najmniejszym stopniu zainteresowana.

- Chodźmy do mojego pokoju - zwróciła się do Charlotte. - Mam trochę nowych książek o Alice.

Dziewczynki pobiegły do domu, by poznawać najświeższe przygody francuskiej Nancy Drew⁵.

Hélène i Bruno Paulikowie wyszli na zewnątrz i zaprosili Marine do siebie.

- Możesz w to nie wierzyć, ale w środku jest chłodniej - powiedziała Hélène.

- Wierzę - odparła Marine.

Wymienili *bise* i Hélène wprowadziła Marine do przestronnej kuchni.

- Dam ci dużą szklanekę wody - zaproponowała. - I mamy niespodziankę. Jesteśmy zaproszeni do sąsiada na aperitif.

- Do Valère'a Barbiera? - zapytała Marine.

- Tak - rzekł Bruno. - Ma jakiś prezent dla Léi.

- To trochę jak spotkać gwiazdę rocka - zauważyła Marine, kiedy wypięła głęboką łyk wody.

- Zobaczysz - odparł Bruno. - To zwyczajny facet.

- Jest nawet trochę... melancholijny - dodała Hélène.

- Pewnie nigdy nie otrząsnął się po śmierci żony - stwierdziła Marine.

Hélène uśmiechnęła się, wiedząc, jaka romantyczna jest jej od niedawna zameżna przyjaciółka.

Marine dopiła wodę i mówiła dalej:

- A fakt, że Agathe Barbier zginęła w tajemniczych okolicznościach...

Bruno machnął ręką.

- Żadnych amatorskich śledztw, proszę. - Przepadał za Marine, ale obawiałby się o jej bezpieczeństwo, gdyby zaczęła wściubiać nos w sprawy policji. - Ona utonęła.

- Jej sprawa jest wciąż otwarta - pośpiesznie dodała Marine. - Sprawdziłam to.

- Powinnaś raczej skupić się na swojej książce - powiedziała Hélène i ze śmiechem pogroziła przyjaciółce palcem.

- Święta racja - odparła Marine. - Myślałam, że kiedy odejdę z uniwersytetu, będę miała całe morze czasu na pisanie. Ale dni mijają bardzo szybko.

- Hej, pora wychodzić - zawołała Léa z holu.

Bruno wzniosł oczy ku górze.

- Nasz budzik.

- Słyszałam to, *papa*.

* * *

- Wiesz, kto to jest? - zapytał Lée Valère. Siedzieli na chłodnej, wykładanej płytami ceramicznymi podłodze, przy kartonowym pudle i patrzyli na czarno-białą fotografię. Charlotte przycupnęła obok nich, a Hélène, Bruno i Marine usadowili się na fotelach rozstawionych wokół pudła. Sandrine krążyła pomiędzy pokojem a kuchnią i przynosiła schłodzone różowe wino dla dorosłych oraz oranginę dla dziewczynek. Cieszyła się, że jest prąd - ale ludzie z EDF uprzedzali, że instalację elektryczną trzeba będzie wkrótce całkowicie wymienić.

Léa, wpatrzona w fotografię, uśmiechnęła się.

- Oczywiście, że tak - odparła.

Bruno się skrzywił - jego córka, dorastając, stawała się coraz bardziej przemyślana. Ale Valère'owi Barbierowi podobała się jej pewność siebie i teraz droczył się z dziewczynką.

- Więc mi powiedz.

- No przecież to Maria Callas - odrzekła. Przysunęła zdjęcie bliżej i powiedziała: - Ona była taka piękna.

- Tak, to prawda - potwierdził Valère.

- Czy pan robił to zdjęcie? - zapytała Charlotte, owijając wokół ramion apaszkę, którą znalazła w koszu.

Valère roześmiał się.

- Nie, to ja jestem na zdjęciu, obok Marii.

- Ten żeglarz? - zdziwiła się Charlotte, pochylając się, by lepiej widzieć.

Dorośli roześmiali się.

- Taka była na początku lat siedemdziesiątych moda na wybrzeżu. Sporo zapłaciłem za tę białą, lnianą marynarkę i granatową czapkę. To Pierre Cardin!

- Jaka ona była? - zapytała Léa, kompletnie niezainteresowana designerskimi strojami.

- Zawsze głodna - odparł Valère. - Biedna Maria uwielbiała jeść, ale musiała uważać na linię. Wychodziliśmy do restauracji, a ona wypytywała szefów kuchni o potrawy, które jedliśmy wszyscy tylko nie ona. Potem zapisywała przepisy na małych karteczkach i upychała je w torebce. Kochała ciasta i desery, ale nigdy nie mogła ich jeść.

- Ale przecież trzeba jeść, żeby śpiewać - zauważyła Léa.

- Zgadzam się! - przytaknął Valère. - Maria jadła mnóstwo sałatek i surowej wołowiny.

- *Beurk!* - zawołały dziewczynki unisono.

- Słuchamy jej w konserwatorium - odezwała się Léa. - Moja nauczycielka mówi, że jej średnie rejestry były doskonałe, ale wyższe brzmiały zbyt ostro.

- W średnich rejestrach była więcej niż doskonała - stwierdził Bruno. - I miała zniewalającą urodę.

Valère odwołał się do Brunona.

- Jest pan fanem opery?

- Od takiego dzieciaka - odparł Bruno i wyciągnął rękę na wysokość metra nad podłogą.

- Także pracuje pan w branży winiarskiej?

Bruno się roześmiał.

- Nie, jestem policjantem.

Valère wypuścił z rąk fotografię i próbował się zaśmiać.

- Głina, tak?

- Inspektor policji - sprostowała Léa. - Tata jest komisarzem.

- Léa - skarcił ją Bruno - nie poprawiaj dorosłych, proszę.

Valère machnął ręką.

- Wszystko w porządku. Inspektor policji to odpowiednie określenie. Ja na przykład nie znoszę, gdy nazywają mnie autorem romansów.

- Czy długo znał pan Marię Callas? - zainteresowała się Marine.

- O, nie. Tylko przelotnie - odparł Valère. - Była... trudna.

- „Jestem sama, zawsze sama” - odezwał się Bruno. - To właśnie powiedziała pod koniec życia, prawda?

- Tak - odrzekł Valère. - To dziwne, jak często pisarze, aktorzy i śpiewacy mówią coś takiego. Otaczają nas ludzie - tworzone przez nas postacie, nasi fani, odbiorcy - a jednak czujemy się samotni.

- Przekąski! - zawołała Sandrine, wchodząc do pokoju z tacą zastawioną małymi miseczkami.

- I oto jestem tutaj, po raz pierwszy w życiu mieszkam na wsi - kontynuował Valère.

- Myślimy z mężem o kupnie domu na wsi - oznajmiła Marine. - Ale ja przez całe życie mieszkałam w mieście, a mój mąż, Antoine, pracuje w centrum, więc pewnie często musiałabym spędzać czas sama w domu. A ja tak lubię przebywać wśród innych mieszkańców Aix.

- Najgorsza jest noc - zaczął Valère.

- Kto ma ochotę coś przegryźć? - przerwała mu Sandrine. - Mamy pistacje, drogie, angielskie chipsy ziemniaczane i oliwki z rynku.

Léa nie odpowiedziała. Nadal wpatrywała się w fotografię. Valère spojrział na nią i powiedział:

- Chciałbym, żebyś wzięła to zdjęcie, Léo.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Jest pan pewien? - zapytała.

- Właśnie, M. Barbier, czy jest pan pewien? - powtórzyła za nią Hélène.

- Całkowicie - odparł. - Sandrine zmusza mnie do wyrzucania rzeczy, których nie używałem albo nie oglądałem przez ostatnie kilka lat. A ja już zupełnie zapomniałem o tym zdjęciu.

- Dajmy je do oprawienia, M. Barbier - zaproponowała Sandrine. - I tak jedziemy do miasta, żeby oprawić rysunki pańskiej zmarłej żony. W ten sposób będzie pan mógł podpisać zdjęcie dla Léi.

- Doskonały pomysł - ucieszył się Valère. Spojrział na Charlotte, która nadal bawiła się jedwabną apaszką, obracając ją na różne strony. - A ty, Charlotte, możesz zatrzymać apaszkę.

- *Merci beaucoup!* - zawołała dziewczynka z szerokim uśmiechem. - Strasznie mi się podoba!

- Na pewno nie będę używał damskiej apaszki - dodał Valère rozbawiony.

- Nie należała do Marii Callas, mam nadzieję? - zapytał Bruno.

- Och, nie - odparł Valère, wpatrując się w apaszkę. - Nie sędzę.

Usłyszeli kołatkę na drzwiach wejściowych, ale zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć, w holu rozległ się mocny głos:

- Nie masz pojęcia, jaka droga jest taksówka ze stacji TGV do Puyloubier!

Hélène, Bruno i Marine obrócili głowy w stronę, z której dochodził głos, a Valère i dziewczynki odruchowo podskoczyli. Sandrine odstawiła tacę i ujęła się pod boki.

Do salonu weszła kobieta gdzieś pomiędzy sześćdziesiątym a siedemdziesiątym piątym rokiem życia, wysoka, potężnie zbudowana. Miała krótkie, kruczoczarne włosy i okulary w jasnoczerwonych oprawkach. Pasowała do nich jej szminka. Powiedziała:

- Valère, bardzo dziękuję za komitet powitalny na dworcu. Nie dostałeś moich esemesów? Miałam szczęście, że spotkałam taksówkarza, który mieszka tu we wsi, ale kiedy podałam mu adres, szybko zrobił znak krzyża. Co tu się dzieje? - Roześmiała się i rozejrzała po obecnych. - I co, u licha, robi to dziecko z moją apaszką od Hermèsa na szyi?

Przypisy:

⁵ Nancy Drew - nastoletnia detektyw z serii amerykańskich książek kryminalnych pisanych pod pseudonimem Carolyn Keene. Na ich podstawie powstał serial telewizyjny. We Francji imię bohaterki zmieniono na Alice (przyp. tłum.).

8

Nowy Jork, 22 września 2010

- Oczywiście, że widziałem esemesy od Michèle. Myślałem, że jak je zignoruję, to nie przyjedzie - powiedział Valère. - Ale to było głupie z mojej strony. Ona nigdy nikogo nie słucha.

- Kim zatem jest ta Michèle? - zapytał Justin.

- Michèle Baudouin, moja odwieczna rywalka. Sprzedaje więcej książek niż ja. Tak naprawdę myślę, że może być jedną z najlepiej się sprzedających autorów i autorek na świecie.

Justin wzruszył ramionami.

- Sądzę, że jej nazwisko coś by mi mówiło, gdyby była taka znana. Pisze pod pseudonimem?

- Tak. Rosalie di Santi. - Valère czekał i obserwował Justina.

- Och, z twojej zdumionej miny wnioskuję, że nawet milenials taki jak ty wie, kto to jest Rosalie di Santi.

- Hej, milenialsi interesują się kulturą! - zaproponował Justin i prawie dodał: „bardziej niż boomerzy, którzy mieli szczęście urodzić się w latach pięćdziesiątych”.

- Nie osądzam każdego urodzonego w tej samej dekadzie co ty, więc przestań marudzić. W przeciwnym razie nie pozwolę ci wybrać następnego wina.

Justin uśmiechnął się i przyciągnął do siebie kartę win. Przez chwilę szukał, aż doszedł do czerwonych.

- Proszę mówić dalej, zamieniam się w słuch. Ale już nie mam zaufania do tej kobiety.

* * *

Od początku nie znośiłem jej pseudonimu. Di Santi brzmi jak skrzyżowanie włoskiej księżniczki z tancerką flamenco, a Rosalie jak imię z filmów Disneya. Ale ten pseudonim do niej przylgnął. Michèle i ja dużo wspólnie przeszliśmy. Dorastaliśmy razem, na tej samej paryskiej ulicy. Przez całą szkołę rywalizowaliśmy ze sobą – tak jak Simone de Beauvoir i Jean-Paul Sartre – chociaż bez tak wygórowanych intelektualnych ambicji i zainteresowania polityką.

Francuska prasa kocha o nas pisać, znamy się od dzieciństwa i oboje zostaliśmy sławnymi pisarzami. Próbowano nawet widzieć w nas parę, co strasznie przeżywałem, choć nawet w połowie nie tak, jak Agathe. Nie, nie mówię, że Michèle nigdy mnie nie pociągała, to byłoby kłamstwo. To atrakcyjna kobieta, choć jej uroda z czasem zbladła. W młodości była wysoka, tak jak Agathe, ale okrąglejsza, nie tak chuda i delikatna. Miała oliwkową cerę, duże oczy, duże usta i bujne... Och, daj spokój, Justinie. Miałem powiedzieć: włosy. Były gęste i kruczoczarne, z białym pasemkiem z przodu. Piła i paliła jak moi kumple z gazety. Tak naprawdę pali cygara i wspólny znajomy właśnie mi powiedział, że niedawno wyszła za mąż za młodszego o trzydzieści lat Kubańczyka, a wszystko po to, by kupić dom w Hawanie.

Kiedy piszesz, na twoim ramieniu siedzi małe lichy, które nieustannie wmawia ci, jak gówniany jest twój pierwszy szkic. To lichy może przybierać postać jednego z twoich rodziców albo twojego ulubionego pisarza, bądź też dawnego nauczyciela. Ale dla mnie zawsze jest to Michèle. Pomimo naszych awantur po pijaku – raz wyrzucono nas z Café de Flore za nieznośne wrzaski – ona jest moim sumieniem. Wewnętrzny krytykiem, który pcha mnie do tego, bym pisał coraz lepiej. Kiedy Agathe umarła, Michèle zjawiła się prawie

natychmiast. Zawsze się zastanawiałem, jak to się stało, że tak szybko dotarła nad morze. Ale to superwoman. Jej książki zostały przetłumaczone na ponad czterdzieści języków - no tak, moje także, ale powieści Michèle utrzymywały się na liście bestsellerów „New York Timesa” przez dwadzieścia lat z okładem. Bez przerwy! Pisze średnio dwie książki rocznie i robi sobie jednodniową przerwę pomiędzy nimi. Jednodniową! Ja czasem całymi miesiącami nie chwytam za pióro. A oprócz romansów pisuje teraz bestselerowe książki kucharskie i pojawia się w tych okropnych konkursach kulinarnych w telewizji. Biedna Agathe, nie umiała nawet usmażyć jajka.

I oto pojawiła się Michèle, jak duch stała w moim nowo urządzonym salonie. Podskoczyłem i przedstawiłem ją jej prawdziwym nazwiskiem, nie jako Rosalie. Sandrine umiała się znaleźć - przyniosła Michèle kieliszek schłodzonego, różowego wina, potem pobiegła na górę z jej walizką. Michèle miała dobry nastrój, a Charlotte rozpoznała ją z telewizji. Michèle zbyła to machnięciem ręki i powiedziała wszystkim, że pisze książki kucharskie - nikt nie zadawał jej żadnych pytań. Być może dojrzeli w niej Rosalie di Santi, ale może jednak nie. Nie wydawało się, aby moich nowych sąsiadów - moich nowych przyjaciół - interesowała sława, bogactwo i znajomości, tak jak wielu eleganckich paryżan z lewego brzegu. Wróciliśmy do rozmowy o Marii Callas, a potem ogólnie o Aix. Michèle zadawała dużo pytań, co zupełnie do niej nie pasuje, a potem rozbawiła wszystkich do łez historią jej ostatniej podróży do Szkocji, gdzie występowała w programie kulinarnym. Opowiadała, jak zwymiotowała na kamerę po zjedzeniu haggisu. Oczywiście wtedy w studio zapewniała, że to nie miało nic wspólnego z haggisem, ale było objawem grypy żołądkowej.

Czas płynął szybko i w końcu Sandrine dała mi kuksańca i podniosła prawą brew, sygnalizując, że być może goście chcą już iść do domu na kolację. Ale zanim zdążyłem coś powiedzieć,

Bruno i H  l  ne, kt  rzy szeptali co  na boku, odwr  cili si  i zaprosili nas do siebie.

- Bruno ma zrobi  dzisiaj grilla, a on zawsze przygotowuje wszystkiego za du o - powiedzia a H  l  ne.

- Zmie cicie nas wszystkich? - zapyta a Mich  le. - Zamierza am nam  wi  Val  re'a, by wieczorem zabra  mnie do najszykowniejszej restauracji w Aix.

- Wykluczone - odezwa  si  Bruno. - Jest za gor co, by je  c w restauracji, a my mamy a  nadto jedzenia.

Dziewczynki wznios y radosny okrzyk i to by o urocze. Powiedzieli my Paulikom,  e b dziemy u nich za p  l godziny, tak by mieli czas si  przygotowa  i by Mich  le mog a przez chwil  pop ywa  w basenie po swojej podr oży. Sandrine zabra a si  do pracy, zacz a od zebrania naczy n po aperitifie. Odnios em jednak wra enie,  e co  j  m czy, wi c kiedy zostali my sami, powiedzia em:

- Te  jeste  zaproszona, Sandrine.

Martwi em si ,  e by  mo e czuje si  troch  skr powana, poniewa  by a - tak, dzi kuj  ci, Justinie - wynaj t  pomoc  domow . Ale sp dziwszy z ni  kilka dni, czu em,  e jest mi bliska.

- Och, wiem,  e jestem tam mile widziana - odpar a.

- Wi c sk d ten humor? - zapyta em.

Wskaza a g ow  w kierunku basenu, gdzie Mich  le rozchlapywa a wod  i krzycza a:

- *J'adore Provence!*

- Mich  le? - zdziwi em si . - Kiedy j  poznasz, przekonasz si ,  e jest mi a.

I p  niej tego wieczoru Mich  le zachowywa a si  naprawd  przyja nie, mimo  e tak raptownie si  u mnie pojawi a.

- No co , w asnie dosta am esemesa z warsztatu z informacj ,  e m j samoch d jest gotowy. Zatem ruszam.

Przygotowałam dla niej pokój i wrócę do pracy, kiedy ona wyjedzie.

- Och, na litość boską, Sandrine - prosiłem. - Potrzebuję cię tutaj w ciągu dnia. Michèle w niczym mi nie pomoże. Cały dzień będzie siedziała przy basenie, gadając do dyktafonu. Książki nadal przepisuje jej sekretarka. Więc czy wrócisz jutro? Mamy tyle do zrobienia.

- Nie ufam jej - prychnęła Sandrine.

Roześmiałem się, a ona znowu spojrzała na mnie z uniesioną brwią.

- Ale z jakiego powodu? - zapytałem. - Nic o niej nie wiesz.

- Ona czegoś chce - to wszystko. Poza tym wiem, kim jest. Pisze też romanse. Pamiętam ją z fotografii na obwolutach jej książek. Ale Josy i ja wolimy pańskie książki. Są... mądrzejsze.

Naszą rozmowę przerwało pojawienie się na progu ociekającej wodą, hałaśliwej pływaczki.

- Przyniosę pani ręcznik - powiedziała Sandrine, mierząc Michèle od stóp do głów. - Po południu myłam podłogi.

- O rany - odrzekła Michèle z wyczuwalnym sarkazmem - to lepiej zostanę na zewnątrz. Valère przynieś mi łyk whisky. Robi mi się zimno.

Sandrine poszła na górę, ale przyniesienie ręcznika zajęło jej całą wieczność. Do czasu, kiedy wręczyłem Michèle szklaneczkę whisky, Sandrine jeszcze nie wróciła.

- Ona mnie nie lubi - szepnęła Michèle. Wtedy zrozumiałem, że słyszała naszą rozmowę.

- Co tu właściwie robisz? - zapytałem.

Odrzuciła głowę do tyłu i się roześmiała.

- Jak to co robię, jestem tutaj, by cię zobaczyć, kochany Valère!

* * *

Co to, do licha, jest succotash, Justinie? Po prostu danie z kukurydzą? Jeszcze więcej kukurydzy? Dlaczego więc tego nie mówią? Ale te smażone w głębokim tłuszczu żabie udka są fantastyczne. W jakim cieście je przygotowują? Tak, masz rację - to ciasto filo.

Paulikowie nie mieli potraw tak oryginalnych i wykwintnych jak te - tak jak obiecali, po prostu grillowane kotlety z jagnięciny i kielbaski. Ale Hélène przygotowała fantastyczną sałatkę ziemniaczaną, a na deser zjedliśmy całą górę świeżych truskawek, nic więcej. Rozmowa toczyła się bardzo ciekawie, podobnie jak wszelkie rozmowy w Paryżu. Marine, ich przyjaciółka, pytała o moje książki.

- Panie Valère, jeżeli mogę się tak do pana zwracać...

- Proszę bardzo - odparłem.

- Dziękuję - odpowiedziała grzecznie. Wysławiała się niezwykle starannie i zanim jeszcze zaczęła zdanie, widać było, jak marszczy brwi, pieczołowicie dobierając słowa. - Niedawno czytałam w „Le Monde” wywiad z amerykańskim pisarzem, którego nazwisko mi teraz umknęło. Powiedział, że kiedy pisarze są razem, nigdy nie rozmawiają o historiach, które tworzą - mam na myśli fabułę. Omawiają raczej formę - na przykład narrację - lub język. Czy to prawda?

- Całkowicie - potwierdziłem, będąc pod wrażeniem jej pytania i w równym stopniu *sous la charme* jej urody. - Rzeczy, które wbijaliśmy sobie do głów w liceum czy na uniwersytecie - fabuła, temat, symbole - nie są tematem naszych dyskusji. Kiedy już zdecyduje się o formie narracji, książka pisze się nieomal sama.

- Nie zgadzam się - wtrąciła się Michèle. I wreszcie mieliśmy okazję zobaczyć przeblask prawdziwej Michèle Baudouin, w całej jej apodyktycznej świetności. - Historia jest wszystkim. I liczą się postacie.

Widziałem, że Bruno, H  l  ne i Marine spojrzeli na siebie zdezorientowani. Wi  c tylko Sandrine rozpoznała Rosalie di Santi, w przeciwi  nstwie do moich s  siad  w. To dało mi wielk   satysfakcj  , bo jestem ambitnym i zazdrośnym dupkiem.

- Panowie i panie - zacząłem, wskazując na Mich  le - czy mog   przedstawić moją przyjaci  łk   ze szkoły, znaną wszystkim jako Rosalie di Santi?

Wszyscy wydali okrzyk zdumienia, nawet ten duży facet, Bruno. Dziewczynki chichotały - zauważyły, że dzieje się co   ekscytuj  cego, ale nie bardzo wiedziały co.

- Możesz zetrzeć ten u  mieszek z twarzy, Val  re - odezwała się Mich  le, odstawiaj   swój kieliszek z czerwonym winem. -

W og  le nie przejęłam się tym, że ci wspaniali ludzie nie rozpoznali we mnie autorki romans  w, poniewa  ż, Val  re, wiesz, ile moich ksi  żek znajduje się w tej chwili w druku?

- Kilka milion  w?

- Czteryście milion  w. - Wybuchnęła śmiechem.

- Czy to du  o? - zainteresowała się L  a.

- *Oui, ma ch  rie* - odpowiedział Bruno.

Wygl  dał, jakby kt  s w  aśnie uderzył go w podbrzusze.

H  l  ne nal  ła Mich  le wi  cej swojego świ  tnego syraha z 2004 roku, tak jakby chciała sk  nić j   do dalszego m  wienia, a ona nie dała się prosić:

- Romansami r  dзи historia i cholernie trudno je napisać. Pisarz musi mieć dobre ucho do dialog  w, układać zgrabne zdania, powoływać do   ycia frapuj  cych bohater  w i tworzyć napi  cie, skłaniaj  ce do przewracania kartek. Romanse s   pisane przez kobiety dla kobiet i b  d   ich broni   do ko  ca świata, nawet je  li nikt z tutaj obecnych nie zechce ich czytać. Je  li takie ksi  żki pisze m  czyzna - tu spojrzała na mnie - nazywaj   się powie  ciami kobiecymi, albo nawet nie uzyskuj   żadnej etykiety. Je  li autork   jest kobieta, nazywa się je

romansami i ich recenzje nigdy nie pojawiają się w poważnych gazetach, nie powstają też ich adaptacje filmowe.

- Ale czytałam o pani w „Le Monde” - odezwała się Hélène.
- A może to było „Le Figaro”.

- Zgadza się, czytała pani tekst o mnie - wyjaśniła Michèle - ale nie recenzję moich książek.

Hélène skinęła głową.

- Tak, chyba ma pani rację.

- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób - dodała Marine. - Mój mąż, Antoine, czasem bywa snobem. - Tutaj Hélène i Bruno roześmiali się, a mnie zaczął ciekawić ten gość, Antoine. - Kilka tygodni temu jechaliśmy w Paryżu metrem i większość pasażerów wpatrywała się w swoje telefony, nikt nie czytał. Z tego powodu Antoine kłął pod nosem. Kiedy w końcu zobaczyliśmy kogoś z książką, to była...

- Kobieta w słusznym wieku - dokończyła Michèle.

- Właśnie - potwierdziła Marine. - Czytała jedną z pani książek. Antoine skwitował to jakimś lekceważącym zdaniem, ale ja broniłam pani książek, bo dużo lepiej, kiedy ktoś je czyta, niż nie czyta w ogóle.

- Dziwna logika - powiedziałem. - To jak dać studentom teksty Abby podczas lekcji poezji.

- Zamknij się, Valère, ty durniu - napadła na mnie Michèle.

- Jeśli mogę - zaczęła Marine. - Sądzę, że problem z romansami polega na ich obowiązkowym szczęśliwym zakończeniu. Ono sprawia, że kobiety nabierają nierealistycznych oczekiwań.

- Ale moje książki to nie tanie romansidła, w których bajecznie bogaty mężczyzna poznaje guwernantkę albo sekretarkę i na początku się nie znoszą, ale pod koniec książki padają sobie w ramiona - wyjaśniła Michèle. - A tak przy okazji, zapoczątkowała to Jane Austen. W moich książkach

bohaterki są silne, wykonują nietypowe zawody i często nawet nie chcą wychodzić za mąż. Poza tym kobiety są inteligentne, sędzę, że zauważają różnicę między fikcją a rzeczywistością.

- Spotykam się też z opinią, że jeżeli książka szczęśliwie się kończy, jest to tak zwana lekka lektura, a jeśli ma tragiczne zakończenie, to jest bardziej wartościowa - odezwałem się.

- W końcu przestałeś gadać bzdury - podsumowała Michèle.

- Moje lżejsze książki świetnie się sprzedawały, ale krytycy nie pozostawiali na nich suchej nitki, a wcześniejsze, ciemne w tonie zdobywały wszystkie literackie nagrody.

- Z wyjątkiem Nobla - dodała Michèle.

- To będzie moje *opus magnum* - odparłem z szerokim uśmiechem.

- Nie napisałeś nic od lat - skwitowała. - Straciłeś...

- Czas na deser! - oznajmiła Hélène, podnosząc się. - Dziś rano kupiliśmy z Léą truskawki na rynku.

Spojrzała na córkę, którą znudziły już zabawa z Charlotte i nasze sprzeczki. Teraz zrobię to dla ciebie, Justinie. Wyciągnij rękę i złap mnie za brodę, a ja złapię za twoją. Zaśpiewam rymowaną, kto pierwszy zacznie się śmiać, ten przegrywa. Z góry przepraszam za mój okropny głos.

- *Je te tiens, tu me tiens, par la barbichette; le premier de nous deux qui rira aura une tapette! Je te tiens, tu me tiens, par la barbichette; le premier de nous deux qui rira aura une tapette!* Kiepsko, Justinie, wytrzymałeś tylko dwa wersy. Poza tym wyplułeś wino na pół stołu. Léa przegrała po dziesięciu rundach, a Charlotte po mistrzowsku zachowywała kamienną twarz. Kiedy dziewczynki skończyły grać, Michèle odwróciła się do mnie i powiedziała:

- Bawiliśmy się w to, kiedy byliśmy dziećmi, prawda, Valère? „Ja trzymam ciebie, ty trzymasz mnie za brodę”. - Ujęła mnie pod brodę i dodała: - Mam cię, prawda?

* * *

Nie powiedziałem ci jeszcze, dlaczego Michèle zjawiała się u mnie ani co na mnie miała, ale wyjaśnię ci to wkrótce, może nawet zanim podadzą deser. Wyszliśmy od Paulików przed północą i razem z Michèle skierowaliśmy się ścieżką w górę do *bastide*, świecąc sobie latarką. Usłyszeliśmy hałasy – pohukiwanie sowy, trzask łamanej gałązki – i moja towarzyszka chwyciła mnie za ramię.

- Przepraszam, Valère, ale twój nowy dom przyprawia mnie o ciarki na plecach – wyszeptwała.

- Jest straszny nocą – odparłem – ale to tylko dlatego, że te cholerne *cigales* przestały się wydzierać i dźwięki wydają się teraz bardziej donośne.

- Nie – upierała się. – To coś więcej. Pomyśl o tym taksówkarzu, który zrobił znak krzyża, kiedy tu dojeżdżaliśmy.

Roześmiałem się.

- To jakieś prowansalskie, wiejskie przesady. – Naprawdę tak myślałem. – Kto wie, co...

Dźwięk kolejnej łamiącej się gałązki sprawił, że Michèle aż podskoczyła. Odwróciła się i złapała mnie za rękę.

- Szybciej – powiedziała. – Ktoś za nami idzie.

- Nie bądź głupia – odparłem. Zaczynała działać mi na nerwy. – Jesteś powieściopisarką. To normalne, że coś sobie wyobrażasz, dostrzegasz przecież magię kilkusetletniego domu.

- Kilkusetletnie domy nie są dla mnie niczym nowym – odpowiedziała, prawie biegnąc. – Mam jeden w Loire, zbudowany za rządów Ludwika XV, ale on ma dobrą karmę.

Doszliśmy do drzwi frontowych, a ona nieomal wyrwała mi klucze z ręki.

- Pośpiesz się, Valère! Zawsze byłeś taki powolny!

Kiedy zatrzymaliśmy się w holu wejściowym, obojgu nam brakowało tchu. Pokazałem jej, jak starannie zamykam drzwi, obracając klucz w każdym z trzech zamków przesadnie głośno.

- Zadowolona? - zapytałem.

- Potrzebuję drinka przed snem - oznajmiła, opierając się o balustradę.

- Częstuj się - odrzekłem. - Sandrine postawiła w salonie wózek z napojami.

- Nie dołączysz do mnie?

- Nie, jestem wykończony. Poczęstuj się, czym chcesz, i zobaczymy się rano.

Musiałem wręcz wdrapywać się na schody. Spojrzałem gniewnie na damę w różowej sukni, która najwyraźniej świetnie się bawiła, obserwując mnie i inne osoby dramatu, które wchodziły i wychodziły z mojego domu. Wyszczotkowałem zęby, przebrałem się w piżamę, zbyt zmęczony nawet, by czytać. Ale po raz pierwszy od kilku dni nie bałem się iść spać. Histeria Sandrine w piwnicy i teraz maraton Michèle wzdłuż ścieżki pozwoliły mi uświadomić sobie, jak śmiesznie się wszyscy zachowujemy. To był tylko stary dom na wsi, taki sam jak domostwo Paulików. Mógłbym postawić wszystkie swoje pieniądze na to, że teraz cała ich rodzina smacznie śpi i nic osobliwego się u nich nie dzieje. Wyłączyłem światło i jak przez mgłę słyszałem, jak na dole Michèle chodzi po salonie i mówi coś do siebie. Zasnąłem, słysząc w głowie głosy i rozmowy - większość pisarzy tak ma. To jest często dialog, nad którym pracujesz - twoi bohaterowie nigdy nie dają ci odpocząć. A ponieważ nie pracowałem wtedy nad żadną książką, głosy, które mi towarzyszyły, gdy przewracałem się z boku na bok, były głosami Paulików, dziewczynek, Marine Bonnet oraz mój i Michèle. I oczywiście słowa Sandrine: „Nie ufam jej”. Znowu te prowansalskie przesady, jak u taksówkarza z Aix.

Nie pamiętam, kiedy zasnąłem – czy ktokolwiek jest w ogóle w stanie to u siebie zauważyć? – ale przypominam sobie, jak się obudziłem. Nigdy tego nie zapomnę. Otworzyłem oczy, wyraźnie czując, że jakieś wilgotne usta szepczą mi coś do prawego ucha. Szeptały szybko, z napięciem. Trudno mi nawet powiedzieć, w jakim języku. Francuskim? Angielskim? Nie mogłem się ruszyć. W pewnej chwili głos ucichł, zniknęło odczucie wilgoci w moim uchu. Pociągnąłem prześcieradło pod brodę, a serce tłukło mi się pod bluzą od piżamy jak oszalałe. Zamknąłem oczy i chyba znowu zasnąłem, bo obudziłem się później z niejasnym wrażeniem, że ktoś położył rękę na moim prawym ramieniu. Tym razem wyskoczyłem z łóżka i wybiegłem z sypialni.

Stałem na szczycie schodów, sapiąc. Zapaliłem światło i pobiegłem korytarzem do pokoju Michèle. Otworzyłem drzwi na oścież. Jej łóżko było puste i wciąż zasłane.

- Michèle - zawołałem. - Wiedziałem, że to ty!

Popędziłem w dół schodów, skręciłem w prawo do dużego salonu. Michèle leżała rozwalona na kanapie, obok niej na podłodze stała w połowie pusta butelka szesnastoletniego Lagavulina. Czy udawała, Justinie? Jeśli tak, to świetnie imitowała chrapanie. Dźwięki, które z siebie wydawała, przstraszyłyby każdego ducha snującego się po domu! Przykryłem ją małym, moherowym kocem, nalałem sobie szklaneczkę whisky i zabrałem ją do mojego gabinetu, gdzie spędziłem resztę nocy na kozetce Miesa. Tarłem prawe ucho, starając się pozbyć skrajnie nieprzyjemnego uczucia.

9

Aix-en-Provence, wtorek 6 lipca 2010

- Nie wierzę, że zaprosiłaś Valère'a Barbiera do mojego klubu palaczy cygar! - zawołał Verlaque z sypialni. Ułożył wysoko dwie poduszki, chcąc jeszcze przeczytać kilka wierszy, zanim zgasi światło. Bolała go głowa. Fabrice i Julien przez całą wieczór kłócili się o przyszłą siedzibę klubu, każdy z nich krytykował oczekiwania i wybory drugiego. Ale i tak pozostawali jego najlepszymi przyjaciółmi. Razem z nimi i Jean-Markiem obejrzał trzy mieszkania w towarzystwie młodego, bardzo cierpliwego agenta nieruchomości, który starannie wybrał miejsca jego zdaniem spełniające wymagania klubowiczów: duża kuchnia z jadalnią dla co najmniej szesnastu osób, łazienka, taras i salon. Fabrice upierał się przy salonie wystarczająco dużym, by zmieścić się tam klubowy fotel dla każdego lub prawie każdego z członków. Julien i Verlaque uważali, że to niemożliwe, a w dodatku śmieszne. Dyplomatyczny Jean-Marc jak zawsze starał się pogodzić obie strony.

- Wiem! - odrzyknęła Marine. - To świetny pomysł, prawda?!

- Nie! - odrzekł Verlaque. - Jak wiesz, to już jutro wieczorem, a ja muszę ustalić z wszystkimi członkami klubu, czy mogę przyprowadzić gościa. To musi zostać zaakceptowane.

- Kto by nie chciał gościć Valère'a Barbiera? - Marine skończyła myć zęby, wypłukała usta i wypłuła wodę do umywalki.

- Nie w tym rzecz - zawołał Verlaque. - To mogłaby być sama królowa Elżbieta albo, dajmy na to, Winston Churchill powstały z martwych - a i tak potrzebowałbym zgody klubu.

Marine roześmiała się zza drzwi łazienki.

- To śmieszne - uznała. - Można by pomyśleć, że jesteście jakąś elitarną, tajną organizacją, jak CIA, MI6 czy coś takiego.

- Nie słyszę cię - zawołał Verlaque. - Co powiedziałaś?

- Nic. - Marine zaczęła przebierać się do spania.

- Nie potrzebujesz koszuli nocnej - stwierdził Verlaque. - Jest tu goręcej niż w piekle. Mieszkanie na czwartym piętrze, w centrum miasta, w lipcu... - Jeśli poezja nie ukoji jego bólu głowy, to może trochę...

Marine weszła do sypialni w długiej, bawełnianej koszuli nocnej z wielkimi, niebieskimi literami układającymi się w słowa: „*Bonne nuit*”.

- Dobranoc? - zapytał Verlaque. - To nie jest moja ulubiona koszula. Rozumiem, że jesteś zbyt zmęczona na seks?

- Nie czuję się najlepiej.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział Verlaque, kiedy Marine weszła do łóżka. Pocałował ją w czoło i chwycił za rękę. - Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś dziś wieczorem?

- Tak, spotkanie okazało się pełne niespodzianek, poczuwszy od tego, że wszyscy, w tym Rosalie di Santi, jedliśmy u Paulików.

- Rosalie di Santi? Naprawdę? - Verlaque aż usiadł na łóżku.

- W całej okazałości. - Marine roześmiała się.

- Jaka ona jest?

- Bardzo zabawna - odparła Marine. - Prowadziliśmy ciekawą dyskusję o tym, czy w pisarstwie ważniejsza jest forma

czy opowiadana historia.

- To brzmi bardziej interesująco niż kłótnia Juliena i Fabrice'a o to, czy w siedzibie klubu ma być jeden piekarnik czy dwa, albo czy potrzebujemy kuchenki indukcyjnej, czy gazowej...

- Jesteście rozpuszczeni do cna. A tylu ludzi na świecie nie ma nawet ciepłej wody.

- Zbaczasz z tematu.

- Wiem - przyznała Marine. - Lubię wasz klub i dlatego pomyślałam, że Valère też go polubi.

- Jutro zadzwonię do Fabrice'a - zdecydował Verlaque. - Jest prezesem.

Marine miała zamknięte oczy i nie był pewien, czy słucha. Ale spojrzała na niego i powiedziała:

- Kiedy tak się nad tym zastanawiam, to Rosalie - a naprawdę Michèle - była bardzo towarzyska, ale wydawało się to prawie wymuszone, jakby z jakiegoś powodu chciała nas zabawiać. I zyskać naszą sympatię. Jakby stały za tym jakieś ukryte zamiary...

Verlaque uśmiechnął się i zatarł ręce.

- Nikt nie wyprowadzi Marine Bonnet w pole.

Marine podciągnęła koldrę, by przykryć ramiona, i odwróciła się do męża.

- Michèle i Valère mają za sobą cały ocean wspólnych przeżyć... I wyczuwam, że nie cały jest krystalicznie czysty. -

Ziewnęła i dodała: - Michèle była wobec niego trochę agresywna.

- Biedny Valère - skomentował Verlaque.

- Bierzesz jego stronę? - zapytała Marine z uśmiechem.

- Broniłbym każdego, kto napisał *Czerwoną ziemię*.

- Ja też. Ale może nie jesteśmy obiektywni, mając takie, a nie inne gusta literackie. Może Valère zasługuje na jej

niechęć? Kto wie, co między nimi zaszło? Poza tym Valère ma słabość do kobiet.

- Naprawdę? - zainteresował się Verlaque. - Podrywał cię? Jestem pewien, że potrafisz się obronić.

- Nie, nie w pełnym tego słowa znaczeniu - odpowiedziała powoli Marine. - Ale taki mężczyzna jak on patrzy na kobietę z określonymi intencjami, bardzo jasnymi dla osoby, której się przygląda.

* * *

- Miłego dnia z twoimi filozofami - zawołał do Marine, zanim zamknął drzwi.

Na rue Adanson Verlaque'a wręcz zalała taka fala szczęścia, że nieomal poczuł, jak jego serce rozkurcza się i kurczy z każdym uderzeniem. Przez lata żył jako gburowaty kawaler, a teraz został mężem kobiety, która w każdej minucie życia dawała mu szczęście. Jako realista wiedział, że ich małżeństwo nie zawsze będzie takie bezproblemowe - związek jego rodziców okazał się katastrofą - ale jak dotąd pozwalał sobie rozkoszować się idyllą nowożeńców.

- *Bliss* - powiedział głośno po angielsku słowo „idylla”, wolno podkreślając podwójne „s”. - *Bliss*.

Do czasu, kiedy doszedł do Pałacu Sprawiedliwości, zdążył zgłodnieć, mimo że Marine wmusiła w niego muesli na śniadanie (odmówił zjedzenia go z jogurtem, co wydawało mu się już zbyt zdrowe, i zamiast tego dołał sobie mleka). Przeszedł przez ogromy centralny dziedziniec, gdzie figura samego Gabriela Honoré de Mirabeau, mówcy, polityka, a jednocześnie utracjusza i kobieciarza, wskazywała ręką na dział prawny, chociaż według firmowego żartu wskazywała raczej na toalety. Verlaque uklonił się Mirabeau i podążył schodami w górę do swojego gabinetu. Wiedział, że jego

przesadnie elegancka sekretarka, Mme Girard, będzie czekała, by podpisał stertę dokumentów.

- *Bonjour*, Mme Girard - przywitał się z dobrze uczesaną sześćdziesięcioletnią, która szła w stronę jego gabinetu - owszem, ze stertą papierów. Była opalona, bo właśnie wróciła z dwutygodniowych wakacji gdzieś na Karaibach, ale nie pamiętał dokładnego miejsca. Nie interesowała go żadna egzotyczna wyspa z wyjątkiem Kuby.

- *Bonjour, juge* - odrzekła, starając się nie patrzeć na brzuch sędziego, który wydawał jej się z każdym dniem coraz większy. - *Commissaire* jest w drodze. - Wręczyła mu dokumenty i prawie dygnęła, zanim odwróciła się i poszła do swojego biurka.

- Dziękuję pani - odpowiedział, zabierając dokumenty z uśmiechem szerszym, niż wymagała tego grzeczność. Wszedł do swojego gabinetu i zostawił drzwi otwarte dla Paulika. Włączył ekspres do kawy, stojący na konsoli ze szklanym blatem - sprowadził tu własne meble i wiedział, że również z tego powodu inni pracownicy Pałacu Sprawiedliwości uważali go za snoba. Usiadł, wyjął wieczne pióro po dziadku i kałamarz.

- Puk, puk - odezwał się Paulik, wchodząc do gabinetu.

- Dzień dobry - rzekł Verlaque, spoglądając w górę. Zauważył, że komisarz trzymał małą torebkę z białego papieru. - Michaud? Brioszki?

- Po jednej dla każdego - odparł Paulik, kładąc torebkę na biurku. - Zrobię kawę.

- Woda już się chyba podgrzała - powiedział Verlaque. - Co mamy dzisiaj w planie? Oprócz papierkowej roboty i niezwykle fascynującego przypadku wyłudzeń dokonanych przez gang pani mer. Broszury autobusowe, prawda?

- Były także plakaty.

- Słucham?

- Firma komunikacyjna otrzymała wynagrodzenie także za plakaty - wyjaśnił Paulik, pochylając się i kładąc ręce na kolanach. Przyglądał się cienkiemu strumieniowi kawy wlewającemu się do małej filiżanki. - Wie pan, te duże afisze, jakie umieszczają na przystankach autobusowych.

- Usiądź, zajmiemy się tym - powiedział Verlaque.

Otworzył torebkę z najlepszej w Aix *patisserie* i wyjął glazurowaną brioszkę. Była tak świeża, że miękkie ciasto prawie się kruszyło między palcami.

Paulik podał espresso i usiadł.

- No cóż, Yvette Tamain...

- Przypomnij mi, od jak dawna jest merem.

- Od dwudziestu trzech lat. - Paulik odgryzł kęs brioszki. - Jej obecna kadencja kończy się za rok. Wraz ze swoją partią zapłaciła niedawno firmie AixCom za zaprojektowanie i wyprodukowanie broszurek i plakatów z nowymi trasami autobusów. Firma zażądała za tę robotę dwustu pięćdziesięciu tysięcy euro, ale najwyraźniej była ona warta zaledwie czterdzieści tysięcy. Stażystka z miejscowego urzędu skarbowego zauważyła tę rozbieżność.

- Niewiarygodne - skomentował Verlaque. - Brawa dla stażystki, ale stanowcze nie dla brakujących dwustu dziesięciu tysięcy z funduszy publicznych. Ta sprawa musi trafić do mnie, bym mógł wszcząć oficjalne śledztwo. Czy ta stażystka ma wystarczające dowody?

Paulik skinął głową.

- Tak. I twierdzi, że może prześledzić, jak te pieniądze przewędrowały do następnej kampanii wyborczej Tamain i jak pokryły koszty długiego weekendu, jaki ona i jej klika spędzili w pięciogwiazdkowym hotelu w Saint-Tropez.

- Kto tam był?

- Tamain i szef jej kampanii wyborczej, Damien Pacaud, oraz dyrektor generalny tego AixComu, Gilles Gavotto. Po akcji autobusowej ta firma została zatrudniona do kampanii reklamowej festiwalu operowego oraz akcji recyklingu.

- Zapłata za ich współpracę - zauważył Verlaque. - Nie uśmiecha mi się prowadzenie tej sprawy. Nigdy nie lubiliśmy się z Tamain. - Odchylił się do tyłu i westchnął. - Dlaczego moja koleżanka z Nicei dostaje same interesujące śledztwa?

Paulik roześmiał się.

- Czytałem o tym rano w „Le Monde”. Uprowadzenie dziedziczki?

Verlaque przytaknął.

- Widziałeś te orły z grupy porywaczy?

- W Hollywood mogliby nakręcić o nich film - stwierdził Paulik. - Emerytowany szef kuchni nagrodzony gwiazdką Michelina, menadżer hotelu, niespełniony paparazzo i były bokser z Ukrainy.

- Dobrze, zaprosimy tutaj stażystkę ze stosownymi dokumentami - zdecydował Verlaque. - Chcę wszystko zobaczyć, zanim wezwiemy Tamain.

Paulik wstał i wyszedł z gabinetu, wyjmując z kieszeni telefon komórkowy. Mme Girard właśnie miała wejść do środka, ale zatrzymała się w drzwiach. Zobaczyła pustą torebkę od Michauda i usiłowała się nie skrzywić.

- Dzwoni do pana emerytowany sędzia śledczy. Nazywa się Daniel de Rudder. Właśnie miałam go poprosić, by przekazał wiadomość, kiedy zobaczyłam, że *commissaire* wychodzi.

- Och, Rudder był jednym z moich profesorów w Bordeaux - odparł Verlaque. - Odbiorę.

- *Âllo?* - powiedział do telefonu. - *Juge Rudder?*

- Ten jeden jedyny - odrzekł starszy pan i zaniósł się kaszlem. Verlaque odsunął telefon od ucha i starał się

oszacować wiek swojego rozmówcy. Pewnie jest około osiemdziesiątki. – Przepraszam za ten kaszel – mówił dalej Rudder. – Ale kiedy ma się osiemdziesiąt osiem lat, takie rzeczy są nieuchronne.

Verlaque skarcił się w myślach za to, że tak kiepsko zgadywał.

– Wspaniale cię słyszeć! Gdzie teraz mieszkasz? Nadal w Arcachon?

– Tak, siedzę tutaj z wełnianym pledem na kolanach, a moja synowa, emerytowana pielęgniarka, przynosi mi herbatę. Przez cały dzień. Nie znoszę herbaty. Pamiętasz siostrę Ratched z *Lotu nad kukułczym gniazdem*?

Verlaque roześmiał się.

– Więc mieszkasz u syna? Cieszę się.

– Tak, moje dzieci to najlepsze, co kiedykolwiek zrobiłem – odparł Rudder. – Szczególnie potwierdza się to teraz, kiedy się mną opiekują. – Wybuchnął śmiechem i znowu złapał go atak kaszlu. – Słyszałem, że w końcu się ustatkowałeś, czy mogę ci pogratulować? Marine Bonnet to wspaniała kobieta.

– Spotkaliście się?

– Nie, ale czytałem jej artykuły w czasopismach prawniczych – odpowiedział Rudder. – Przynajmniej tyle. Ale teraz artykuły mnie męczą. Teraz najlepiej pasują mi przygody Tintina.

Verlaque parsknął śmiechem, nie mogąc uwierzyć, że Daniel de Rudder – mistrz żeglarstwa, budzący przerażenie sędziego śledczy i ukochany wykładowca – wpatruje się teraz w ocean i czyta komiksy.

– Pewnie zastanawiasz się, dlaczego tak niespodziewanie do ciebie dzwonię – odezwał się Rudder.

– Tak, przeszło mi to przez głowę.

– Słyszałem, że Barbier mieszka od niedawna w Aix.

- Rzeczywiście, wczoraj Marine spotkała go na improwizowanym obiedzie u przyjaciół.

Nawet jeśli Rudder był pod wrażeniem, nic nie powiedział.

- Siostra Ratched pomaga mi uporządkować moje sprawy i przekopać się przez stare dokumenty. Wczoraj wieczorem zasiedziałem się do późna i ponownie przeczytałem swoje dzienniki z czasu, kiedy utonęła Agathe Barbier.

Verlaque powoli pokiwał głową.

- Zajmowałeś się tą sprawą jako sędzia śledczy...

- Tak, moja żona wpadła na szalony pomysł, by przenieść się do Cannes i czasami widywać niebieskie niebo. Ale nie znosiliśmy tego. Mieszkaliśmy na wybrzeżu przez dwa lata i to właśnie wtedy Agathe Barbier przydarzył się ten wypadek. Wciąż kilka spraw nie daje mi spokoju...

* * *

Trzy godziny później Verlaque zamknął drzwi swojego gabinetu i wyszedł do miasta na lunch. Rozmawiał z Danielem Rudderem przez dwadzieścia minut. Gawędzili o pogodzie i o przyjaciółach, a Rudder obiecał, że dopilnuje, by dokumenty dotyczące przypadku Agathe Barbier zostały wysłane do Aix. Verlaque wyobraził sobie Ruddera, jak siedzi w wiklinowym fotelu, związuje dokumenty sznurkiem, jego pokryte plamami starymi dłońmi drżą, a znikowana na punkcie herbaty synowa wyczekuje w drzwiach.

Kiedy Verlaque wychodził na południowy skwar, nie wiedząc, dokąd się udać, mrugnął do posągu Mirabeau – jak mężczyzna ze zdeformowaną stopą, szczerbaty i z przerośniętą głową mógł mieć takie powodzenie u kobiet? Wyjął telefon i zadzwonił do Marine, by przekonać się, czy jest w domu, ale odezwała się sekretarka. Pewnie jego żona wybrała się do biblioteki albo na lunch z przyjaciółmi. Czasem miał wrażenie, że Marine zna połowę Aix.

Zwykle kiedy nie miał planów na lunch, przechadzał się po mieście. Spacer po Aix nie sprawiał mu jednak takiej samej przyjemności, jak wędrówki po Paryżu. Kiedy był nastolatkiem, jego ojciec w rozmowie z przyjacielem zażartował, że Antoine zrobi doktorat z *flânerie*. W tamtym czasie potrafił wyjść rano z rodzinnego domu w pierwszej dzielnicy, wspiąć się na *butte* Montmartre, zejść na dół i wreszcie przekroczyć rzekę, by zjeść lunch w kawiarni Left Bank. Teraz nie mógł sobie wyobrazić wejścia na Montmartre, ale prawdopodobnie dałby radę z niego zejść, gdyby na końcu drogi czekała go dobra kolacja. Jednak Aix, pomimo swoich niewielkich rozmiarów, wciąż było w stanie go zaskoczyć. Kryło w sobie wiele tajemnic, małych perełek ukrytych w złotawych kamieniach. Mitów, opowieści, nadziei i pragnień, które mieszkańcy pielęgnowali od wieków.

Zbliżające się śledztwo w sprawie pani mer wprawiało go w przygnębienie i w ogóle nie był tym zainteresowany. Szedł w górę rue Mignet z rękoma w kieszeniach, nucąc piosenkę Vana Morrisona. Jak pamiętał, jej tytuł brzmiał *Caravan*. Jego dziadkowie ze strony ojca, Emmeline i Charles, po dniu ciężkiej pracy w ogrodzie włączali płytę z tym utworem i nalewali sobie ceremonialny aperitif: pimms dla Emmeline, która urodziła się w Londynie i ściśle trzymała się pewnych angielskich tradycji, i niedroga, rozcieńczona wodą whisky dla Charles'a. Emmeline śpiewała razem z Morrisonem, a dziadek się z nią drażnił. Z pewnością dużo lepiej malowała akwarele, niż śpiewała.

Zatrzymał się pod numerem dziewięć i patrzył na wychodzącą z budynku parę, pogrążoną w ożywionej rozmowie.

- *Ça alors! C'était magnifique!* - powiedziała kobieta, ściskając rękę swojego partnera.

- *Mais oui! Plutôt insolite!* - odparł mężczyzna i odwrócił głowę, by przed zamknięciem drzwi jeszcze raz spojrzeć na wąski korytarz.

Verlaque uwielbiał słowo *insolite* i zapytał tych ludzi, co kryło się za drzwiami, ponieważ nie widział na nich żadnego znaku ani napisu.

- *Une boutique surprenante!* - odpowiedzieli nieomal unisono.

Podziękował im i wszedł do środka.

W wilgotnym korytarzu od razu czuło się chłód, a kiedy po wejściu z rozświetlonej słońcem ulicy jego oczy przyzwyczyły się już do półmroku, ujrzał tuziny metalowych obiektów wiszących na obu bocznych ścianach. W korytarzu rozbrzmiewała delikatna muzyka, a na jego końcu widniał zielony ogród. Idąc dalej, Verlaque zauważył, że rosną w nim bambusy oddzielające dziedziniec od znajdującego się za nim prywatnego ogrodu. Przyglądał się obiektom z kutego żelaza, umieszczonym na małych drewnianych stolikach, kiedy z prowizorycznej szopy wyszedł mężczyzna w średnim wieku. Miał kozią bródkę. Wytarł ręce w gruby, szary fartuch kowalski i odezwał się:

- *Bonjour.*

- *Bonjour* - odparł Verlaque, rozglądając się z podziwem. - Mieszkam w Aix od wielu lat, ale nie wiedziałem...

- Tak - stwierdził rzemieślnik. - Niewielu ludzi wie. Nie reklamuję się. - Mówił z minimalnym hiszpańskim akcentem.

- Jest pan kowalem?

- Owszem. Zrobiłem te przedmioty i przyjmuję zamówienia na większe wyroby. Meble, bramy i tym podobne.

Verlaque patrzył na kandelabry, podstawki pod garnki, narzędzia do kominka. Nic z tego go nie interesowało, ale myśli o bramie w ich przyszłym domu na wsi była kusząca.

- Wrócę tu z moją żoną - powiedział.

- Będzie mi bardzo miło - odparł kowal.

Verlaque odwrócił się i wtedy w kącie zadaszzonego tarasu zobaczył koślawy, zielony regał z książkami.

- Używane książki? - zapytał.

- Tak, mam ich za dużo - odrzekł kowal. - Więc od czasu do czasu je sprzedaję.

Niektóre okładki wydawały się wiekowe i Verlaque przechylił głowę na bok, by przeczytać tytuły. Słowo *insolite* niewątpliwie pasowało do tego sklepu i do jego właściciela: oznaczało „niezwykły”. Kowal i bibliofil. Na końcu wąskiego korytarza w Aix. Nieoznaczone drzwi. I wtedy Verlaque zobaczył *Czerwoną ziemię*. Nie miał pojęcia, gdzie jest teraz jego egzemplarz. Nie w mieszkaniu, więc prawdopodobnie w pudle w Paryżu. Zauważył, że oprawiona w płótno książka była stara, delikatnie ją wyjął i otworzył na stronie redakcyjnej: 1975 rok. Zatem to pierwsza edycja, w dodatku z podpisem Valère'a Barbiera złożonym zamasyżście czarnym atramentem pod nazwą wydawnictwa.

- Ile? - zapytał, podnosząc książkę. Miał nadzieję, że jego głos brzmiał swobodnie.

Kowal uśmiechnął się.

- To pierwsze wydanie, z autografem.

- Właśnie - rzekł ze śmiechem Verlaque.

- Ale potrzebuję pieniędzy. Oddam ją za pięćdziesiąt euro.

- Sprzedana - obwieścił Verlaque, wyjmując portfel z tylnej kieszeni spodni. Był zadowolony, że rano poszedł do bankomatu. Podaruje tomik Marine, a dziś wieczorem pokaże go M. Barbierowi, który przez Brunona Paulika przekazał, że z przyjemnością przyjedzie na spotkanie klubu palaczy cygar. Verlaque przeszedł do ostatniej strony, chcąc przypomnieć sobie te słowa, które tak uwielbiał jako nastolatek, jako *flâneur* włóczący się po Paryżu w błogiej nieświadomości tego, jakie życie go czeka.

10

Nowy Jork, 22 września 2010

- Czy mógłby pan trochę cofnąć się w czasie? - poprosił Justin, odchylając się na bok, by kelner mógł postawić przed nim medaliony baranie.

- Jak daleko? - zapytał Valère, krojąc już swoją porcję mięsa.

- Do momentu, w którym wiozący Michèle taksówkarz robi znak krzyża, kiedy wjeżdżają na podjazd.

Justin starannie odciął kawałek mięsa i zanurzył go w ciemnoczerwonym *jus*. Nie mógł uwierzyć, że tu jest, je kolację w tej restauracji i słucha opowieści z ust samego Valère'a Barbiera. Pomimo że raz po raz pojawiali się kelnerzy oraz dyskretna *sommelierka*, Justin czuł, że są z Barbierem sami w świecie, który należy tylko do nich. Nie miał pojęcia, czy restauracja była wypełniona po brzegi, czy zupełnie pusta, nie zauważał upływu czasu. Miał zegarek, ale nie chciał na niego patrzeć w obawie, że wyda się gościowi nieuprzejmy lub znudzony.

- Ty też jesteś przesądny?

- Jestem Amerykaninem chińskiego pochodzenia - odparł Justin. - Oczywiście, że tak.

Valère roześmiał się i wypił taką ilość wina, którą Justin uznał za zbyt dużą jak na łyk. To był raczej haust.

- Châteauneuf-du-Pape to dobry wybór.

- Dziękuję.

Valère wytarł usta i mówił dalej.

* * *

Bon. Tak jak oczekiwałem, następnego ranka Sandrine jednak się pojawiła. Pomimo swoich gróźb nie mogła nie przyjść – jest na to zbyt solidna. Poza tym w pewnym sensie zagroziłem jej, że ją zwolnię, jeśli się nie pojawi. Nie patrz tak na mnie, Justinie. Nie miałem wyboru – była mi potrzebna. Zbyt wiele mieliśmy do zrobienia i, tak, nie chciałem zostać w domu tylko z Michèle. Kiedy Sandrine przygotowywała mi *café au lait*, bez ustanku ziewałem, a gdy wręczyła mi miseczkę, powiedziałem, patrząc jej w oczy:

– Dziękuję pani, Sandrine. Dziękuję za wszystko. – Dokładnie tak powiedziałem.

Uśmiechnęła się – zrozumiała, że to przeprosiny.

– Nie zostawię pana, M. Barbier. – Dokładnie tak powiedziała. Czy wyczuwała, co się dzieje? Czy wiedziała o nocnych gościach? Słyszałem, jak Michèle chrapie w dużym salonie, i pomyślałem, że to dobry moment, by wtajemniczyć Sandrine we wszystko. Musiała się zastanawiać, dlaczego jestem tak wykończony każdego ranka.

– Sandrine, ten dom w nocy...

Przestała smarować bagietkę masłem, odłożyła nóż i spojrzała na mnie.

– *Oui?* – zainteresowała się.

Potarłem twarz, mając nadzieję, że to, co właśnie zamierzałem powiedzieć, nie wyda jej się szalone. Owszem, piszę fikcję, ale wiem, że duchy nie istnieją.

– W tym domu jest ktoś jeszcze – zacząłem. – W nocy ciągnie za moją kołdrę, chodzi po pokojach, a tej nocy, kiedy spałem, ta... osoba, czy cokolwiek to jest, szeptała mi coś do ucha.

Sandrine uniosła brwi i posmarowała bułkę dżemem brzoskwiniowym. Wręczyła mi kawałek i powiedziała:

- Nie jestem zaskoczona.

- Co? Myślisz, że zwariowałem?

Wzruszyła ramionami.

- Nie pamięta pan, co przytrafiło mi się w piwnicy, M. Barbier? Poza tym we wsi mówią o tym domu...

- Naprawdę?

- Oczywiście. Gérald nie mógł uwierzyć, że przyjąłem pracę w tym miejscu.

- Kim, u licha, jest Gérald?

- To mechanik, który naprawiał Clochette!

Justinie, Sandrine miała taki irytujący zwyczaj - mówiła coś ni stąd, ni z owąd i oczekiwała, że zrozumiesz, o co chodzi. Ty oczywiście nie rozumiesz, a kiedy prosisz, by wyjaśniła, traktuje cię jak imbecyla.

- I co ten Gérald powiedział? - zapytałem.

Wychyliła się do przodu i wyszeptała:

- On mówi, że Bastide Blanche jest nawiedzony i że zawsze tak było.

- Kiedy mówiłem o szarpaniu mojej kołdry, miałem na myśli człowieka, nie ducha - wyjaśniłem. Wstałem, by dolać sobie kawy.

- Poprosiłam Géralda, by powiedział mi coś więcej - odezwała się Sandrine, ignorując moją uwagę - ale nie wiedział, kiedy i dlaczego te historie powstały.

Hałas w holu sprawił, że oboje podskoczyliśmy. W drzwiach stała Michèle.

- Potwornie boli mnie głowa - mruknęła.

Sandrine nie kryła uśmiechu. Podeszła do jednej z szafek kuchennych i wyjęła z niej pudełko opisane „Apteczka”. Czy to nie jest niezwykle? Nawet moja nieoceniona, *très froid*, emerytowana sekretarka, Ursule Genoux, nie była taka

zorganizowana. Sandrine wepchnęła Michèle do ręki pudełko aspiryny. Dla żartu dodałem:

- Proszę zażyć dwie tabletki i zadzwonić do nas rano!

- Bardzo zabawne - bąknęła Michèle i wyszła.

Sandrine odprowadzała Michèle wzrokiem, a na jej twarzy dostrzegłem wyraz niechęci.

- Ona nie jest taka zła - szepnąłem, chcąc utrzymać w domu pokojową atmosferę.

- Naprawdę? - odparła Sandrine. - Wczoraj wieczorem usłyszałam, jak rozmawiacie.

- Co takiego? - spytałem, zaniepokojony tym, że Sandrine słuchała, celowo bądź nie.

- *Mais oui* - mówiła dalej. - To nie w porządku, M. Barbier. Żeby panu tak grozić.

- Sandrine, to ciebie nie dotyczy.

Lekceważąco wzruszyła ramionami i usiadła.

- Jest pan moim szefem, M. Barbier - zaczęła. - Zapytał mnie pan, dlaczego jej nie lubię, i panu odpowiedziałam. Josy zawsze powtarza, że z kobietami takimi jak ona trzeba zachować ostrożność.

- Możemy zmienić temat?

Sandrine postukała w stół paznokciami pomalowanymi naprzemiennie na czerwono, białą i niebiesko.

- Jak pan sobie życzy. - Odgryzła duży kęs swojej *tartine* i zapytała: - Co powiedział głos dzisiejszej nocy?

- Nie wiem - odparłem. - To była jedna z tych chwil, kiedy człowiek rzuca się i wierci, ale tak naprawdę nie wie, czy to sen, czy jawa. Głos mówił szybko, prawie sycząc. I co zabawne, nie brzmiało to jak francuski.

- Może angielski?

- Nie, nie, jednak bardziej jak francuski niż angielski.

Sandrine klasnęła w dłonie i chwyciła mnie za rękę.

- Oksytański! - zawołała.

- Chyba masz rację - zgodziłem się. - Słyszałem ten język zaledwie kilka razy, ale to mógł być on.

- Zatem to stary duch - zauważyła.

- Sandrine - zaproponowałem. - Nie wierzę w duchy. To tylko przesady. Jestem szanowanym pisarzem...

- Który ostatniej nocy przestraszył się na śmierć, prawda? Widzę, że pan nie spał.

- Punkt dla ciebie.

- No cóż, z tego, co wiem o duchach w starych domach - a tutaj mamy takiego, który mógł żyć ponad sto lat temu - one nie są podłe, tylko zagubione.

Wybuchnąłem śmiechem i zaraz tego pożałowałem. Sandrine nadała się i założyła ręce na piersiach. Zapytała:

- Chce pan mojej rady czy nie?

- Oczywiście, że chcę.

Uwierzyłbyś w to, Justinie? Czuję się jak skarcony uczeń.

- Duchy wciąż wierzą, że dom jest ich własnością. Musimy im wytłumaczyć, że należą do pana.

Starałem się nie przewracać oczyma, ale prawdę mówiąc, niewiele mieliśmy do stracenia. Duchy odwiedzały mnie każdej nocy, wystraszyły Sandrine i nawet mała Léa odczuła ich obecność.

- Co zrobimy? - zapytałem. - Przemaszerujemy po domu ze świeczką, śpiewając, i poprosimy, by odeszły?

Sandrine nie wyczuła mojego sarkazmu, a nawet jeśli tak, to go zignorowała.

- Nie, nie będziemy ich prosić. Nakażemy im to - wyjaśniła.

- Musimy zachowywać się stanowczo.

- To znaczy jak? - chciałem wiedzieć.

Usiadła i wyjęła telefon komórkowy.

- Zaraz to sprawdzę - powiedziała. - Dlaczego pan o tym nie pomyślał?

- Ciągłe zapominam, może z premedytacją, że teraz prawie wszystko można znaleźć w internecie. Książki już nie są...

- Dobrze, dobrze... - przerwała mi Sandrine, patrząc na ekran. - M. Barbier, powinien pan się przystosować do dwudziestego pierwszego wieku. Dopiero zaczęłam, a już znalazłam mnóstwo informacji.

- Niech zgadnę. Znalazłaś stronę o nazwie „Czary dla początkujących” albo „Sześć łatwych sposobów na pozbycie się z domu niechcianych duchów”?

Sandrine spojrzała na mnie zdumiona.

- Skąd pan wiedział? - Roześmiałem się, a jej oczy się zwężyły. - Drażni się pan ze mną. To nie jest miłe, M. Barbier.

- Przepraszam, Sandrine - odparłem. - Już pani słucham. Co możemy zrobić?

Zaczęła czytać.

- Ten facet podkreśla, że trzeba być uprzejmym.

- Przecież one nie dają mi spać.

- Lepiej ich nie zezłościć - mówiła dalej Sandrine, patrząc na mnie z uniesioną brwią. - Jeżeli uprzejmie poprosimy je, by odeszły, a one nie posłuchają, to może oznaczać, że chcą nam coś przekazać. Ale nie należy podejmować prób komunikowania się z nimi. „Nie należy” jest napisane tłustym drukiem, M. Barbier.

- Przyjąłem do wiadomości.

- „Jeżeli chcesz się z nimi skontaktować, znajdź kogoś, który jest...”

- Kto jest.

- „Doświadczony” - dokończyła Sandrine z westchnieniem.

- To nie powinno być trudne. Ale ja wcale nie mam ochoty z takim człowiekiem gadać.

Sandrine uśmiechnęła się.

- Sądzę, że to mogłaby być ciekawa rozmowa. Ale czytam dalej. Następna część ma tytuł „Sprzątanie domu”. To jest moje zadanie jako gospodyni. Och, piszą, by użyć święconej wody.

- Czy można ją po prostu kupić?

Wzruszyła ramionami.

- Sprawdzę. Nie byłam na mszy od... - Wyjęła notesik i coś zapisała, po czym mówiła dalej: - „Pokrop wodą święconą wszystkie miejsca w domu, w tym szafy, drzwi, strychy i piwnice. I nie zapomnij o zewnątrz domu. Wielu ludziom udało się dlatego, że odmawiali w tym czasie Ojcze nasz”.

- Ja już tego nie pamiętam.

- Na pewno pan pamięta - stwierdziła Sandrine. - Poza tym może pan odmawiać jakąkolwiek modlitwę. Założę się, że nawet taką, którą pan sam wymyśli.

- Bo tym właśnie jest modlitwa. To wymyślony hokus...

Sandrine przerwała mi:

- Tutaj jest coś dla pana: „niewierzący mogą palić wiązki szaławii”.

Wybuchnąłem śmiechem.

- Czy autor przypadkiem nie mieszka w Meksyku?

- Nie wiem, gdzie to jest - odpowiedziała szorstko. - Ale mamy tu dookoła mnóstwo szaławii. Na pewno wystarczy na kilka wiązek.

- Z pewnością możesz znaleźć wskazówki w internecie.

- Ma pan rację! Zaczyna pan się wciągać, M. Barbier! - odparła, nie dostrzegając mojego sarkazmu.

Usłyszeliśmy silnik samochodu, zbliżającego się do nas po zwirowym podejździe, oraz dźwięk klaksonu.

- Elektrycy! - zawołałem.

Zostali u nas aż do południa. Sandrine chodziła za nimi po domu, zadawała mnóstwo pytań i robiła notatki. W całym

budynku miała zostać położona nowa instalacja. Byli zaskoczeni, że w ogóle udawało mi się tu mieszkać.

11

Aix-en-Provence, środa 7 lipca 2010

Minęło już wiele czasu - może nawet więcej niż dwa lata - od kiedy Verlaque odwiedził swojego przyjaciela Jacoba w jego domu na północ od Aix. Ostatnim razem pojechał tam na spotkanie klubu palaczy cygar. Był to ciepły, letni wieczór. Tak jak teraz. Tym razem towarzyszył mu Jean-Marc, który - z wyboru - nie posiadał samochodu.

- Jeżeli kiedykolwiek kusi mnie, by kupić auto, to tylko wtedy, kiedy siedzę w twoim zabytkowym porsche - powiedział Jean-Marc, przesuając ręką po wyściełanej skórze desce rozdzielczej.

- Naprawdę? - zdziwił się Verlaque, kierując się w prawo na rozwidleniu. Słyszeli *cigales* śpiewające w koronach drzew. - Myślałem, że nie znosisz samochodów.

Jean-Marc potrząsnął głową.

- Tak naprawdę bardzo lubię samochody - przynajmniej te pięknie wykonane, jak twój. Ale jestem praktyczny, Antoine, i mieszkam w centrum miasta. Kiedy liczę, ile miesięcznie kosztowałyby mnie samochód, z wynajęciem garażu, paliwem i ubezpieczeniem, uświadamiam sobie, że lepiej wynająć auto w te nieliczne weekendy, kiedy chcę wyjechać.

- Rozumiem.

- I Bogu dziękuję za dostawy z Monoprixa - dodał Jean-Marc ze śmiechem. Wychylił głowę przez okno i poczuł na policzkach

ciepłe, wieczorne powietrze. Patrzył na dolinę, która wznosiła się i opadała poniżej drogi, i na jasnozielone winnice przetykane oliwnymi drzewami. – To przepiękna część Prowansji.

– Dokładnie to samo powiedziała Marine, kiedy kilka lat temu jechaliśmy do Jacoba. A to tylko dwadzieścia minut na północ od Aix.

Chociaż to Marine od dzieciństwa przyjaźniła się z Jean-Markiem, Verlaque czuł, jakby on też od bardzo dawna znał tego łagodnego człowieka. Jean-Marc, z zawodu prawnik, imponował mu swoim spokojem oraz łatwością, z jaką akceptował innych ludzi i własną sytuację życiową. Kiedyś mieszkał z partnerem o imieniu Pierre, ale jakiś czas temu się rozstali. Jednak Jean-Marc nigdy się nie skarżył i zawsze pozostawał dyskretnym i godnym zaufania przyjacielem. Jeżeli Verlaque stał się lepszym człowiekiem, od kiedy spotkał Marine – a z pewnością tak było – to częściowo dzięki dobroci i oddaniu Jean-Marca.

– Dzisiaj rano Marine pisała mi, że spotkała Valère’a Barbiera – odezwał się Jean-Marc. – Wydaje się, że zrobił na niej duże wrażenie. Czy to prawda, że on ma się pojawić dziś wieczorem?

– Tak, jeżeli tutaj trafi. Przekazałem Marine, jak dojechać, i ona mu to wyjaśni. W końcu to był jej szalony pomysł, by go tu zaprosić.

– Szalony pomysł? Nie jesteś zadowolony?

Verlaque westchnął.

– Klub palaczy cygar jest dla mnie święty – zaczął, starając się znaleźć właściwe słowa. Spojrzał w bok i zobaczył, że przyjaciel przytakuje. – Wśród was nie jestem już sędzią...

– Tylko jednym z kumpli. A Virginie?

Verlaque roześmiał się.

- Włączając w to naszą wspaniałą Virginie, farmaceutkę i miłośniczkę cygar. W klubie mogę rozpuścić włosy, jak mawiają Amerykanie. Nie jestem paryżaninem ani sędzią, ani synem bogatego przemysłowca. Jestem po prostu Antoine'em, kolejną szaloną osobą, która zamyka oczy, kiedy zaczyna palić kubańskie cygaro, a wtedy wszystkie jej troski schodzą na dalszy plan.

- Myślę, że wszyscy to czujemy - powiedział Jean-Marc. - Chciałbyś, żeby klub taki dla ciebie pozostał. A Valère nie jest jednym z nas.

- Możliwe, że mógłby być - odparł Verlaque. - Ale teraz mieszka obok mojego komisarza i w pewnym sensie zająłem się nim zawodowo, choć to może się wydawać dziwne.

Verlaque zwolnił i skręcił w żwirowy podjazd obsadzony platanami i piniami. Na końcu widniał duży, ale pozbawiony pretensjonalności dom. Verlaque zaparkował porsche obok czarnego mercedesa, którego wcześniej nie widział.

- Paryskie numery - zauważył Jean-Marc, kiedy wysiadł. - Musi należeć do naszego wielkiego człowieka.

- Lepiej, żeby się pozbył tych paryskich tablic, jeśli chce, by jego samochód pozostał tutaj cały - roześmiał się Verlaque.

Kamienną ścieżką obsadzoną bujnie kwitnącą lawendą poszli na tyły domu. Grube, uszczęśliwione pszczoły brzęczały wśród kwiatów. Mężczyźni dotarli na koniec ścieżki i popatrzyli na kamienny taras, gdzie zgromadzeni goście pili szampana i palili cygara.

- *O mon dieu* - szepnął Jean-Marc, natychmiast rozpoznając pisarza. - Fabrice i Julien osaczyli Valère'a Barbiera. - Jean-Marc spojrział na Verlaque'a z niepokojem. - Jak myślisz, o czym rozmawiają?

- Kiedy mówiłem ci o moich obawach związanych z zaproszeniem tu Barbiera - odparł Verlaque - nie byłem do końca szczery.

Jean-Marc uśmiechnął się szeroko.

- Zastanawiałeś się, co niektórzy mogą powiedzieć Barbierowi... - rzekł.

- Coś w tym rodzaju.

- No cóż, weźmy sobie szampana i się przekonajmy.

Przechodząc przez taras, wymienili *bise* z każdym kolegą z klubu i wybrali cygara z drewnianego pudełka firmy Partagás, które otworzyła dla nich Virginie.

- Jeden z moich klientów właśnie wrócił z Kuby - powiedziała. - Cygara są tam za pół ceny.

- Jeszcze tak - odparł Verlaque. - Dopóki nie zniosą embarga. Wtedy będą drogie nawet na Kubie. Dziękuję ci bardzo, że je przywiozłaś.

- Antoine, chodź do nas! - zawołał Fabrice.

Verlaque przeprosił i podszedł z Jean-Markiem do Fabrice'a i Juliana - dwóch najserdeczniejszych przyjaciół po sześćdziesiątce - którzy przyparli pisarza do ściany swoimi imponującymi brzuchami. Fabrice, prezes klubu, ujął Verlaque'a pod rękę i zapytał:

- Antoine, która książka jest lepsza? *Czerwona ziemia* czy *Recepcjonistka*?

- Myślę... - zaczął Julien.

- Bądź cicho - przerwał mu Fabrice.

- Cieszę się, że mogę pana poznać - odezwał się Verlaque, wyciągając rękę do Barbiera. - Jestem Antoine Verlaque, mąż Marine.

- Ja również się cieszę - odparł Valère, ściskając dłoń sędziego.

- Antoine? - ponowił pytanie Fabrice. - Która?

- Cóż, to wszystko zależy - odpowiedział Verlaque. -

Uważam, że to, która książka czy film staną się naszymi ulubionymi, zależy od wieku, w jakim je poznaliśmy. Po kilku

latach możemy zmienić zdanie i już inna książka będzie tą najlepszą.

Fabrice zamachał rękoma.

- Odpowiedz zero-jedynkowo, a nie tak dyplomatycznie i wymijająco.

- Postawiliśmy na to pewne sumki - dodał Julien.

- Och, na litość boską - odparł Verlaque. Spojrzał na uśmiechniętego Jean-Marca. - *Czerwona ziemia* - zdecydował.

Fabrice wyrzucił ręce w powietrze i głośno krzyknął.

- Dzięki - odezwał się Julien. - Właśnie straciłem pięćdziesiąt euro.

Dwaj przyjaciele - obaj dobrze sytuowani, Fabrice dzięki tuzinom sklepów hydraulicznych w całej południowej Francji, a Julien za sprawą sieci komisów samochodowych - jak zwykle się założyli. Verlaque miał wrażenie, że prawie nigdy nie płacili sobie nawzajem wygranych sum, a jeśli nawet, to nie miało to najmniejszego znaczenia. Wydawało się, że każdy z nich wygrywał równie często, jak przegrywał.

- Ale *Recepcjonistka* niewiele jej ustępuje i film na jej podstawie jest jednym z moich ulubionych - mówił dalej Verlaque.

Fabrice pochylił się w stronę Valère'a i przyciągnął go do siebie. Verlaque skrzywił się. Fabrice mówił dalej:

- Jak panowie dobrze wiecie, w tym filmie grał Alain Denis. Antoine, nasz sędzia śledczy, kilka lat temu był na Île Sordou i chciał tam spędzić spokojne wakacje, kiedy Denis...

- Daj spokój, Fabrice - powiedział Verlaque z uśmiechem, starając się o lekki ton. Pomyślał o swojej rozmowie z Jean-Markiem w samochodzie. Tak jak się obawiał, przestał być tylko Antoine'em - Fabrice już obsadził go w roli sędziego śledczego.

Do rozmowy włączył się Jean-Marc:

- Jako prawnik, Fabrice, radzę ci zamilknąć.

- Sędzia? Prawniki? - upewniał się Valère. - Czy wszyscy w tym klubie zajmują się prawem?

Verlaque spojrział na słynnego pisarza, wyczuwając w jego pytaniu odrobinę... lęku? Nerwowości? Może nawet pewien niesmak? Ale nie pierwszy raz zdarzyło mu się coś podobnego w sytuacji towarzyskiej. Zdążył się przyzwyczaić.

Odszedł, by strzepnąć popiół. Towarzyszył mu Jean-Marc, który szepnął:

- Niepotrzebnie się martwiliśmy. Wydaje się, że i Fabrice, i Julien przeczytali najlepsze książki Barbiera.

- Nie oceniaj książki po okładce - rzekł z uśmiechem Verlaque.

- To kolejna rzecz, którą uwielbiam w tym klubie - stwierdził Jean-Marc. - Pochodzimy z różnych środowisk, niektórzy z nas mają kilka dyplomów, inni ani jednego, ale kiedy jesteśmy razem, to nie ma żadnego znaczenia.

* * *

Wzmógł się wiatr i wszyscy musieli wejść do środka. Jacob zamówił kuskus z baraniną z małej marokańskiej restauracji w Aix i, jak zwykle, każdy z członków klubu miał swoje zadanie w przygotowaniach do kolacji - kroił chleb, nakrywał do stołu, otwierał butelki czy składał lniane serwetki w różne śmieszne kształty. To ostatnie było specjalnością Julienu.

Rozmowa przeszła od tematu jedzenia i wina do lokalnej polityki, a Valère Barbier czasem brał w niej udział, ale częściej tylko siedział odchyłony do tyłu i uważnie słuchał. Zdaniem Verlaque'a takie zachowanie gościa, który pojawia się gdzieś po raz pierwszy, jest godne podziwu. Gwiazdorskie cechy Barbiera przygasły po kilku kieliszkach wina, a po posiłku i spaleniu drugiego, dużo większego cygara sławny pisarz stał się po

prostu kolejnym w ich gronie wielbicielem cygar i epikurejczykiem.

- Kiedy zaczął pan palić cygara? - zapytała go Virginie, kiedy po kolacji przeszli do salonu Jacoba. Verlaque z poprzednich wizyt pamiętał ten pokój o wydłużonym kształcie, z grubymi, kamiennymi ścianami, dębowymi belkami w kolorze miodu i oryginalną, wypolerowaną podłogą z terakoty.

Valère powoli i głęboko zaciągnął się podwójną coroną Hoyo de Monterrey, po czym odchylił głowę do tyłu. - Byłem na Kubie, w 1982. Właśnie zdobyłem nagrodę we Francji...

- Jaki skromny - skomentował Jacob z uśmiechem. - To była Nagroda Goncourtów.

- Zgadza się - przytaknął Valère. - I zaproszono mnie do Hawany, bo przekłady moich książek na hiszpański dobrze się tam sprzedawały. Mój spec od reklamy i wydawca byli zachwyceni, mogąc do mnie dołączyć - obaj uwielbiają cygara. Cóż, spędziliśmy dużo czasu, czekając na Fidela - mieliśmy się z nim spotkać - i opowiadaliśmy to potem jako żart. Zamiast na Godota czekaliśmy na Fidela.

- Co? - Fabien zapytał Julię, głośniejszym niż zamierzał.

- Myślę, że to z jakiejś książki - odparł szeptem Julien, wzruszając ramionami.

- To sztuka teatralna, gamonie - odezwał się Gaspard, student prawa i najmłodszy członek klubu.

Verlaque zerknął na Jean-Marcę, który wpatrywał się w swoje kolana, jego ramiona się trzęsły, a twarz poczerwieniała od tłumionego śmiechu.

Valère skrzyżował nogi i mówił dalej:

- Dla zabicia czasu tamci dwaj palili cygara, a mnie strasznie spodobał się ten zapach. Po drugim dniu rozejrzałem się dookoła i powiedziałem sobie: „Valère, albo spróbujesz

cygara, albo będziesz idiotą, który tylko siedzi, kręci młynka palcami i nie korzysta z niczego, co ta cudowna wyspa ma do zaoferowania". Aby mnie wprowadzić, moi towarzysze wybrali delikatną podwójną coronę Romeo y Julieta – to nadal jedno z moich ulubionych cygar. Zawsze, kiedy je palę, przenoszę się w czasie do tamtych wilgotnych popołudni, kiedy siedzieliśmy na bujanych fotelach wypełniających taras na dachu hotelu. Rozpościerał się stamtąd widok na szalone, pulsujące pastelowymi odcieniami miasto. Jedną z rzeczy, których w życiu żałuję, jest to, że nie kupiłem domu w Hawanie.

- To chyba nie jest proste, prawda? – zapytał José, dziennikarz „La Provence”. – Trzeba ożenić się z Kubanką.

- Niestety tak – odparł Valère.

- I co było dalej? – dopytywała Virginie.

- Och, wciągnęło mnie – opowiadał Valère. – Zacząłem czytać o historii cygar, odwiedziliśmy kilka fabryk i od tamtej pory palę wyłącznie kubańskie cygara.

Virginie roześmiała się.

- Nie, miałam na myśli spotkanie z Fidelem.

- Ach. Nie pojawił się – odparł Valère. – Po pięciu dniach stało się dla nas jasne, że nie chce przyjść, a my mieliśmy tam być tylko przez tydzień. Zaczęliśmy więc intensywnie zwiedzać miasto. Ostatniego dnia jakiś pomniejszy urzędnik państwowy zabrał nas do fantastycznej restauracji na swego rodzaju ziemi niczyjej, otoczonej przez najwyraźniej opuszczone bloki mieszkalne. Ale za restauracją rozciągało się morze. Można tam było siedzieć na wąskim tarasie i obserwować rybaków...

- Rio Mar! – powiedzieli jednocześnie Julien i Fabrice.

Valère strzelił palcami.

- Właśnie. Najlepszy homar, jakiego w życiu jadłem.

Julien i Fabrice wcześniej założyli się o to, który z nich był więcej razy w Hawanie. Ponieważ jednak zawsze wybierali się

tam razem, okazało się to kolejną stratą czasu.

Telefon Verlaque'a zawibrował w kieszeni i sędzia dyskretnie spojrzął na ekran. Telefony komórkowe nie były mile widziane na spotkaniach klubu, a on był najbardziej żarliwym wyznawcą tej zasady.

„W La Bastide Blanche doszło do wypadku. Komisarz sądzi, że M. Barbier jest z Panem. Czy może Pan przywieźć M. Barbiera do Puylobier? Proszę mu powiedzieć, żeby się trzymał. Sophie Goulin”.

12

Nowy Jork, 22 września 2010

- Wypadek? - zapytał Justin. - Co się stało?

- Więc - Valère odchylił się do tyłu - jechałem z sędzią samochodem do Bastide Blanche i byłem zupełnie spokojny. Rozmawialiśmy o tym i owym - o aktualnej francuskiej polityce, o paryskich restauracjach - a przyjaciel Verlaque'a, Jean-Marc, jechał za nami moim mercedesem. Na początku trochę się bałem, bo to bardzo dobry samochód...

- Czy muszę to wiedzieć? - Justin chciał już usłyszeć, co stało się w *bastide*.

- Hola, hola! Tak, bo w przeciwnym razie będziesz się później drapał po głowie, starając się dociec, co zrobiliśmy z moim mercem.

Podszedł kelner, pchając przed sobą stolik na kółkach wyłożony serami. Valère wyprostował się i spojrzał na wybór ponad dwudziestu w pełni dojrzałych, francuskich serów.

- *Les fromages!* - rzekł Justin, czując ulgę, że kelner pojawił się w odpowiednim momencie. Wiedział, że wcześniej źle zareagował, ale zirytowały go dygresje.

Valère podniósł swój nóż i machnął nim kilka razy w kierunku młodego redaktora.

- Ser. Doskonały deser. Spójrz na ten wyborny, półpłynny Saint-Marcellin.

- Czy ktoś ucierpiał? - zapytał Justin, nie patrząc na sery.

- Dobrze. Widzę, że muszę opowiadać dalej, bo inaczej nie będziesz w stanie niczego wybrać.

* * *

Verlaque nie wiedział więcej niż ja i dlatego wołał wieźć mnie do domu, jak jakiegoś staruszka. Ale jestem sławny - a przynajmniej kiedyś byłem - i być może komisarz uważał, że przywykłem do specjalnego traktowania. W tamtej chwili zupełnie się nie denerwowałem. Byłem pewien, że doszło do włamania. Sandrine skończyła pracę i wyszła, a Michèle pewnie znów upiła się do nieprzytomności i nie słyszała, jak włamywacze chodzą po pokojach, otwierają szuflady i opróżniają szafki. Ale co mogliby ukraść? Przed laty ktoś włamał się do ogromnego mieszkania mojego znajomego z Paryża, przy avenue Foch, i niczego nie ukradł! Bo cóż tam można było znaleźć? Książki, płyty, srebrny serwis do herbaty, który tak naprawdę był bezcenny i stał na równie rzadkim i wartościowym skandynawskim kredensie. Złodzieje szukali pieniędzy - a znajomy nie przechowywał ich w domu - sprzętu elektronicznego, na przykład telefonów komórkowych czy komputerów, oraz biżuterii. Komórkę trzymał przy sobie, miał jeden komputer, który stał w jego biurze w pierwszej dzielnicy. Był kawalerem, nie posiadał żadnych naszyjników z brylantami. La Bastide Blanche był w tym względzie podobny do mieszkania tamtego faceta - nie znajdowało się w nim nic, co chciałby ukraść osiemnastoletni złodziej. Czy zainteresowałyby go naczynia wykonane przez Agathe? Nigdy w życiu.

Kiedy znaleźliśmy się w wiosce, zaczęły mi się pocić dłonie i zauważyłem, że Verlaque także się niepokoi, mocno zacisnął ręce na kierownicy. Uświadomiłem sobie, że mogli mnie namierzyć profesjonalni złodzieje, którzy znali wartość prac Agathe. Z tego, co wiedziała policja, to mogło zdarzać się już wcześniej i właśnie dlatego wioził mnie do domu sędzia śledczy.

Nie chciano, bym jechał przez ulice Aix jak wariat, narażając życie swoje i innych. Zakładam, że to dlatego powiedziano mi, żebym się trzymał. Zostałem przecież obrabowany i złodziej czy złodziejka nie tylko znali wartość prac mojej zmarłej żony, ale byli wystarczająco zorganizowani, by zabrać naczynia z domu i zanieść do ciężarówki wyposażonej w wyściełane skrzynki. Jeżeli te typy potrafiły kraść van Goghi z najszlachetniejszych muzeów, to mój stary dom to dla nich kaszka z mleczkiem. Czy mogliby to zrobić, gdy Michèle spała w środku? Tak. Ona mogła przespać wszystko. Nietrudno byłoby nawet związać ją i włożyć jej w usta serwetkę. Kiedy dojeżdżaliśmy do *bastide*, zacząłem się cicho śmiać. Verlaque zerknął na mnie łagodnie. Pewnie uznał, że to z napięcia nerwowego, ale tak naprawdę śmiałem się z tyrady, jaką mogłaby wygłosić Michèle przed młodymi zbirami. Ich także sobie wyobraziłem, jak biegają po całym domu w poszukiwaniu czegoś, czym mogliby ją uciszyć. Bez trudu znaleźliby lniane serwetki - kiedy wyjeżdżałem do Aix, Sandrine właśnie je prasowała.

Wyjąłem z kieszeni chusteczkę i wytarłem nos. Verlaque gwałtownie zatrzymał swój mały samochód, a mną szarpnęło do przodu. Przed nami zobaczyłem auto policyjne, czerwony skuter Thomasa, dostawcy pizzy, i karetkę z włączoną sygnalizacją świetlną.

Verlaque'owi szybciej niż mnie udało się wysiąść z samochodu, więc kiedy podszedłem do ambulansu, ratownicy zamykali już tylne drzwi, by za chwilę ruszyć. Nie widziałem nigdzie Paulika. Usłyszałem, że jeden z tych gości, zanim wszedł do karetki, powiedział do Verlaque'a:

- Komisarz jest teraz z nią.

Z kim? Miałem gonitwę myśli i tak jak po drodze do domu wyobraziłem sobie scenariusz rabunku, tak teraz przez głowę przebiegało mi tuzin scen. „Ona” na pewno oznacza Michèle. Czy Sandrine została dłużej? Wszak nie kryła niechęci do

Michèle i może znalazła jakiś pretekst, by kręcić się po domu i mieć ją na oku. A może doszło do jakiegoś wypadku i Sandrine została ranna? Czy Michèle miała wylew? Nie była już młoda, urodziłem się w tym samym roku i w tym samym miesiącu. Przeszedłem na tył karetki i zajrzałem do środka przez zamknięte drzwi. I wtedy w dole brzucha poczułem gorąco. Przemieszczało się przez moje płuca, szyję i wreszcie rozpałiło twarz. Zacząłem się pocić i krople potu spływały mi po plecach. Zemdlilo mnie. Kiedy karetka odjeżdżała, odprowadzałem ją wzrokiem. „Paulik musi być z tyłu” – pomyślałem. „Z Léą”.

* * *

Jean-Marc chciał się na coś przydać, więc zrobił wszystkim kawę. Stałem w drzwiach kuchni oszołomiony i patrzyłem, jak rozstawia filiżanki, mlecznik i cukiernicę. Słyszałem, że Sandrine lamentuje w sąsiednim pokoju i kłóci się z policjantką.

- M. Barbier - zawołała do mnie. - Niech pan powie tej policjantce, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła! No niech pan powie!

Podszedł do mnie Verlaque i delikatnie położył mi dłoń na ramieniu.

- W pokoju dziennym spisywane są zeznania - powiedział. - Proszę pójść ze mną.

Podążyłem za nim jak zagubiony szczeniak.

- Ale co z nią? - zapytałem.

Verlaque odwrócił się do mnie.

- Ratownik powiedział, żebym za mniej więcej godzinę zadzwonił do szpitala.

Skinąłem głową i poszedłem za nim do dużego salonu. Kiedy Sandrine nas zobaczyła, zerwała się i podbiegła do mnie. Wyglądało to tak, jakbyśmy się znali od lat, a nie od zaledwie kilku dni. Myślę, że tak się zachowujemy w chwilach tragedii.

Objęła mnie ramionami i szybko się cofnęła, przeprasząc. Od płaczu jej oczy spuchły i się zaczerwieniły.

- Ona mówi, że ja to zrobiłam! - wykrzyczała, zanim wyczerpana opadła na sofę.

- Kto tak mówi? - zapytałem. - Policjantka?

Pani inspektor policji - bo tak powinienem ją nazwać - popatrzyła na mnie przeciągle, zamknęła oczy, po czym znów je otworzyła.

- Sandrine u mnie pracuje - wyjaśniłem. - Nie skrzywdziłyby muchy.

- Ofiara zeznała, że ktoś ją popchnął - odrzekła cicho policjantka. - Tuż zanim straciła przytomność.

- Spadła ze schodów - dodał Verlaque.

Nie miałem pojęcia, skąd to wiedział, ale z pewnością szybko wprowadzono go w sprawę, gdy ja patrzyłem, jak Jean-Marc przygotowuje kawę.

- Biedactwo - szepnąłem, chowając twarz w dłoniach. Nie mogłem znieść myśli, że Léi coś się stało.

- Biedactwo? - jęknęła Sandrine. Leciało jej z nosa, głos jej się łamał. - To stara krowa! Ale i tak jej nie popchnęłam!

Spojrzałem w górę zdumiony. Wtedy do pokoju wszedł Bruno Paulik, a za nim Thomas, dostawca pizzy.

- Bruno! - zawołałem. - Gdzie jest Léa?

- W domu, śpi - odparł Bruno, rozglądając się.

- Więc kto...? - zacząłem, ale przerwałem w połowie. A zatem ratownik miał na myśli, że Paulik jest w domu z Sandrine. - Czyli to Michèle spadła ze schodów?

- Tak - potwierdził Bruno. - Thomas przywiózł pizzę i kiedy nikt nie reagował na dzwonek, wszedł do holu. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Wtedy znalazł Mme Baudouin leżącą u podnóża schodów.

- Znowu mnie mdli - szepnął Thomas. Usiadł, a Jean-Marc podszedł z tacą i postawił ją delikatnie na stoliku.

Sandrine nie ruszała się z kanapy, więc policjantka zaczęła rozlewać kawę. Verlaque zwrócił się do Sandrine:

- Dlaczego nie podeszła pani do drzwi?

- Zamierzałam to zrobić - odparła. W jej głosie pojawiła się złość. - Ale byłam na górze, trzymałam całe naręczce złożonej bielizny. Krzyknęłam w dół, żeby wszedł, ale on mnie nie usłyszał.

- Spisałem zeznania Thomasa - oznajmił Paulik. - A inspektor Goulin przesłuchała Mlle Matton. Thomasie, powtórz sędziemu, co powiedziała Mme Baudouin, kiedy ją znalazłeś.

Thomas skinął głową.

- Leciała jej krew, a jej twarz miała straszny kolor. - Przerwał, by przełknąć ślinę, po czym mówił dalej: - Ale zdołała otworzyć oczy i szepnęła: „Ona mnie popchnęła”. Potem... zemdląca. Pojawiło się więcej krwi... - Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. - Zacząłem krzyczeć.

- To wtedy cię usłyszałem - powiedział Paulik. Odwrócił się do Verlaque'a i wyjaśnił: - Właśnie wyszedłem do ogrodu, żeby znaleźć przeciek w naszym systemie nawadniania. Hélène suszyła mi o to głowę od dłuższego czasu, ale dopiero wieczorem sobie o tym przypomniałem. Kiedy przybiegłem do *bastide*, Mlle Matton dzwoniła na pogotowie. Thomas powiedział mi, co usłyszał od Mme Baudouin, i zatelefonowałem na komisariat.

- To poważne oskarżenie - powiedział Verlaque do Sandrine.

W tym momencie do domu wszedł policjant.

- Przeszukałem teren - zameldował.

- Czy coś pan znalazł, inspektorze Schoelcher? - zapytał Paulik.

- Nie, zupełnie nic. Żadnych niepokojących śladów na zewnątrz ani na piętrze.

Sandrine zaczęła płakać, powtarzać w kółko, że nie popchnęła Michèle, i ja jej wierzyłem. Ale sytuacja wyglądała kiepsko i jak zasugerował mój nowy kompan od cygar, Michèle oskarżała Sandrine o usiłowanie zabójstwa. To bardzo poważny zarzut. W tamtej chwili rozległ się głośny, głuchy dźwięk i wszyscy odwróciliśmy się w stronę jadalni. To był Thomas, który zemdlał i spadł z krzesła.

* * *

Niecałą godzinę później nikogo już nie było. Jeden z policjantów zaparkował skuter Thomasa w budynku gospodarczym, zadzwonił do jego szefa i wyjaśnił przyczyny nieobecności chłopaka, po czym odwiózł go do domu. Sandrine miała zostać ze mną w La Bastide Blanche. Nie była w stanie prowadzić, a dodatkowo mogłem mieć na nią oko. Właściwie pomyślałem, że możemy mieć oko na siebie nawzajem, bo nagle poczułem się bardzo samotny. Zaproponowałem, że zadzwonię do jej siostry, ale ona zbyła ten pomysł machnięciem ręki. Verlaque skinął głową, zgadzając się na takie rozwiązanie. Myślę, że zaoszczędziłem mu ogłoszenia formułki „ma pani zakaz opuszczania kraju”, tak jak to robią w filmach kryminalnych. Ani Sandrine, ani ja nie zdradzaliśmy żadnych informacji o nocnych gościach, o tym, że ktoś leżał w moim łóżku, i o incydencie w piwnicy, który tak przeraził Sandrine. Chyba byliśmy zbyt zmęczeni i, jak sądzę, oboje uznaliśmy, że sprawy miały się wystarczająco źle dla Sandrine nawet bez wspomnienia o duchach. Czymkolwiek one były. Verlaque i Jean-Marc wyszli razem, ten pierwszy obiecał odwiedzić mnie następnego dnia i poinformować o stanie Michèle. Dałem Sandrine tabletkę nasenną i zamknąłem za nią drzwi jej sypialni. Włączyłem światło w holu i po kilku chwilach

usłyszałem, jak chrapie, prawie tak głośno jak Michèle. Już miałem wejść do mojego pokoju, kiedy zgasło światło. Rzuciłem się w stronę drzwi, od których dzielił mnie zaledwie metr, szarżując jak byk, by wymacać kontakt. To zdarzyło się nie po raz pierwszy, ale w porównaniu z tym wszystkim, co działo się w domu, wydawało się dość błahe. Jednak nie tamtej nocy.

Przebrałem się w piżamę i rzuciłem moje przesiąknięte cygarami ubrania na podłogę. Pomyślałem o słowach Michèle: „Ona mnie popchnęła”. Jeżeli winowajca stał za nią, to mogła go nie widzieć. Pewnie założyła, że to Sandrine, według niej jedyna osoba, która znajdowała się wtedy w domu. Ale tego czynu równie dobrze mógł się dopuścić mężczyzna. Powróciłem do mojej pierwotnej myśli o złodzieju, który wszedł do domu, żeby mnie okraść, i zobaczył Michèle na szczycie schodów. To mógł być wypadek – złodziej, uciekając, przebiegł obok niej i popchnął ją tak, że spadła. Ale Thomas by go zauważył, a nic o tym nie mówił.

Rozejrzałem się po pokoju i miałem przeczucie, że to się nigdy nie zmieni. Ściany o barwie ochry zwieńczono sztukateriami pomalowanymi na stare złoto. Początkowo te stiuki wydawały mi się szkaradne, ale szybko się do nich przyzwyczaiłem. Moje łóżko z kutego żelaza stało teraz na środku pokoju – zdaniem Sandrine miało mi to ułatwić spanie. Nie byłem jednak przekonany do nowej pozycji łóżka, gdyż teraz pokój wydawał się za duży. Czuję się, jakbym dryfował na tratwie na pełnym morzu. Patrzyłem na tańczące na ścianach cienie sosen. I wtedy mój wzrok przyciągnęła jakaś rzecz, która leżała na podłodze obok kominka. Westchnąłem, zbyt zmęczony, by się po nią schylić, nie dbałem o to, że Sandrine zrugła mnie za lenistwo i bałaganiarstwo. Starłem się ignorować ten przedmiot, ale czułem, że mnie przyciąga. Za każdym razem, kiedy zamykałem oczy, one otwierały się po kilku sekundach i koncentrowały na tym, co wydało mi się

kawałkiem materiału. W końcu wstałem i z bijącym sercem podszedłem do kominka. Zobaczyłem, że to rzeczywiście materiał – płócienna chusteczka z wyhaftowanymi inicjałami AF. Od razu ją poznałem i przycisnąłem do piersi. To była ulubiona chusteczka Agathe.

Wiatr ucichł nagle i nastąpiła spokojna noc. Z zewnątrz nie dochodził żaden odgłos – ani żaby, ani świerszcza, ani przejeżdżającego samochodu. Wróciłem do łóżka i położyłem chusteczkę pod poduszką, nie mając już siły na zadawanie sobie pytań, jak i dlaczego chusteczka znalazła się w moim pokoju. Pewnie wypadła z jakiegoś pudła czy walizki, kiedy się rozpakowywałem, chociaż nie pamiętam, bym pakował ją w Paryżu.

Powieki paliły mnie ze zmęczenia. Zamknąłem oczy i pewnie natychmiast zasnąłem, bo kiedy znowu je otworzyłem, przez okna wpadało jasne, słoneczne światło, a *cigales* właśnie zaczynały swoje donośne cykanie, które miało trwać przez następne dwanaście godzin. Była dziewiąta, po raz pierwszy od miesięcy, a może lat, przespałem całą noc. Przeciągnąłem się i wtedy przypomniała mi się chusteczka Agathe. Sięgnąłem pod poduszkę, wyjąłem ją i przycisnąłem do policzka.

13

Aix-en-Provence, czwartek 8 lipca 2010

Antoine Verlaque wraz z dwoma współpracownikami przez cały ranek analizowali przypadek Yvette Tamain. Skończyli o wpół do dwunastej. Uzgodnili, że spotkają się ponownie po Dniu Bastyllii - czternastego lipca - by ostatecznie zaplanować linię śledztwa, zanim wezwą do Pałacu panią mer, szefa jej kampanii wyborczej oraz naczelnego dyrektora AixCom. Kiedy jego koledzy wyszli, Verlaque chwycił za telefon i zadzwonił do szpitala. Michèle Baudouin nadal była w śpiączce. Po lunchu pojedzie do Puyloubier i złoży wizytę Valère'owi i jego gospodyni. Miał kilka pytań dotyczących wypadku Mme Baudouin, pewne luki w relacjach o wieczornych wydarzeniach nie dawały mu spokoju przez cały poranek.

Gdy tylko zakończył rozmowę ze szpitalem, zadzwonił jego telefon. Była to Mme Girard, która z sąsiedniego pokoju poinformowała go, że dzwoni sędzia Sennat z Cannes. Podziękował sekretarce i wziął głęboki oddech, zanim się odezwał. Minęły lata, od kiedy ze sobą rozmawiali.

- Tu Verlaque - powiedział, uzmysławiając sobie, że zabrzmiało to chłodniej, niż zamierzał.

- Cześć, Antoine - odparła sędzia. - Jak się masz?

Odchylił się na oparcie krzesła i starał się uspokoić.

- W porządku, Chantal. A jak ty się masz?

- Jestem bardziej zapracowana niż sam diabeł.

- Jakieś wieści o porwaniu Mme Blechman? - Ostatnio widział wywiad z Chantal Sennat na kanale M6. W przeciwieństwie do niego zupełnie się nie zestarzała. Jej długie, kruczoczarne włosy były tak gęste i falowane jak zawsze. Właśnie dla takich włosów firmy kosmetyczne zatrudniały modelki. Verlaque patrzył na nią, gdy dziennikarz zadawał jej wciąż te same pytania, trzymając mikrofon za blisko jej twarzy. Jej ciemnoniebieskie oczy spoczywały na tym nieszczęsnym młodym człowieku, jednocześnie go onieśmielając i uwodząc.

- Nic, zero, nul - odparła, nie kryjąc irytacji. - To już trzy dni... A ze wszystkich stron płyną naciski, także z Paryża.

Skinął głową, wiedząc, że mówiąc „Paryż”, ma na myśli Pałac Elizejski. No tak, on, zajmując się sprawą nieuczciwej mer, nie musiał na szczęście tłumaczyć się prezydentowi Francji, dlaczego jeszcze nie złapał porywaczy. Powiedział:

- Zgaduję, że dzwonisz z pytaniem o akta sprawy Agathe Barbier, które Rudder kazał do mnie wysłać.

- Tak, Rudder mnie wkurzył. Skoro miał jakieś wątpliwości czy podejrzenia, to powinien poprosić mnie, bym się temu przyjrzała.

- Ale przy całym tym porwaniu...

Westchnęła.

- Tak, przekazuję ci ten przypadek, ale tylko dlatego, że jestem zbyt zajęta. Dwie godziny temu wyjechał stąd samochód z aktami Agathe Barbier. Kierowcy nie są najszybsi, ale za kilka minut powinni u was być. Chyba że zatrzymali się w Saint-Tropez na lunch, ale wtedy następnym zadaniem, jakie im wyznaczę, będzie przeprowadzanie uczniów przez ulicę.

Roześmiał się, przypominając sobie zarówno jej poczucie humoru, jak i niecierpliwość.

- Będziesz musiał odesłać te papiery do mnie policyjnym samochodem. Albo sam je przywieźć - mówiła dalej.

- Jestem zbyt zajęty.

- Jak chcesz - odparła. - Nie mam pojęcia, dlaczego Rudder nagle chce wznowić tę sprawę. Chyba dziwacznie na starość. Agathe Barbier zginęła w 1988. To było wtedy, kiedy ty i ja...

Verlaque odchrząknął.

- Tak, wiele lat temu. Pewnie jesteś zamężna i masz nastoletnie dzieci.

- Po rozwodzie, nie mam dzieci. A ty?

- Żonaty, nie mam dzieci. - Nie uważał, by musiała wiedzieć, że ożenił się całkiem niedawno.

- Moja siostra mówi, że posiadanie dzieci to najważniejsze z naszych zadań na ziemi.

- No cóż, więc żadnemu z nas się nie powiodło - stwierdził, obracając w palcach długopis.

Chantal mogła po prostu poprosić któregoś podwładnego, żeby zadzwonił do niego w sprawie przesyłki, ale to ją we własnej osobie usłyszał w słuchawce. Prawdopodobnie na drugiej linii czekał na rozmowę z nią *président de la République*. Chantal nie zmieniła się ani o jotę. Robiła, co chciała, nie dbając o to, kogo obraża czy komu każe czekać. Między innymi to go w niej pociągało, kiedy studiowali razem w Bordeaux. To i...

- Na to wygląda - potwierdziła rozbawiona. - Moja siostra ma sześcioro dzieci, a i tak jest totalnie nieszczęśliwa. Co więcej, kiedy wraz ze swym mężem nieudacznikiem zdecydowali się na potomstwo, zapomnieli o tym, że troje będzie studiowało w tym samym czasie. I zgadnij, kto zapracowuje się na śmierć, by zapłacić chesne - bo żadne z dzieci nie dostało się do *grande école*.

- Z pewnością będą o tym pamiętać, kiedy rodzice się zestarzeją - odparł Verlaque ze śmiechem.

- Tak, oczywiście. Miło cię słyszeć, Antoine. Muszę kończyć. Rudder marnuje twój czas, ale gdybyś jednak odkrył w tych pudłach jakieś przeoczone dowody, to skontaktuj się ze mną, proszę.

- Oczywiście.

- Świetnie kłamiesz. - Słyszał jej oddech. Zrobiła krótką przerwę, zanim dodała: - Słuchaj, pomyśl jeszcze raz o przyjeździe do Cannes...

- To chyba nie najlepszy pomysł, Chantal.

- Spodziewałam się, że to powiesz - odrzekła. - Ale jeśli chodzi o kobiety, to przecież zawsze zmieniasz zdanie, prawda? - Rozłączyła się.

- *Merde!* - syknął, odkładając telefon.

Wstał i zaczął przemierzać gabinet. Podeszedł do regału i otworzył swój mały, mahoniowy humidor. Wyjął z niego krótkie, ale grube cygaro Partagás D4, odciął końcówkę i zapalił, mocując się z zapalniczką. Otworzył okno i usiadł na parapecie. Wspomnienia przebiegały mu przed oczami jak kolorowe pocztówki: weekend z Chantal w Pradze albo w Rzymie. Przesycone winem wieczory z przyjaciółmi w mansardach z widokiem na szare Bordeaux, jeszcze zanim je uporządkowano i odrestaurowano. Verlaque miał pieniądze, nawet jako student, a ją cechowała wielka energia i wybujała fantazja. I właśnie dlatego stanowili dobrą parę, stając się obiektem zazdrości innych studentów. On był eleganckim paryżaninem, który wiódł prym w dyskusjach i świetnie grał w rugby, ona była ognistą piękną z dalekiego zakątka Corrèze. Wychowana przez matkę kosmetyczkę i ojca mechanika, przebyła drogę z przeciętnej, wiejskiej szkoły aż do jednej z najbardziej elitarnych francuskich uczelni prawniczych.

Zaburczało mu w brzuchu i zdecydował się pojechać na lunch do Puylobier. I dokładnie wiedział, kogo zaprosi. Zgasił

cygaro i ukrył jego pozostałość w specjalnym schowku, w bezpiecznym miejscu pomiędzy ścianą zewnętrzną a metalowym wspornikiem rolety. Chwycił marynarkę i telefon i wyszedł z gabinetu właśnie w chwili, gdy Mme Girard zbierała swoje rzeczy. Spojrzała na niego i skrzywiła nos.

- Gdyby ktoś pytał, pojechałem na lunch do Puylobier - powiedział, starając się ignorować dym z cygara, który, jak się wydawało, snuł się za nim. - Za chwilę może przyjsć przesyłka z ważnymi dowodami z Cannes, eskortowana przez dwóch policjantów. Czy mogłaby pani zadzwonić na dół i powiedzieć tym facetom przy drzwiach, by przechowali je pod kluczem, dopóki nie wrócę?

- Oczywiście - odparła, podnosząc telefon. - Miłego lunchu.

- Dziękuję. Wzajemnie.

Uważał, że Mme Girard jest zbyt szczupła, i z przykrością wyobrażał sobie jej lunch złożony z kawałka zimnego pomidora i tuńczyka z puszki. Był w tak kiepskim nastroju, że nieomal wypowiedział te myśli na głos. Młodszy Antoine Verlaque z pewnością by to zrobił. Ale teraz w milczeniu zszedł na dół i opuścił budynek najszybciej, jak mógł. Idąc w górę rue Mignet w kierunku parkingu, przeglądał w telefonie listę kontaktów. Nie był pewien, czy wciąż ma numer Auvieux, ale znalazł go na trzecim miejscu od góry. Zadzwoił i po trzecim sygnale Auvieux odebrał.

- Jean-Claude, tu sędzia Verlaque. Jak się pan ma?

- *Monsieur le juge!* Ojej, ojej! Nie mogę uwierzyć, że to pan - odpowiedział Auvieux z wyraźnym zachwytem w głosie.

Verlaque uśmiechnął się, miał nadzieję na taką reakcję. Takiej potrzebował.

- Mam dziś po południu coś do załatwienia w Puylobier - powiedział. - Ma pan czas na lunch? Wiem, że to tak bez uprzedzenia.

- Ma pan na myśli tę miłą restauracyjkę...?

- Tak, przy *rue qui monte*.

- Och, to naprawdę miła niespodzianka. Włożę moje *daube* z powrotem do lodówki.

Verlaque uśmiechnął się. Tylko stary farmer, który każdego dnia pracował na dworze, jadał gulasz wołowy w gorące lipcowe dni.

* * *

Jean-Claude Auvieux czytał menu, trzymając je kurczowo w swoich dużych, szorstkich dłoniach. Verlaque obserwował farmera, który wpatrywał się w nazwy dań ze zmarszczonymi brwiami i na wpół otwartymi ustami. Auvieux nie był dużo starszy od Verlaque'a, ale jego dziecięca naiwność sprawiała, że wyglądał prawie jak staruszek. Jego nazwisko, „*auvieux*”, także nie pomagało - kryło się w nim słowo „stary”. Miał czerwoną i ogorzałą twarz, typową dla człowieka pracującego na powietrzu, w słońcu i wietrze - i był prawie łysy, tylko jego górną wargę przykrywał krótki, biały wąs.

Auvieux wzdrygnął się, kiedy młoda kelnerka przyniosła małą tabliczkę i umieściła ją na brzegu ich stolika.

- Dzisiejsze specjalności szefa kuchni - obwieściła z szerokim uśmiechem, unosząc ramiona i prostując plecy, jakby te potrawy były jej ukochanymi dziećmi.

- O rany! - zawołał Auvieux, odkładając menu. - Teraz muszę zacząć wszystko od początku!

- Ja wezmę coś ze specjalności - odezwał się Verlaque, starając się ułatwić wybór Auvieux. - Dorsz z koprem włoskim i pomarańczą.

- Świetny wybór, *monsieur*! - zawołała kelnerka.

- Ossobuco? - zapytał Auvieux, zerkając na tabliczkę, a potem na Verlaque'a.

- Cielęcina - wyjaśnił Verlaque.

- Szef kuchni przygotował dziś specjalne *osso buco* - rzekła kelnerka. - Z białym winem, koprem włoskim i sercami karczocha. - Uniosła prawą rękę, przytknęła do ust złożone koniuszki palców i głośno w nie cmoknęła.

Verlaque wpatrywał się uparcie w stół, żeby nie wybuchnąć śmiechem, a Auvieux się rozpromienił.

- Więc dobrze! - wykrzyknął, wyrzucając ręce w powietrze. - Wezmę to *osso*... jak to się tam nazywa.

- Poprosimy też o białego burgunda - odezwał się Verlaque. Założył okulary do czytania i przyjrzał się krótkiej, ale dobrze skomponowanej liście win. - Z Rully. To będzie...

- Jeśli mogę pozwolić sobie na śmiałość - przerwała mu kelnerka - i zasugerować, że kwiatowy bukiet białego Côtés du Rhône będzie pasował zarówno do dorsza, jak i do *osso buco*.

- Dziękuję. Brzmi doskonale - zgodził się Verlaque i podał jej menu. - A czy ma pani jakieś sugestie co do pierwszego dania? - Uwielbiał tę dziewczynę i nie mógł się doczekać, aż powie Marine, że ona wciąż tu pracuje.

Pochyliła się i szepnęła, jakby zdradzała mu tajemnicę wagi państwowej:

- Dla pana, *monsieur, foie gras poêlé*, ponieważ wybrał pan *un plat léger*. Szef przygotował do wątróbek wyborne brzoskwiniowe chutney. Najlepsze miejscowe brzoskwinie, jakie tylko mógł znaleźć, *bien sûr*.

- Wyjątkowo w tym roku obrodziły - dodał Auvieux z uśmiechem. - Sam zjadłem ich setki.

- Doskonale - powiedział Verlaque. Nie dbał o to, z jakim chutney podadzą smażone *foie gras*, wystarczy mu wątróbka i zrumienione masło.

- A dla pańskiego przyjaciela - mówiła dalej - aby zrównoważyć cielęcinę, cierpkość białego wina i karczochów, pozwolę sobie zasugerować pieczone *chèvre*.

Auvieux pogłaskał się po brzuchu.

- Myślę, że można to uznać za zgodę - stwierdził Verlaque.

Farmer skinął głową i upił potężny łyk wody, jak gdyby przygotowywał podniebienie na dalsze smaki.

- Świetnie - rzekła kelnerka. - Zaraz wrócę z winem.

Verlaque uśmiechnął się i odchylił do tyłu, zadowolony, że udało mu się tak szybko spotkać z Auvieux. Jednocześnie miał też lekkie poczucie winy, że tak długo zwlekał z zaproszeniem go do restauracji. Wrócił myślami do sprawy z Château Bremont i próbował przypomnieć sobie, kiedy dokładnie w trakcie śledztwa dotyczącego braci Etienne'a i François spotkał Auvieux, dozorcę nieruchomości.

Wino zostało otwarte, a na ich stole pojawiło się pierwsze danie. Rozmawiali o pogodzie, jedzeniu i o złej passie drużyny rugby z Aix. Kiedy kelnerka zebrała ich talerze, Verlaque nalał im po jeszcze jednym kieliszku i oparł łokcie na drewnianym stole.

- Jean-Claude - zaczął. - Co pan wie o La Bastide Blanche? To ten dwór przy wyjeździe z wioski.

Auvieux przygryzł dolną wargę.

- Nigdy tam nie byłem. To wielka posiadłość, bardzo stara.

Verlaque skinął głową, ale jego rozmówca milczał.

- Tak, ma kilkaset lat. Czy zna pan historię tego miejsca? Właśnie kupił je mój znajomy i mówił, że niektórzy mieszkańcy z okolicy robią znak krzyża, kiedy się tam zbliżają.

- O tak, tak. Właśnie tak robią.

Verlaque starał się zachować cierpliwość, kiedy słyszał nic niewnoszące odpowiedzi Auvieux.

- Jakieś opowieści, legendy? - zapytał.

- Powiadają, że dwór jest przeklęty i nawiedzony.

- Przez kogo?

Auvieux spojrzał na sufit.

- No cóż, przez kogoś, kto kiedyś tam mieszkał, jak sądzę - odparł. - Nigdy się tego nie dowiedziałem. Mówiono nam po prostu, że tam straszy i że mamy tam nie chodzić. Wiele lat temu stało się tam coś złego.

Verlaque odchylił się na oparcie krzesła. To by wyjaśniało lęk mieszkańców wsi, ale nie to, że Mme Baudouin spadła ze schodów - oczywiście jeśli nie została zepchnięta przez gospodynię.

- Nowym właścicielem jest słynny pisarz - wyjaśnił.

- Wiem. Wszyscy wiedzą. - Auvieux skinął głową.

- Czy mieszkańcy wsi go lubią?

Auvieux wzruszył ramionami.

- Ledwo go znamy. Dopiero przyjechał i raczej siedzi w domu. Ale jego gospodyni robi dla niego zakupy na rynku i w tutejszych sklepikach, więc za to ludzie go lubią. Nie każe jej jechać do *hypermarchés* w Trets czy Aix.

- Czy poza nim pojawił się w wiosce ktoś nowy?

Auvieux ponownie wzniosł oczy ku górze.

- Przecież jest lato! We wsi jest prawie dwa razy więcej ludzi niż normalnie! Niech pomyślę - holenderska rodzina wynajęła na miesiąc dom starszej pani Coydon, która jest teraz u wnuka w Lyonie - powiedział. - Para Niemców, dwaj mężczyźni, właśnie kupili *une maison du village* i je odnawiają. O, jest też paryżanka, bardzo elegancko ubrana, z bardzo dobrymi manierami. Ktoś powiedział, że to emerytowana bibliotekarka. Rzadko wychodzi, tylko po zakupy. Ale słyhać, kiedy idzie po chodniku.

- Jak to? - zainteresował się Verlaque.

- Jej laska.

- Jest bardzo stara?

Auvieux pokręcił głową, jakby tylko czekał na to pytanie.

- Niewidoma.

- Czy w wiosce są jakieś zbiry?

- *Quoi?* - dopytywał Auvieux. Wlepił wzrok w kelnerkę, która szła w ich kierunku, niosąc dwa parujące talerze, umieszczone na rozciągniętym pod nimi ręczniku kuchennym.

- No wie pan - wyjaśnił Verlaque, zdając sobie sprawę, że czas ich spotkania powoli dobiega końca. - Dranie. Szumowiny.

Auvieux skrzywił się.

- Kuzyni Pioger. Hervé i Didier. Obaj siedzieli w więzieniu, jeden za kradzież, drugi za pobicie byłej żony. Mieszkają nad dawnym sklepem żelaznym.

- Jak miło.

- Tego bym nie powiedział - odparł Auvieux, nie zauważając sarkazmu Verlaque'a. - Jeden z moich znajomych po wizycie w tym mieszkaniu powiedział, że wyglądało jak po ataku sirocco.

Verlaque uśmiechnął się na wspomnienie tego gorącego, pustynnego wiatru, który pozostawiał za sobą czerwony piasek na każdej powierzchni.

Kelnerka postawiła przed nimi talerze, ostrzegając, że są bardzo gorące. Auvieux zatarł ręce, kiedy poczuł aromat dochodzący z jego ossobuco.

- *Bonne continuation, chér Juge!*

* * *

Na deser mężczyźni zamówili talerz serów i zakończyli posiłek kawą espresso, po której wypili jeszcze po kieliszku trudnego do zdobycia calvadosa Roger Groult (szef kuchni pochodził z Normandii). Verlaque szybko zapłacił rachunek, zanim Auvieux zdążył zaprotestować. Nie uzyskał od swojego gościa zbyt wielu przydatnych informacji, może poza tymi o kuzynach Pioger, ale bardzo miło spędził czas. Pomyślał o swoim dziadku, Charles'u, który mimo że był niezwykle

bogaty, postawił sobie za punkt honoru, by co tydzień jeść obiad ze swoimi zarządcami i nadzorcami młynów.

- Nie nauczysz się niczego, trzymając się tego, co już wiesz - tłumaczył wnukom. - Musisz wyjść ze swojej strefy komfortu. Poza tym lubię moich ludzi.

Emmeline, jego pochodząca z Anglii żona, zachowywała się podobnie. Czuła się równie dobrze z należącymi do bohemy przyjaciółmi ze szkoły plastycznej, bogatymi sąsiadami z Paryża, jak i z rozsądnymi żonami farmerów, mieszkającymi w pobliżu ich dworu w Normandii, z którego rodzina korzystała w wolne dni. Antoine i jego brat, Sébastien, nie nauczyli się utrzymywać kontaktów z ludźmi, którzy nie żyli tak jak oni - w wielkim domu w centrum Paryża. I choć Antoine nieczęsto widywał Sébastiena, potentata na rynku nieruchomości, to wiedział, że brat nie szukałby znajomości z człowiekiem, który nie ma równie okazałego rachunku bankowego jak on. Verlaque zawsze był świadom bogactwa swojej rodziny i kiedy studiował, starał się utrzymywać przyjaźnie z ludźmi z różnych środowisk. Wiedział, że rugby niezmiernie to ułatwiało. Podobnie jak Chantal. Zauważał, że ma coś wspólnego z nimi wszystkimi - graczami rugby, starymi przyjaciółmi z uczelni prawniczej, z klubu palaczy cygar, z farmerami: oni wszyscy kochali dobre, prawdziwe jedzenie. „Chyba w jakimś stopniu nadal jestem snobem” - pomyślał, parkując pod La Bastide Blanche, kiedy już odwiózł Auvieux do domu. Nie, ze swoją sekretarką, Mme Girard, mimo że bardzo ją szanował, nie mógłby się zaprzyjaźnić. No bo co by jedli?

Przeszedł przez trawnik do starych, frontowych drzwi, które były szeroko otwarte. Nie zaskoczyło go to, gdyż dom znajdował się na wsi, a panowała piękna, letnia pogoda. Ale czy często je tak zostawiano? Kuzyni Pioger bez trudu mogli pojawić się jak spod ziemi, bo wiekowy, zniszczony dom, zamieszkały teraz przez niemłodego, bogatego mężczyznę,

stanowił pisane złotymi literami zaproszenie do kradzieży z włamaniem. „A włamanie nawet nie jest konieczne” - pomyślał Verlaque i zawołał:

- *Âllo!* - „Každy może tu po prostu wejść, tak jak ja teraz”.

Przekroczył próg eleganckiego holu i zmarszczył nos. Coś się paliło.

- *Âllo!* - zakrzyknął ponownie.

- Ciii - szepnęła Sandrine, idąc długim korytarzem z palcem wskazującym przy ustach.

- Co to za swąd? - zapytał cicho Verlaque.

- Proszę was bardzo uprzejmie o opuszczenie mojego domu - mówił Valère, wychodząc z pokoju dziennego. Trzymał w górze wiechę palących się gałązek. Zobaczył Verlaque'a i mrugnął do niego. - Teraz to jest mój dom i musicie wszystkie stąd odejść. - Przeszedł przez hol i wkroczył do innego pokoju, machając nad głową płonącym wiechciem. - Rozumiem, że może kiedyś tu mieszkaliście, ale cóż, czas nie stoi w miejscu... *Que sera, sera...*

Sandrine ściągnęła brwi.

- On się wcale nie stara! - szepnęła.

- Co to za gałęzie?

- Szałwia - wyjaśniła, pochylając się do Verlaque'a. - Sama ją przygotowałam.

Valère wrócił do holu i wyszedł przez frontowe drzwi, nie przestając rozmawiać z duchami. Verlaque i Sandrine ruszyli za nim i obserwowali, jak bez przekonania macha płonąca wiązką wzdłuż krawędzi budynku.

- Następna będzie woda święcona - oznajmiła Sandrine. - Kupiłam ją w katedrze w Aix.

- Naprawdę? - dopytywał Verlaque. - Więc dom jest nawiedzony?

Sandrine przytaknęła.

- Nie sądzi pani, że to tylko miejscowe plotki, Mlle Matton?
Sandrine pogroziła mu palcem.

- Czy to miejscowe plotki nie dają M. Barbierowi spać w nocy? - zapytała z przekąsem.

- Może to jego zmartwienia nie pozwalają mu zasnąć? - Verlaque patrzył, jak Barbier znika za rogiem.

- Jakie on może mieć zmartwienia? - zapytała Sandrine. - Jest słynnym na całym świecie pisarzem. Proszę spojrzeć na jego dom. - Wskazała na *bastide*, który, jak musiał przyznać Verlaque, prezentował się bardzo majestatycznie w letnim słońcu.

- Bogaci ludzie też mają troski. - Pomyślał o swoich rodzicach, którzy tkwili w swoim wielkim domu mieszczącym się o kilka ulic od Luwru i nigdy ze sobą nie rozmawiali. Jego matka umarła tak, jak żyła - nieszczęśliwa. - Może nawet większe - dodał.

Sandrine zrobiła balona z gumy do żucia.

- Nic nie jest takie trudne, jak sprzątanie. I strata kogoś, kogo się kocha.

Verlaque odwrócił się w jej kierunku.

- Przykro mi... - zaczął.

- Skończyła mi się szalwia! - krzyknął Valère, idąc do nich z południowo-wschodniego narożnika domu. - Prawie oparzyłem sobie palce!

Sandrine ujęła się pod boki.

- No i co ja mam z panem zrobić? Ale proszę się nie martwić - przygotowałam cztery wiązki.

- Ma pan ochotę na przerwę? - zapytał Verlaque.

- Jak najbardziej - odparła za gospodarza Sandrine.

Verlaque zerknął na Barbiera, ciekaw, czy nie przeszkadza mu, że jego sprzątaczką rozstawia go po kątach. Ten jednak najwyraźniej o to nie dbał.

Sandrine popatrzyła na mężczyznę i powiedziała:

- Zostawię panów i pójdę pozmywać po lunchu.

Verlaque skinął głową, a Valère poprowadził go na skraj tarasu, gdzie stał stół i cztery krzesła z kutego żelaza.

- Proszę, niech pan spocznie - rzekł Valère.

Verlaque podziękował i usiadł. Mógł stąd podziwiać widok na fioletową lawendę, srebrne drzewa oliwne i ciemnozielone winorośle.

- Czy mogę powiedzieć, jak urocza wydaje mi się pańska żona? - zapytał gospodarz.

Verlaque skinął głową.

- Poślubienie jej to najlepsza decyzja w moim życiu. Dziękuję. - Sięgnął do kieszeni i wyjął małą, skórzaną cygarnicę, w której mieściły się dwie korony. Otworzył ją i podsunął Valère'owi. - Proszę - powiedział. - Moi przyjaciele kupili te cygara w Hawanie. Były zwijane ręcznie przez faceta o imieniu Gustavo.

- Gustavo! W tym małym pomieszczeniu nad dziedzińcem Villi Conde! - zawołał Valère. - Od dawna takich nie paliłem. -

Delikatnie wyjął jedno cygaro, a Verlaque zrobił to samo. Obcięli końcówki i zapalili. Valère skrzyżował nogi i odchylił się do tyłu. - Marine, pańska żona, przypomina mi Agathe.

- Naprawdę?

- Jest piękna, ale nie zdaje sobie z tego sprawy. Albo się z tym nie afiszuje. Agathe również była wysoka, co jest niezwykle w tym kraju. Czy Marine jest Bretonką?

- Jej babcia była Bretonką - odpowiedział Verlaque. - To po niej Marine odziedziczyła wzrost, kasztanowe włosy i zielone oczy.

- Marine jest piękna, a Agathe była piękna w niezwykle sposób - przewyższała wzrostem paryżanki, miała długi, prosty nos i wysokie czoło, które nadawało jej królewski wygląd. Nie

była jak te paryskie dziewczęta z zadartymi nosami i wydętymi ustami.

Verlaque się roześmiał, a Valère - rad, że ma uważnego słuchacza - mówił dalej:

- Dla niej byłem buntownikiem, dzieciakiem z trzynastej dzielnicy, którego matka pracowała jako pielęgniarka, a ojciec zginął podczas drugiej wojny światowej. Facetem, który zawsze pisze jakieś wiersze na odwrocie kopert i na małych kartkach papieru, jakie udało mu się znaleźć. I tak mnie nazwała - *Lambeau*. Gałgan.

Verlaque uśmiechnął się. To był dobry pseudonim.

- Jak na pierwsze kroki pisarza...

- Agathe pracowała ciężiej ode mnie, była też bardziej oryginalna - szybko powiedział Valère. - Ja od początku wiedziałem, co się spodoba krytykom, jakie książki sprawią, że znani pisarze będą klepać mnie po plecach i uzupełniać moją szklankę z whisky.

Verlaque nie mógł zrozumieć, dlaczego nastrój Valère'a nagle się zmienił.

- Przecież zdobył pan Nagrodę Goncourtów...

- Och, to test na popularność. Otrzymałem też Order Legii Narodowej, a w 1987 byłem nominowany do Nobla - ale przegrałem z Wolem Soyinką, z powodów czysto politycznych.

- Przykro mi. To musiało być trudne.

- Ucierpiało moje ego - nic poza tym. Skwitowałem to śmiechem, a Agathe powiedziała: „Mała grupa sześćdziesięcio- i siedemdziesięcioletnich szwedzkich nacjonalistów być może potrafiłaby wybrać najlepszego szwedzkiego autora roku, ale jak mogą wiedzieć, co jest najlepsze w całej literaturze światowej z wszystkimi jej stylami i odmiennymi tradycjami”.

- Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy. - Verlaque strzepnął trochę białego popiołu do popielniczki. Patrzył na

Valère'a i czekał.

- Tak. Rok później Agathe już nie żyła.

Sandrine wyszła z dworu, niosąc butelkę zimnej wody mineralnej i dwie szklanki.

- Doskonale. Dziękuję ci. Ale zapomniałaś...

- Whisky - dokończyła Sandrine z uśmiechem. - Nie zapomniałam. Nie dałam rady jej przynieść. Zaraz wracam.

- Słyszałem, że Mme Baudouin jest nadal w śpiączce - odezwał się Verlaque.

- Tak - przytaknął Valère. - Dzwoniłem dziś rano do szpitala.

- Jak dobrze zna pan Mlle Matton? - zapytał Verlaque, zanim Sandrine ponownie pojawiła się we frontowych drzwiach.

Valère wyglądał na zaskoczonego.

- To bratanica mojego prawnika i przyjaciela, Guillaume'a Mattona. Znam go od lat.

- Ale nie ją.

- To prawda - odparł Valère. - Ale Matton z pewnością by jej nie polecił, gdyby... nie była godna zaufania.

- Ona najwyraźniej wierzy, że ten dom jest nawiedzony.

Valère wzruszył ramionami.

- Nie umiem wyjaśnić, co się tutaj dzieje, a pomysły Sandrine, choć mogą się wydawać zbyt newage'owe, być może są warte wypróbowania. Nie zniosę kolejnej bezsennej nocy.

Verlaque skrzyżował nogi i spojrzał na dwór, zanim zapytał:

- Czy to możliwe, że Mlle Matton próbuje pana przestraszyć?

Valère zaprzeczył ruchem głowy.

- To się zaczęło, zanim ona się tu pojawiła. Zaraz po moim zamieszkaniu tutaj.

Verlaque odnotował w myślach, że Sandrine Matton mogła dzięki wujowi znać dokładną datę przeprowadzki Valère'a.

- Czy przychodzi panu do głowy, komu mogłoby zależeć na pozbyciu się pana z tego domu?

Sandrine wróciła z butelką Laphroaiga, dygnęła i odeszła.

- *Merci*, Sandrine - zawołał za nią Valère. - Większość ludzi nawet nie wie, że wyprowadziłem się z Paryża.

- Co dokładnie się tutaj dzieje? - dociekał Verlaque. - Czy może mi pan to wyjaśnić?

Valère odchylił się na krześle i zaczął opowiadać sędziemu o dziwnych nocnych zajściach. Odczuł ulgę, ponieważ Verlaque kiwał głową i niczego nie oceniał.

- Zdaje pan sobie sprawę, że może istnieć logiczne wytłumaczenie tych incydentów? - odezwał się Verlaque, kiedy Valère skończył mówić.

- Wiem, wiem. Instalacja elektryczna jest starożytna, trzeba założyć nową. To mogłoby wyjaśniać, dlaczego światła zapalały się i gasły. I wiem, że w takim starym domu można usłyszeć różne dziwne dźwięki. Ale głosy? Wrażenie, że ktoś obok mnie leży?

- Kto mógłby coś zyskać, zastraszając pana? Czy jest ktoś, kto pana nienawidzi?

Valère się roześmiał. A po chwili wolno odpowiedział:

- Tak. Ale ona nie żyje.

Aix-en-Provence, czwartek 8 lipca 2010

Marine zawsze skrupulatnie trzymała się przepisu, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów. Jak wiele francuskich kobiet, które dorastały w latach siedemdziesiątych i miały dobrze wykształcone, pracujące zawodowo matki, nie nauczyła się gotować. Jej matka, Florence Bonnet, uznana teolog i profesor uniwersytetu w Aix, uważała, że po drugiej wojnie światowej francuskie kobiety zdobyły prawo do studiowania i robienia kariery. Jej córka, podobnie jak ona, będzie wyzwolona z jarzma prowadzenia kuchni.

Marine postawiła butelkę oliwy z oliwek na jednej z kulinarnych stron „Elle”, by czasopismo się nie zamknęło. Pożyczyła je od Sylvie, która prenumerowała „Elle” i lubiła besztać Marine za to, że nie kupuje ona tej niezbędnej dla każdej francuskiej kobiety *bonne lecture*. Marine rozumiała, co jej najlepsza przyjaciółka ma na myśli – w „Elle” można było znaleźć dobrze napisane recenzje najnowszych książek i filmów, artykuły o relacjach międzyludzkich i o polityce, a także, oczywiście, olśniewające strony modowe – przy czym ubrania nie były tak drogie, jak w „Vogue’u”. Ale to przepisy na ostatnich stronach najbardziej interesowały Marine – proste posiłki przygotowane z łatwych do zdobycia składników, typowych dla danej pory roku, i w większości napisane dla kobiet w jej wieku, których nie kształcono w sztuce kulinarnej.

Zarówno ona sama, jak i Antoine lubili dobrze jeść, a ona miała ambicje, by gotować lepiej niż mąż. W jego kuchni – należącej teraz do obojga – z jej gładkimi, marmurowymi blatami, pięciopalnikową kuchenką gazową i ostrymi, niemieckimi nożami, gotowanie sprawiało prawdziwą radość. Jak to możliwe, że tak długo wytrzymała z kiepskimi nożami w swojej prostej kuchence po drugiej stronie miasta?

Drzwi do ich mieszkania na czwartym piętrze otworzyły się i wszedł Antoine, wołając jak zwykle:

– *Coucou!*

Marine odpowiedziała swoim standardowym „*Buonasera!*”, jednocześnie wlewając ciemnozieloną oliwę do szklanych naczyń do zapiekania.

– Obawiam się, że coraz gorzej radzę sobie z włoszczyzną.

– Nie wydaje mi się – odparł Verlaque, wskazując na oliwę.

Marine roześmiała się.

– Nie chodzi mi o gotowanie, lecz o język.

– Więc kupmy mieszkanie w Wenecji.

– Żartujesz!

– Wcale nie – odrzekł. – Mieszkania w Wenecji kosztują teraz o połowę mniej niż w Paryżu.

Marine odstawiła oliwę i spojrzała na niego uważnie.

– Mówisz serio?

– Mogę ci pokazać – powiedział, wyjmując z kieszeni telefon.

– Nie, nie. Wierzę ci. Muszę to wstawić do piekarnika.

– Czy nie będzie ci przeszkadzało, jak rozłożę trochę papierów na stole jadalnym?

– Absolutnie nie. Myślę, że zjemy na tarasie.

– Świetnie. – Verlaque podniósł wypłowiały, zielony segregator i powiedział: – To raport o zatonięciu Agathe Barbier, z 1988 roku.

– Wolno ci go tu mieć?

Verlaque wzruszył ramionami, myśląc o warunku, jaki postawiła Chantal, by te akta zostały odesłane w asyście policjantów.

- Raczej nie. Ale potrzebuję twojej opinii.

- Dobrze. Spojrzę na to, kiedy już przeczytasz.

- Zaznaczę najistotniejsze fragmenty. - Zrobił kilka kroków w kierunku jadalni i się odwrócił. - Jest tylko jeden problem z mieszkaniem w Wenecji - powiedział.

- Miasto tonie?

- Nie, to nie to.

- *Acqua alta*?

- Nie.

- Za dużo turystów?

- Nie w Castello.

- Poddaję się.

Verlaque zmarszczył brwi.

- Nie ma bezpośrednich lotów z Marsylii.

- Och, to znacznie skomplikowałyby szybkie wypadki na weekend. A tak przy okazji, na kolację jemy dziś same warzywa.

Verlaque zrobił gest, jakby wbijał sobie sztylet w pierś, i poszedł do jadalni.

* * *

Odchylił się na krześle, wycierając usta dużą, lnianą serwetką.

- Doskonałe - oznajmił.

Marine poruszyła się niespokojnie. Uważała, że jej mąż jest aż nadto miły.

- Dziękuję - odparła. - Szkoda, że rozmaryn był spalony.

- Jesteś dla siebie zbyt surowa.

Kiedy Verlaque wlewał do kieliszków resztę wina, zaburczało mu w żołądku.

- To twój brzuch? - zdziwiła się Marine. - Przecież nie możesz być głodny.

- Wziąłbym sobie kilka plasterków salami z lodówki. Mogę?

- Śmiało - odpowiedziała ze śmiechem. - Czy znalazłeś coś ciekawego w aktach Agathe Barbier?

- Jak dotąd wszystko wydaje się dość jasne - rzekł, wstając od stołu. - Kiedy gotowałeś, udało mi się przeczytać zapisy wszystkich przesłuchań.

- Żebyś nie chodził na darmo - odezwała się Marine, wręczając mu kilka brudnych naczyń.

Odchyliła się do tyłu i popatrzyła na szczyty dachów i ośmiokątną, podświetloną teraz wieżę katedry. W pewnej chwili usłyszała, jak operowy chór zaintonował pieśń, dosłownie o kilka metrów od ich mieszkania. Verlaque ponownie wszedł na taras, niosąc talerzyk z cienko pokrojonym salami, i powiedział:

- Najtańsze bilety na operę są właśnie u nas.

- Możemy słuchać przy jedzeniu.

- I picciu - dodał, unosząc kieliszek.

- Kto był na jachcie, kiedy Agathe wypadła za burtę? - zapytała Marine, sięgając po plasterek kiełbasy i wkładając go do ust.

- Było ich pięcioro - odparł Verlaque. - Agathe i Valère Barbierowie, wydawca Valère'a: Alphonse Pelloquin z żoną, Monicą, i sekretarka Valère'a, Ursule Genoux.

- Jego sekretarka? Podczas wakacji?

- Komisarz z Cannes zadał dokładnie to samo pytanie, kiedy przesłuchiwał Genoux. Kończyli książkę, a Ursule najwyraźniej zawsze była obecna, kiedy Valère pisał. To się zdarzyło jeszcze w latach osiemdziesiątych.

- No tak - mruknęła Marine. - Żadnych komputerów.
- Valère dyktował jej tekst, a ona pisała na maszynie.
- Ale na jachcie?
- Przez trzy tygodnie byli na Sardynii - wyjaśnił Verlaque. - Monica Pelloquin jest Włoszką i ma tam dom.

Marine mrugnęła okiem.

- Szczęściarze... Pamiętam, jak moi rodzice rozmawiali o tym wypadku. To wszystko brzmiało tak dramatycznie. Od razu można było wyobrazić sobie zbyt duże ilości dżinu z tonikiem, zbyt ostre słońce i wreszcie kłótnie i bójki. Wiesz, jak u tych hollywoodzkich gwiazd z lat trzydziestych. Ale co, u diabła, Agathe Barbier robiła na pokładzie w taki sztorm?

- Miała chorobę morską - odpowiedział Verlaque. - Nikt nie wiedział, że wyszła na pokład, poza Alphonse'em Pelloquinem, który ostrzegał ją przed straszną pogodą. Pozostali byli na dole. Pelloquin twierdził, że ponieważ się upierała - a przez cały dzień miała torsje, co potwierdzili inni - kazał jej się przypiąć do liny ratowniczej przy dziobie. Gdy odeszła, wrócił do kokpitu, by sterować. W tym sztormie niczego nie słyszał.

- Samobójstwo?

- Oni wszyscy mówili, że to niemożliwe - Agathe była bardzo zrównoważona i pogodna.

- Gdzie teraz są? - chciała wiedzieć Marine.

- W Paryżu. Z wyjątkiem Alphonse'a Pelloquina, który zmarł na raka w 2001.

Marine dopiła wino, po czym zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

- Co cię trapi, kochanie? - zapytał Verlaque.

- Dlaczego ona nie przypięła się do tej liny, tak jak jej mówił Pelloquin?

- Może nie dała rady? Prawdopodobnie wypadła za burtę, zanim zdołała się przytroczyć.

- I Daniel de Rudder oczekuje, że znajdziesz coś w tych aktach?

Verlaque skinął głową.

- W tym folderze jest trochę zdjęć z łodzi. Ty kiedyś żeglowałaś, prawda?

- Niewiele - odparła Marine. - W liceum chodziłam z chłopakiem, którego rodzina miała w Marsylii jacht. Ale trochę jeszcze pamiętam. Opowiadałeś kiedyś, że Rudder też zabierał cię na łódkę.

- Wiele razy. Mam wspaniałe wspomnienia. - Pamiętał Ruddera stojącego na rufie z rozwianymi, jasnymi włosami i opaloną twarzą, wykrzykującego komendy do przejętych studentów prawa, których większość po raz pierwszy znalazła się na jachcie. I była tam Chantal...

Plac tuż za rogiem ich domu wypełnił się gwarem setek ludzi opuszczających festiwal operowy. Marine popatrzyła na męża i powiedziała:

- Wejźdźmy do środka i obejrzymy te zdjęcia. Mam ochotę na herbatę. A ty?

- Herbatę? O tak, to brzmi dobrze.

Marine zebrała resztę naczyń i popatrzyła na Verlaque'a, który przeszedł na koniec tarasu i przyglądał się miastu. Uwielbiała go obserwować, kiedy tego nie zauważał. Kochała jego gęste szpakowate włosy, krzywy nos, szeroką klatkę piersiową i mocne ramiona. Oparł teraz łokcie o kamienną balustradę i wpatrywał się w tłum melomanów. Niektórzy z nich wybrali rue Adanson, żeby skrócić sobie drogę, inni dlatego, że się zgubili, a jeszcze inni mieli po prostu ochotę powalać się w tę ciepłą, letnią noc, być może zainspirowani operą Mozarta. Verlaque stał bez ruchu. Marine wzruszyła ramionami - spodziewała się, że jeśli chodziło o herbatę, to żartował.

* * *

- Jakie brzydkie fryzury - skwitowała Marine, patrząc na rozłożone przed nimi czarno-białe fotografie.

- Około 1985 roku nawet sławni i bogaci nie potrafili oprzeć się stylowi Vidala Sassoon - przyznał Verlaque.

- A te krótko przycięte grzywki wyglądają jak jakieś grzyby - skomentowała Marine, wskazując na paszportowe zdjęcie Moniki Pelloquin. Sięgnęła po fotografię naburmuszonego młodzieńca. - Kto to?

- Erwan Le Flahec, syn Agathe - odparł Verlaque, biorąc do ręki jeden z raportów policyjnych. - Tu piszą, że urodził się w Vallauris w 1972, więc miał szesnaście lat, kiedy jego matka umarła.

- Ale tamtej nocy nie było go na łodzi, prawda?

- Nie.

- Dzięki Bogu.

Verlaque czytał dalej, a Marine uważnie przyglądała się zdjęciom. Marszczyła przy tym brwi i przygryzała dolną wargę.

- Wypełniając raporty, policja w Cannes wystawiła każdemu przesłuchiwanemu ocenę, jak stopień w szkole. Wszyscy dostali „bardzo niezadowolający” za „współpracę podczas śledztwa” - roześmiał się Verlaque.

- Powinni lepiej się starać.

- Trzy punkty na dziesięć. Musicie zostać po lekcjach - dodał Verlaque ze śmiechem. - Nawet o młodym, którego przesłuchiowano w Paryżu, piszą: „zupełnie nie chciał współpracować”.

- Nic dziwnego - mruknęła Marine. - Właśnie zmarła jego matka.

- Sekretarka twierdziła, że słyszała, jak Agathe i Alphonse Pelloquin kłócili się wcześniej tamtego popołudnia.

- Pięć osób na małej łódce. Nic dziwnego. - Marine przewróciła oczami.

- Właśnie. Mogli kłócić się o cokolwiek.

- To, że ten przypadek nigdy nie został rozwiązany, musiało bardzo dręczyć Rudder. Był przecież nie do pobicia jako sędzia - zauważyła Marine.

- Tak, ale był też człowiekiem - zaproponował Verlaque. - Jego wnuk, mniej więcej w wieku Erwana, chorował. Bardzo poważnie, na białaczkę. Zmarł rok później. Kilka lat po tym wypiliśmy z Rudderem kilka drinków. Spotkanie przeciągnęło się aż do rana, a on zwierzył mi się, że przypadek Barbier ciągle go prześladowa. Przyznał, że w czasie choroby wnuka powinien wziąć urlop, ale wciąż pracował nad tą sprawą, przekonany, że może podołać i jednemu, i drugiemu - wizytom w szpitalu i wyjaśnieniu tajemniczej śmierci. Wiele pracy przekazał młodemu koledze, który bardzo się starał. Rudder miał wtedy ponad sześćdziesiąt lat i być może powinien przejść na emeryturę.

- To była głośna sprawa - stwierdziła Marine. - Przecież dotyczyła Valère'a Barbiera. Wciąż nie mogę uwierzyć, że on tutaj mieszka i że mogliśmy go poznać. Wiem, to może głupie... Ale on jest takim wybitnym człowiekiem. Myślę, że ponieważ rozmawialiśmy z nim o tym i owym, razem żartowaliśmy, zapominamy o jego znaczeniu dla kultury tego kraju.

- Muszę się teraz bardziej denerwować w jego towarzystwie - roześmiał się Verlaque.

- Ale pomimo że żartował i zachowywał się jak zaprzyjaźniony sąsiad - mówiła Marine wyższym niż zazwyczaj głosem, co zdarzało jej się w chwilach podekscytowania - to pamiętam, że gdy dowcipkował, iż jestem żoną sędziego, a Paulik pracuje w policji, wydawał się zaniepokojony.

- Podobnie w klubie palaczy cygar - dodał Verlaque. - Ale nie dajmy się ponieść wyobraźni.

Marine podniosła plik zdjęć zrobionych na łodzi.

- Kiedy na scenę wkroczyła policja? To znaczy, w tym wypadku, na łódź.

Verlaque założył okulary do czytania i przejrzał kilka stron raportu.

- Prawie natychmiast - odparł.

- Jak to?

- Okazało się, że ich łódź znajduje się blisko brzegu - wyjaśnił. - Alphonse Pelloquin zadzwonił pod numer alarmowy i, jak tu piszą, straż przybrzeżna zjawiała się przed upływem godziny.

- Ale w tym czasie ktoś mógł poprzemnieść rzeczy znajdujące się na łodzi.

Verlaque potrząsnął głową.

- To prawda, jednak Valère nie pozwolił nikomu się ruszyć, zanim nie przybędzie straż. Przeczytałem o tym przed kolacją. W trakcie przesłuchania powiedział, że kazał dwóm kobietom zostać na kokpicie i przywiązać się linami ratowniczymi. On i Pelloquin próbowali kierować światła na morze i rzucać za burtę koła ratunkowe, ale bez rezultatu.

- Skoro byli blisko brzegu, dlaczego ciało Agathe nigdy nie wypłynęło?

- Dobre pytanie.

Marine wręczyła Verlaque'owi jedno ze zdjęć.

- Kuchnia - powiedziała, patrząc na fotografię małego kambuza. - Sądząc z liczby użytych limonek leżących w zlewozmywaku, miałam rację co do koktajli. - Pochyliła się do męża i mówiła dalej: - Katharine Hepburn. To o niej myślałam. Czytałam o strasznych pijackich awanturach, jakie urządzał jej... Jak on się nazywał?

- Spencer Tracy.

Marine strzeliła palcami.

- Tak, to on. *Zgadnij, kto przyjdzie na obiad!* Był jej mężem w tym filmie i w życiu, prawda?

- Kochankiem - poprawił Verlaque. - Jako katolik nie mógł rozwieść się z żoną.

Marine uniosła brwi. Przeglądała zdjęcia, dopóki nie znalazła jednego, przedstawiającego Agathe Barbier. Przesunęła je do Verlaque'a.

- Widzisz na jej szyi medalik z chrztu?

- To nie znaczy, że była pobożna. - Podniósł fotografię ukazującą przedni pokład łodzi i przyciągnął ją bliżej do oczu, po czym wręczył ją żonie. Zaczął kartkować raport i po chwili znalazł fragment, którego szukał. - Posłuchaj. Monica Pelloquin podczas przesłuchania twierdziła, że Alphonse był chorobliwie skrupulatny jako kapitan. Jedna z pozostałych osób - chyba sekretarka - powiedziała coś podobnego.

- Oczywiście sztorm to nie jego wina - stwierdziła Marine.

- Ale spójrz na pokład. - Verlaque wskazał na fotografię.

- *O là là.* - Marine przyciągnęła zdjęcie i zmrużyła oczy, wodząc po nim wzrokiem od lewa do prawa. - *Quel bordel!* Dlaczego kotwica nie jest w bakiście?

Verlaque uśmiechnął się.

- Jeszcze coś pamiętasz z żeglowania. Daniel Rudder miał fiolet na tym punkcie. I spójrz na te liny na pokładzie, które powinny być w bloczkach i knagach, czy jak to się tam nazywa. Powinny być zwinięte i odłożone. Rudder zawsze powtarzał, że nieposprzątanym pokładem aż prosi się o wypadek - każdy może się potknąć i wypaść za burtę.

- Myślisz, że to właśnie na to chciał zwrócić twoją uwagę?

- Zadzwoń do niego z samego rana.

- Już niewiele nam zostało - powiedziała Marine. Odłożyła zdjęcia i zmarszczyła brwi.

- Ale jeśli Pelloquin był takim dobrym żeglarzem, to powinien mieć porządek na pokładzie, prawda? - zastanawiał się Verlaque.

- Chcesz powiedzieć, że celowo zostawił liny i kotwicę na wierzchu? Żeby Agathe się potknęła?

Verlaque wstał od stołu i zaczął zbierać filiżanki.

- Wiem, wiem - odparł. - To za daleko idący wniosek.

Marine odchyliła się do tyłu i założyła ręce na piersiach.

- Zaczniemy od tego - powiedziała - że nie ma motywu.

15

Nowy Jork, 22 września 2010

Justin poczuł ulgę, gdyż Valère'owi wyraźnie smakowały sery i na chwilę przestał mówić. Nie był pewien, dokąd zmierza ta rozmowa, ale widział, że słynnego pisarza przytłacza poczucie winy i że z jakiegoś powodu wybrał właśnie jego - młodego redaktora - na powiernika. Może dlatego, że Justin nie był Francuzem, a może różnica wieku pomiędzy nimi pozwalała Valère'owi na większą szczerość - o ile w ogóle mówił prawdę.

Przed spotkaniem Justin przez kilka godzin czytał artykuły prasowe na temat przypadkowej śmierci Agathe Barbier. Cieszył się, że na uniwersytecie we Francji na tyle dobrze nauczył się francuskiego, by teraz rozumieć szczegóły tych informacji. Chciał jednak usłyszeć wersję Valère'a, a jeszcze jej nie poznał. Oczywiście tamta historia ma się stać ważnym elementem wspomnień Barbiera. Czy właśnie dlatego autora tak dręczyło poczucie winy?

- Pańska żona... Agathe... Pochodziła z Bretanii, prawda? - zapytał Justin. - Na Nowojorskim Uniwersytecie w Paryżu jedna z moich profeserek mawiała, że Bretończycy najbardziej wyróżniają się wśród Francuzów. Kazała nam nawet śpiewać bretońskie piosenki.

Valère wytarł usta w serwetkę. Skrzyżował ramiona i uśmiechnął się.

- Agathe urodziła się jako Agathe Flahec w Crozon, na południe od Brestu. Piękne, dzikie i czyste plaże, zupełnie puste. Nie cierpiała plaż nad Morzem Śródziemnym, a ja nie znosiłem zimnej wody i, powiedzmy to sobie szczerze, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wszyscy szanujący się ludzie jechali właśnie nad Morze Śródziemne, nie do cholernej, lodowatej Bretanii.

Justin roześmiał się.

- Czy jej rodzice także byli artystami?

- Jej ojciec był wiejskim lekarzem, a matka zajmowała się wychowywaniem dzieci, ale była znakomitą akwarelistką. Agathe chodziła do szkoły podstawowej w swojej wsi, jednak zapadła decyzja, że na dalszą naukę wybierze się do *lycée* Les Loges w Saint-Germain-en-Laye, pod Paryżem. Pewnie nigdy nie słyszałeś o tym miejscu. Ta szkoła - a podobna do niej znajduje się w Saint-Denis - została stworzona dla córek, wnuczek i prawnuczek zasłużonych żołnierzy. Były to prestiżowe szkoły z internatem, nieodpłatne. Nadal tak jest. Dziadek Agathe, Erwan Le Flahec, służył jako generał podczas pierwszej wojny światowej. Zatem w 1961 poszła do Les Loges, potem w 1964 do *École des Beaux-Arts*, gdzie w 1969 uzyskała tytuł magistra sztuk pięknych.

- Wiele razy przechodziłem obok *Beaux-Arts* - odezwał się Justin. - Studenci zadzierali nosa i kiedy tylko usłyszeli nasz amerykański akcent, nie chcieli z nami rozmawiać.

- No cóż, jak się wydaje, nie miałeś żadnego problemu, by poderwać Clothilde - powiedział Valère ze śmiechem. - Ale wiem, o czym mówisz. Zachowywali się tak, już kiedy miałem twoje lata. Ja byłem nieśmiały, ale mój przyjaciel Hugo, dziennikarz, wręcz przeciwnie. Mawiał, że studentki w *Beaux-Arts* są piękne, ale chłopakom brakuje piątej klepki, więc mamy u tych dziewcząt duże szanse.

- I tak spotkał pan Agathe. - Justin uszczypnął się w rękę, uświadamiając sobie, jakie ma szczęście, że tego wszystkiego słucha. Szkoda, że jego rodzice nie byli tacy bezpośredni.

Valère uśmiechnął się.

- Agathe żartowała, że najważniejsza chwila jej pobytu w Paryżu to odkrycie gliny na Beaux-Arts. Na drugim miejscu umieszczała nasze spotkanie. Ja właśnie ukończyłem Sorbonę i zacząłem pierwszą pracę jako asystent redaktora w „Le Monde”. Każdego dnia, kiedy kończyliśmy z Hugo redagować teksty, wychodziliśmy do kawiarni i barów, żeby podrywać dziewczyny. Myślę, że to jedna z wielu rzeczy, które nas łączą, Justinie.

Zanim Justin mógł zareagować, nastrój Valère’a się zmienił. Zmarszczył brwi i powiedział:

- Wróćmy do Bastide Blanche.

- Dobrze - zgodził się Justin, pokaszując. - Wizyta sędziego Verlaque’a musiała pana zaszokować.

* * *

- Można tak to ująć. Kiedy wyszedł, Sandrine zrobiła się jeszcze bardziej rozbiegana niż zwykle. Co chwila sprawdzała swój telefon i upierała się, że mamy wyjść na wczesnowieczorny spacer. Kiedy schodziliśmy w dół podjazdu, zobaczyliśmy Léę, która siedziała na gałęzi drzewa i czytała.

- Dzisiaj nie czytasz u nas na strychu? - zapytałem.

Léa odwiedzała nas wtedy częściej i niejednokrotnie spędzała na strychu całe godziny. Sandrine uważała, że to dziwne, ale ja uznałem to za zupełnie normalne. W wieku Léi zachowywałem się tak samo, tyle że nie czytałem na strychu, bo mieszkaliśmy w paryskim mieszkaniu, lecz w spiżarni.

- Maman powiedziała, że muszę wyjść na świeże powietrze - wyjaśniła dziewczynka.

Rozmawialiśmy przez chwilę, a Sandrine oznajmiła, że wzięliśmy fotografię z Marią Callas do Aix, do oprawienia. Opowiedzieliśmy, że warsztat ramiarski znajduje się obok szpitala i że byliśmy tam, by odwiedzić Michèle, ale jej stan się nie zmienił. Zapytałem Léę, czy zna jakieś ładne trasy spacerowe w okolicy, a ona aż podskoczyła. Krzyknęła do matki, która akurat wyszła ze stodoły i zmierzała w kierunku domu, niosąc coś, co wyglądało na miarówki z czerwonym winem. Hélène przywitała się z daleka i pozwoliła córce nam towarzyszyć. Tak naprawdę wyglądało to zupełnie odwrotnie. To Léa pierwsza ruszyła w dół drogi i powiedziała, byśmy szli za nią. Właściwie kazała nam to zrobić. Musieliśmy tworzyć osobliwe trio: stary pisarz, którego - teraz jestem o tym przekonany - męczyły zjawy ucieleśniające jego poczucie winy, gadatliwa gospodyni w skąpej spódnicy, która być może zrzuciła ze schodów jego koleżankę po fachu, i nasz przewodnik - urocza, mała dziewczynka.

W tej małej grupce wyszliśmy na główną drogę, nie bardzo ruchliwą, ale także niezbyt bezpieczną, bo kiedy te wiejskie chłopaki już wsiądą do samochodu, to prują jak szaleni. W stronę Aix jechała taksówka, a kiedy nas mijała, w naturalnym odruchu przystanęliśmy i popatrzyliśmy za nią. Na tylnym siedzeniu zobaczyliśmy starszą kobietę w ciemnych okularach i wielkim słomkowym kapeluszu.

- Niewidoma dama - powiedziała Sandrine.

- To straszne być niewidomym - odezwała się Léa - ale jeszcze gorzej głuchym.

- Tak myślisz? - zapytałem.

- Kiedy nie możesz zobaczyć swoich rodziców? - dodała Sandrine. - Albo kwiatów czy winnicy twojej mamy?

- Ale jeszcze gorzej - odpowiedziała Léa - byłoby nie słyszeć ich głosów.

Już dość dobrze znałem rodzinę Paulików i wiedziałem o muzycznym talencie dziewczynki. Ani Sandrine, ani ja nie ciągnęliśmy tematu i przeszliśmy do innych, bardziej pogodnych kwestii.

- Czy już zaraz będziemy na miejscu? - zażartowałem piętnaście minut później.

Léa zignorowała moje słowa i skręciła w połąną drogę, która wiodła na południowy wschód od wioski. Posłusznie szliśmy za nią. Zamierzałem powiedzieć kolejny żart, o ślepym prowadzącym kulawego, ale był zbyt oklepany. A Léa nie była niewidoma i dokładnie wiedziała, dokąd idzie.

Droga wiła się i okrążała dwa lub trzy gospodarstwa z kamiennymi domami oraz jeden nowy, jaskrawożółty bungalow. Chciałem wspomnieć coś o brzydocie tego domu - o tanich materiałach, pozbawionej wyrazu kanciastości, za małych oknach (tutaj, na wsi, można je było mieć naprawdę duże!) - ale postanowiłem się nie odzywać. Sandrine być może wychowała się w takim domu po drugiej stronie Aix, gdzie prawdopodobnie nadal mieszkała jej siostra, Josy.

Wtedy na skraju sadu oliwnego zobaczyliśmy miejsce, do którego prowadziła nas Léa. Ten widok stanowił kwintesencję Prowansji: mała, biała kaplica, drzwi wejściowe flankowane przez dwie jasne kolumny i zwieńczone półkolistym oknem. W elewacji bocznej znajdowało się malutkie, zakończone łukiem okno, a na szczycie dachu była dzwonnica. Kaplicę chroniły wielkie, stare cyprysy. Jedyłą skazą w tym obrazie był jasnozielony wąż ogrodowy, pozostawiony na trawniku od frontu, popękany od słońca. Ktoś z wioski musiał podlewać trawę, ale sądząc z jej złotawego koloru, podlewanie w tej letniej gorącości przypominało walkę z wiatrakami.

- *Venez!* - zawołała do nas Léa, ruszając biegiem w stronę otwartych drzwi z tyłu kaplicy. Kiedy tam dotarliśmy, zobaczyliśmy, że Léa siedzi na kamiennym wybrzuszeniu na

środku trawnika i zdejmując sandały. Pomachała i krzyknęła: – Święty Pankracy! – po czym wstała i zaczęła powoli chodzić po gładkich skałach.

– Kim, u licha, jest Święty Pankracy? – zapytałem Sandrine.

– Proszę mnie nie pytać – odparła. – Josy i ja przemycaliśmy książki na msze. Nigdy nie słuchałyśmy.

– Pewnie to były moje powieści, wy dwie małe poganki.

– Hej, popatrzcie! – powiedziała Léa, kiedy w końcu do niej podeszliśmy. Wkładała swoje małe stopy w ślady stóp odbite na kamieniach. – To ślady Świętego Pankracego – wyjaśniła. Było ich cztery, a Léa skakała z jednego na drugi.

– Naprawdę? – zapytałem.

– Tak – odparła dziewczynka rzeczowo. – Święty Pankracy szedł tutaj z... Nie pamiętam skąd, ale na pewno z bardzo daleka... I usiadł tutaj, i odpoczywał, opierając nogi na tym wgłębieniu w skale, które było pełne wody, bo wcześniej padało. I kiedy tak oparł stopy, wydarzył się cud. Kamień stał się miękki i gąbczasty i ślady stóp świętego na nim pozostały. Zobaczcie!

I co, Justinie? Wierzysz w takie rzeczy? Zauważyłem, że tak. Pozwól, że będę mówił dalej.

– Też musicie tak zrobić – oznajmiła Léa z poważną miną. – To przynosi szczęście. Ostatnio robiliśmy to w maju. Banda dzieciaków ze wsi, po mszy w kaplicy.

– Jak to może przynosić szczęście? – dopytywałem.

Léa odpowiedziała bez wahania:

– Ponieważ idzie się jego śladem... i wtedy... to pomaga wieść dobre życie.

Nie skomentowałem, ale byłem zaskoczony, że Paulikowie poszli na mszę. Wydawali się na to zbyt liberalni. Ale to podpowiadał mi mój paryski intelektualizm rodem z lewego brzegu Sekwany. Mogli zrobić wyjątek dla tej majowej mszy,

tak jak wielu ludzi idzie do kościoła na Wielkanoc czy w Boże Narodzenie, ale nigdy w innym czasie w roku. A może chodzili do kościoła co niedzielę. Nic mi na ten temat nie wiadomo i nie moją rolą było ich oceniać.

Poprosiłem Léę, by pokazała nam kościółek. Usiadła, założyła sandały, potem podskoczyła i ruszyła przed siebie biegiem jak rakieta. Sandrine uśmiechnęła się szeroko i skierowaliśmy się za dziewczynką do frontu kaplicy. Przy drzwiach wejściowych Sandrine złapała mnie za przedramię, dając znak, bym się zatrzymał. Usłyszeliśmy śpiew syreny, a może anioła. Weszliśmy do kaplicy na palcach i stanęliśmy plecami do wejścia. Nie było tu miejsca na ławki, zastanawiałem się, co robili podczas majowego święta. Léa stała zupełnie nieruchomo, zwrócona do nas twarzą. Nie jestem ekspertem w dziedzinie muzyki chóralnej, a wręcz nic o niej nie wiem. Być może umiałbym rozpoznać fragmenty *Pasji według Świętego Mateusza* Jana Sebastiana Bacha. Ale uwielbiam taką muzykę i zawsze żałuję, że nie poświęcam jej więcej uwagi. Zerknąłem na Sandrine, zamknęła oczy i wznosiła twarz w stronę sklepienia kaplicy.

Pieśń przyprawiła mnie o gęsią skórkę. Tekst był bardzo prosty - o małym baranku. Dziecinny, ale w połączeniu z głębokimi, niskimi nutami stawał się wymowny. Pieśń była absolutnie piękna i uwznioślająca. I to ostatni wers położył mnie na łopatki. Znałem ten utwór. Słyszałem go w Londynie z Agathe. Myślę, że na początku lat osiemdziesiątych.

Léa zakończyła swoją pieśń, a my wstrzymaliśmy oddech. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk, tak jakby świat się zatrzymał. Żadnych duchów z przeszłości czy teraźniejszości. Sandrine zaczęła klaskać, ja dołączyłem. Léa dygnęła, uśmiechając się szeroko.

- Co to była za pieśń? - Czułem, jak mocno bije mi serce.

- Utwór Johna Tavenera - odparła Léa.

Zmarszczyła brwi, zmieszana, bo nazwisko kompozytora było dla niej trudne do wymówienia. To było to. Agathe i ja widzieliśmy jego światową premierę.

- Nasza nauczycielka wybrała go dla nas. Powiedziała, że jest trudny, chociaż słowa wydają się proste.

- Często śpiewasz w tej kaplicy? - zapytałem.

Skinęła głową.

- Tutaj jest bardzo dobra atmosfera - zauważyła Sandrine.

- Właśnie o to mi chodzi. Tu jest dobra atmosfera. Tak jak u mnie w domu. Na ogół nie mam problemu, by śpiewać w konserwatorium, z wyjątkiem jednej sali na najwyższym piętrze. Moja nauczycielka mówi, że nie muszę już tam ćwiczyć.

Sandrine spojrzała na mnie, a potem na dziewczynkę.

- A co się dzieje w tej sali?

Léa potarła szyję.

- Nie mogę oddychać. I robi mi się za gorąco.

- Tak jak było u mnie w domu - zasugerowałem i natychmiast tego pożałowałem.

- Dopóki nie zaczęłam u pana śpiewać pieśni baranka - powiedziała Léa, niezrażona. - Od tamtej pory czuję się dobrze, nawet na strychu. - Nagle zawołała: - *Papa! Papa!* - i wybiegła z kaplicy.

Sandrine i ja popatrzyliśmy na siebie, a ja wzruszyłem ramionami.

- Słyszałam, jak śpiewa na strychu - szepnęła Sandrine.

Wyszliśmy za dziewczynką na zewnątrz, gdzie panowała cisza i spokój. Nie brzęczała ani jedna pszczoła. Ale nagle na polnej drodze zebrał się kurz, rozległ się niski pomruk i naszym oczom ukazał się leciwy land rover Brunona Paulika.

16

Paryż, piątek 9 lipca 2010

- Wszystko dobrze ze światem - powiedział Verlaque, rozłożył wykrochmaloną, lnianą serwetkę i umieścił ją na kolanach. Odchylił się do tyłu i zamknął oczy.

- Świat zmierza ku zagładzie - zaproponowała Marine. - Ale ty zawsze jesteś taki szczęśliwy, kiedy przyjeżdżamy do Paryża i idziemy do jednej z twoich ulubionych restauracji. -

Popatrzyła na stare kafle na podłodze, rzeźbiony drewniany bar i lustra w zdobionych ramach, dzięki którym goście widzieli pozostałą część restauracji i - co ważniejsze - innych biesiadników.

Pociąg TGV przyjechał do Paryża tuż przed południem, a taksówka błyskawicznie przewiozła ich wzdłuż rzeki do restauracji. Marine nie do końca wiedziała, gdzie się znajdują, ale na pewno niedaleko Pałacu Elizejskiego, ambasady amerykańskiej i place de la Concorde. To była jedna z tych restauracji, w których Antoine czuł się jak w domu - serwująca dobre, tradycyjne potrawy, profesjonalnie przygotowane. Za taką jakość chętnie płaciło się nawet duże sumy. Z artykułu w „Le Monde” i z pożyczonych od Sylvie „Elle” wiedziała, że ostatnim krzykiem mody w Paryżu były nowoczesne restauracje o międzynarodowym charakterze. Zarówno pracownicy, jak i klienci byli tam młodzi, zwykle wytatuowani, a we wnętrzach lokali królowało jasne drewno i gołe żarówki. Ta restauracja nie

należała do takich miejsc, co bardzo cieszyło Marine. Kobieta w średnim wieku w białej bluzce, wykrochmalonej tak, jak obrusy i serwetki, przyjęła od nich zamówienie na napoje i chwilę później przysłała z aperitifem i talerzem cienko pokrojonej, paprykowej *saucisse*. Dwaj mężczyźni i kobieta siedzący przy sąsiednim stoliku – bo stoliki, naturalnie, stały bardzo blisko siebie – dyskutowali o projekcie ustawy ministra edukacji. Z rozmowy wynikało, że nie tylko go znają, ale dla niego pracują. Marine upiła łyk swojego dziesięcioletniego porto i zapytała:

- Kto jest pierwszy na twojej liście przesłuchań?

- Ursule Genoux – odparł Verlaque. – Prywatna sekretarka Valère'a Barbiera. Jest już na emeryturze i mieszka niedaleko stąd. Potem idę do szesnastej dzielnicy, by odwiedzić żonę wydawcy, teraz wdowę po nim. A ty wybierasz się do Biblioteki Narodowej?

Zazwyczaj to właśnie w tej bibliotece, mieszczącej się w czterech błyszczących wieżach w trzynastej dzielnicy Paryża, Marine szukała informacji o Sartrze i Beauvoir.

- Nie, nie tym razem – odparła. – Ale pójdę na Montparnasse, by odwiedzić ich groby. Potem jadę do Sèvres.

- Sèvres? To zielone przedmieście?

- Do muzeum ceramiki – wyjaśniła Marine. – Zadzwońłam wcześniej i będę mogła obejrzeć prace Agathe.

- Czy już mi o tym mówiłaś, a ja zapomniałem? – zapytał Verlaque. Odchylił się do tyłu, by kelnerka mogła postawić przed nim pierś z kaczki.

- Nie – roześmiała się Marine. – Zapomniałam ci powiedzieć, to wszystko. – Wskazała na jego talerz. – A tak przy okazji, papugowałeś po mnie, zamawiając kaczkę.

- Nieprawda! Podjąłem tę decyzję, kiedy tylko wszedłem do restauracji.

- Nawet zanim przeczytałeś specjalności tego lokalu?

- Dobra restauracja, taka jak ta, zawsze serwuje pierś z kaczki - przekomarzał się Verlaque. Odciął kawałek mięsa. - Doskonała, krwista. *Bon appétit.*

* * *

Budynek numer siedem przy rue de Surène, w którym mieszkała Ursule Genoux, dzieliło od restauracji niecałe pięć minut spaceru. Znalazł się w okolicy podobnej do tej, w której sam kiedyś mieszkał i gdzie nadal mieszkał jego ojciec. Zbyt drogiej, z niewystarczającą liczbą sklepów spożywczych i żelaznych, za to z wieloma sklepami designerskimi, biurami rządowymi, ambasadami i miernymi barkami serwującymi kanapki, które miały szybko zaspokajać głód pracowników sklepów, biur i ambasad. Cieszył się, że pamiętał nazwę i adres restauracji, w której zjedli lunch, mimo że Marine wydała stłumiony okrzyk zdumienia, gdy zobaczyła rachunek.

Co zaskakujące, poniżej mieszkania Ursule Genoux znajdował się *bar-tabac*, jak sądził Verlaque, jeden z niewielu w tej części ósmej dzielnicy. Nacisnął mosiężny dzwonek podpisany nazwiskiem Genoux i kobiecy głos poinstruował go, by wszedł na pierwsze piętro. Zastanawiał się, jakim sposobem sekretarka, nawet zatrudniona przez sławnego pisarza, mogła pozwolić sobie na takie sąsiedztwo. Częściowo mógł to tłumaczyć fakt, że mieszkanie mieściło się na pierwszym piętrze, od ulicy i było ciemne i hałaśliwe. A może kupiła je kilka dziesięcioleci temu - o ile w ogóle była jego właścicielką.

Kiedy Antoine dotarł na szczyt schodów, Mme Genoux stała w otwartych drzwiach. Wyciągnęła do niego długą, chudą rękę i przywitali się uściskiem dłoni.

- Proszę wejść - rzekła, odsuwając się na bok.

Omiótł szybkim spojrzeniem mały korytarzyk, pomalowany na zaskakująco jasny, wesoly, żółty kolor, który przywiódł mu na

myśl Van Gogha. W ceramicznym stojaku stały dwie staromodne parasolki, a na wieszakach umieszczona była kolekcja słomkowych kapeluszy. Gospodyni wskazała mu drogę do pokoju dziennego, który, wbrew jego przewidywaniom, nie był ciemny, ale rozjaśniony światłem z trzech bardzo wysokich okien.

- Piękny pokój - zauważył.

Ściany wypełnione były małymi obrazami olejnymi i rycinami przedstawiającymi jeziora i góry - czego mógł się spodziewać u starszej, profesjonalnej sekretarki. Wypolerowane, zabytkowe meble pochodziły z epoki, którą bardzo cenił - czasu regencji. Ściany zostały pomalowane na taki sam kolor jak korytarz.

- Dziękuję. Proszę usiąść. - Gestem wskazała mu fotel wyściełany błękitnym jedwabiem.

- Pewnie była pani zaskoczona moim telefonem - zaczął Antoine.

- Ale to nie pan dzwonił - sprostowała Mme Genoux. - Tylko pańska sekretarka.

Verlaque nie był pewien, czy to reprimenda. Być może Mme Genoux czuła się urażona, że sędzia śledczy nie zadzwonił do niej osobiście, ale równie dobrze mogła w ten sposób chwalić pracę sekretarki.

- Tak, oczywiście - odpowiedział. - Miałem na myśli to, że musiała pani być zaskoczona telefonem dotyczącym śmierci Agathe Barbier po tak wielu latach.

Czekając na odpowiedź, przyjrzał się gospodyni. Była wysoka, tak wysoka jak Marine, ale szersza w barkach. Spadające na ramiona włosy były delikatne, proste i przetykane siwizną. Oczy wydawały się jasnobrązowe, ale nie był pewien.

- Nie, to też mnie nie zaskoczyło - odparła.

Spojrzał na nią, nieco zdziwiony taką odpowiedzią.

- Mogłaby to pani wyjaśnić?

- Nigdy nie wierzyłam, że można tak po prostu wypaść z łodzi.

- Morze było wzburzone, prawda?

Mme Genoux przytaknęła.

- Tak, ale Agathe nie była głupia. Na pewno zachowywała ostrożność.

- Ale, jak rozumiem, cierpiała na chorobę morską. Może brakowało jej powietrza, a może straciła równowagę.

Mme Genoux zacisnęła usta.

- To dlaczego pan tu jest?

- Ówczesny sędzia śledczy...

- Daniel de Rudder.

- Właśnie - potwierdził Verlaque. - Rudder poprosił, bym ponownie zbadał ten przypadek. - Nie wyjaśnił jej dlaczego. Nie zrobiłby tego, nawet gdyby Mme Genoux o to zapytała. - Jak długo pracowała pani dla M. Barbiera, Mme Genoux?

- Trzydzieści lat i trzy miesiące - odrzekła. - Zaczęłam w 1979, krótko po opublikowaniu *Recepcjonistki*.

- Czy miała pani swoje biuro?

Omiotła pokój ruchem ręki.

- Tutaj. Jest tu małe biuro pomiędzy tym pokojem a sypialnią. M. Barbier każdego ranka wychodził ze swojego mieszkania w siódmej dzielnicy, niosąc kasetę z nagranyimi rozdziałami, które dyktował dzień wcześniej, następnie przechodził przez Pont des Invalides. Nazywał to poranną przechadzką.

- Pewnie nie wykonywała pani żadnych prac dla Mme Barbier?

- Ależ tak - odparła. - M. Barbier nie pisał codziennie - szczególnie od czasu, gdy zaczął zdobywać sławę i był rozchwytywany. Wywiady, spotkania, promocje. Ustaliliśmy więc, że kiedy nie zapisuję jego tekstów, będę załatwiała różne

sprawy dla *madame*, oczywiście jeśli będzie mnie potrzebowała.

Mme Genoux wydawała się swobodniejsza, zwłaszcza gdy opisywała zadania, które wykonywała dla Barbierów. Verlaque starał się nadal zadawać pytania na podobne tematy.

- Czy M. Barbier kiedykolwiek nauczył się pisać swoje książki na komputerze? - zapytał. - Przecież dostarczał pani mnóstwo pracy.

- To był mój zawód - odparła. - Który kochałam. Nie, wprowadzie kilka lat temu kupił sobie laptop, ale mawiał, że ma dość zajęć, kiedy odpowiada na maile i sprawdza pogodę, więc nadal do pracy używał dyktafonu. I od tamtego czasu jego książki się zmieniły.

- W rzeczy samej - potwierdził Verlaque. - Na romanse.

- To były dłuższe książki, więc miałam więcej do pisania, ale były też... mniej... skomplikowane.

Verlaque uśmiechnął się.

- A ten tydzień na Sardynii w 1988 - mówił dalej. - Pojechała tam pani, ponieważ M. Barbier pisał książkę?

- Tak, zazwyczaj wybierałam się z nimi, kiedy ruszali na dłuższe wakacje.

- Jaka atmosfera panowała pomiędzy wami w tamtym tygodniu? I potem, na łodzi?

- Zdarzały się kłótnie - odparła Mme Genoux, wygładzając długą, lnianą spódnicę. - Powiedziałam o tym policji w Cannes po tym, jak Agathe...

- Tak, powiedziała im pani, że tego dnia, kiedy Mme Barbier zginęła, słyszała pani scysję pomiędzy nią a M. Pelloquinem.

- Tak, ale nie słyszałam, co mówią, bo wzmógł się wiatr. Wszyscy tam byliśmy, poza M. Barbierem, który zszedł na dół na drzemkę. Wtedy dużo pił.

Verlaque przypomniał sobie zużyte limonki w zlewie i zauważył, że Mme Genoux, mówiąc o swoim szefie, dla którego pracowała przez trzydzieści lat, używała jego nazwiska, podczas gdy jego żonę nazywała po imieniu.

- Jaki był Alphonse Pelloquin?

Mme Genoux skrzywiła się i zacisnęła usta.

- Nie obchodził mnie. Uważałam go za oportunistę.

- A jego żona?

- Och, ona! Była - jest - primadonną. Zepsuta dziewczynka, która nigdy nie dorosła.

- Czy Agathe Barbier mogła mieć jakieś powody, by popełnić samobójstwo?

- Oczywiście, że nie - odparła Mme Genoux, podnosząc głos.

- I to samo powiedziałam policji. Była szczęśliwa, miała wielki talent i wspaniałą karierę.

- Domyśla się pani, dlaczego M. Barbier tak dużo pił? Czy mieli jakieś problemy małżeńskie?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała. Jej głos ponownie stał się taki ostry, jak na początku rozmowy.

- Czy M. Barbier korzystał z terminarza?

- Ma pan na myśli rok 1988?

Verlaque uśmiechnął się i skinął głową.

- Tak, miał terminarz i każdego ranka go przeglądaliśmy. Te terminarze powinny być teraz u niego.

- Dziękuję, Mme Genoux - powiedział Verlaque, podnosząc się. - Czy mogę się z panią skontaktować, jeżeli będę tego potrzebował?

- Tak, proszę użyć numeru komórkowego. Ale uprzedzam, że dla mnie to nowa technologia i dopiero się przyzwyczajam.

- Mogę zadzwonić do pani na telefon stacjonarny.

Po chwili wahania odpowiedziała:

- Może się zdarzyć, że wyjadę odwiedzić moją bratanicę i jej rodzinę w Pikardii. Najlepiej kontaktować się ze mną na telefon komórkowy. - Wstała i odprowadziła go do wyjścia.

- Jeszcze raz pani dziękuję.

- Proszę bardzo - odparła, otwierając drzwi.

* * *

Kiedy Verlaque szedł w stronę place de la Madeleine, pomyślał, jak cierpliwa była Ursule Genoux przez wszystkie te lata, jeśli naprawdę wierzyła, że Agathe Barbier została zamordowana. Dlaczego nic nie powiedziała? Ale starsza pani wydawała się osobą, która nie lubi robić zamieszania, która będzie raczej unikała konfliktów. Być może przez te wszystkie lata czekała, by wyjawić, co jej leży na sercu. Wzruszył ramionami i pomachał na taksówkę, która akurat wyjechała z szarej bryły kościoła de la Madeleine. Ten kościół nigdy mu się nie podobał i życzyłby sobie, aby zajął się nim jakiś włoski rzemieślnik i pomalował go na pastelową żółć lub róż, tak typowe dla kościołów w Ligurii czy na Sycylii. Mimo że tamte obiekty pochodziły z epoki baroku, a nie neoklasycyzmu. Przekazał kierowcy adres Moniki Pelloquin w szesnastej dzielnicy, oparł się o tylne siedzenie i wyglądając przez okno, podziwiał swoje ulubione miasto. Jednocześnie starał się wyobrazić sobie Paryż pomalowany na śródziemnomorskie kolory. Zanim jednak dojechali do mieszkania Mme Pelloquin niedaleko Trocadéro, zdążył zdecydować, że Paryż powinien pozostać szary, aby pasował do Sekwany. Nie było tutaj błyszczącego, błękitnego morza.

Przy drzwiach wejściowych nacisnął guzik podpisany „Pelloquin” i kobiecy głos z wyraźnym obcym akcentem powiedział mu, by wjechał windą na piąte piętro. W przeciwieństwie do mieszkań na pierwszym piętrze, te na piątym w klasycznych budynkach Haussmanna należały do jego

ulubionych - znajdowały się wystarczająco wysoko, by zapewniać piękne widoki i dużo światła, zawsze miały też *balcon filant*, ponieważ Baron Haussmann zdecydował, że balkony będą tylko na drugim i piątym piętrze. Ich jednorodność sprawiała, że wyglądały jak wstążki z żelaza biegnące przez całą szerokość budynku.

Kiedy wysiadł z windy, w drzwiach jednego z mieszkań zobaczył młodą kobietę.

- Tędy - powiedziała.

Wydawało mu się, że jej akcent może być portugalski.

- Jestem sędzia Verlaque z Aix-en-Provence - przedstawił się, wchodząc do obszernego holu, wykładanego czarnym i białym marmurem.

- Tak, jedną chwileczkę, proszę - rzekła kobieta, którą uznał za pokojówkę, ponieważ miała na sobie tradycyjny, czarny fartuch. Obróciła się i zostawiła go, wychodząc przez podwójne drzwi. Po kilku sekundach wróciła i powiedziała: - Proszę, może pan wejść.

Nie miał dużo czasu, by się rozejrzeć po foyer, ale zobaczył wiszące na ścianach jarmarczne weneckie maski - takie jak turyści kupują na Placu św. Marka. Jak dotąd dużo bardziej podobało mu się mieszkanie Mme Genoux.

Pokój dzienny był tak duży, że w pierwszej chwili Verlaque nie zauważył właścicielki mieszkania i dopiero gdy Mme Pelloquin powiedziała „Dzień dobry”, odwrócił się i dostrzegł ją stojącą obok masywnego kominka w odległym końcu pomieszczenia. Taki kominek można było zwykle znaleźć w burgundzkim *château*, ale był za duży i zbyt rustykalny jak na paryskie mieszkanie.

- *Bonjour, madame* - odezwał się i przeszedł przez pokój, by uścisnąć jej dłoń. Mme Pelloquin nie wyszła mu naprzeciw, tylko stała wciąż obok kominka. Gdyby była jego koleżanką,

pewnie zażartowałyby, że musi tak daleko iść. – Dziękuję, że zgodziła się pani tak szybko ze mną spotkać.

Mme Pelloquin wzruszyła ramionami. Jej nieuprzejmość nie peszyła Verlaque'a ani go nie onieśmielała, była po prostu irytująca. Ponieważ nie wyglądało na to, że poprosi go, aby usiadł, natychmiast przeszedł do pytań. Nie mógł się już doczekać, kiedy stąd wyjdzie.

- Dawny sędzia śledczy z Cannes, który w 1988 roku prowadził dochodzenie w sprawie przypadkowej śmierci Agathe Barbier, poprosił mnie o dalsze śledztwo – powiedział.

Ponieważ Mme Pelloquin milczała, zdecydował się przekazać jej podstawowe informacje. Gdyby chciała, mogłaby zasięgnąć języka o Danielu de Rudderze i dowiedzieć się, że jest teraz na emeryturze i mieszka w Arcachon.

- Pani spała, kiedy tamtej nocy Mme Barbier wypadła z łodzi - mówił więc dalej.

Monica Pelloquin potarła oczy prawą ręką.

- To było tak dawno temu - odpowiedziała powoli, jakby mówienie sprawiało jej fizyczny ból.

Verlaque nie odezwał się, chcąc, by kontynuowała. Spojrzał na nią i zrozumiał, co Mme Genoux miała na myśli, kiedy nazwała żonę wydawcy rozpieszczoną dziewczynką. Chociaż musiała już dobiegać siedemdziesiątki, Monica Pelloquin miała na sobie strój, którego Marine z pewnością by nie włożyła, uznając, że jest na to za stara: empirowa, bawełniana sukienka w kwiaty, kończąca się wysoko nad kolanem i różowe sandały na wysokich obcasach. Długie, czarne włosy upięła w kok, a czerwona szminka podkreślała jej jasną, świetlistą cerę. Odsunęła rękę od oczu i spojrzała na swojego gościa.

- Proszę mówić dalej - powiedział.

Westchnęła i podjęła opowieść:

- Kiedy skończyliśmy lunch, sztorm zaczął kołysać jachtem do tyłu i do przodu, więc poszłam do mojej kabiny. To samo zrobiła ta nabzdyczona sekretarka. Alphonse - mój zmarły mąż - założył kapok i poszedł do kokpitu, ale Valère i Agathe zostali na dole przy stoliku jadalnym. Kiedy szykowałam się do łóżka, słyszałam, że się kłócili, ale nie rozróżniałam słów.

- Czy często się kłócili?

- Nie, to było raczej nietypowe.

- Raport mówi, że pani mąż i Agathe Barbier też się kłócili wcześniej tego dnia. Czy wie pani, o co poszło? - zapytał Verlaque.

Mme Pelloquin cmoknęła z dezaprobatą i machnęła ręką w powietrzu.

- Nie mam pojęcia. To mogło być cokolwiek. Prawdopodobnie kłócili się o Valère'a. Valère udręczony pisarz. Valère objawienie literackie.

Verlaque zignorował źle skrywaną zazdrość swojej rozmówczyni i zapytał:

- Może widziała pani albo słyszała, że ktoś wychodził na pokład po wyjściu Agathe?

- Nie, i kołysało nami tak mocno, że nie mogłam zasnąć. Nie minęło wiele czasu, a Alphonse przybiegł, wołając o pomoc.

- Kiedy ostatni raz widziała pani Valère'a Barbiera?

Zawahala się i rzekła:

- To musiało być na pogrzebie mojego męża, w 2001.

- Od tamtej pory nie miała pani powodu, by się z nim spotkać?

- A jaki to miałby być powód? Po śmierci mojego męża nic nas nie łączyło.

Verlaque zastanawiał się, dlaczego szanowany wydawca ożenił się z taką kobietą. Pelloquin wydawał książki nie tylko Barbiera, ale także innych wielkich pisarzy tamtego pokolenia.

Dlaczego związał się z kobietą, która wcale nie kryła się z tym, że jego świat jej nie interesuje. Ale Ursule Genoux nazwała Alphonse'a Pelloquina oportunistą.

- Mój mąż nie był winien śmierci Agathe - stwierdziła Mme Pelloquin. - Alphonse był świetnym żeglarzem, panie sędzio... sędzio... przepraszam, może pan powtórzyć swoje nazwisko?

- Verlaque. Dziękuję, Mme Pelloquin - powiedział. - Bardzo mi pani... pomogła. Sam trafię do wyjścia.

Pokonał pięć biegów schodów w dół. Na trzecim piętrze otworzyły się drzwi jednego z mieszkań i wyjrzała przez nie starsza kobieta. Verlaque powiedział „Dzień dobry”, a ona szybko zamknęła drzwi.

- Witamy w szesnastej dzielnicy - szepnęła.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że udało mu się skończyć przed czasem. Marine pewnie wciąż jest w muzeum Sèvres. Wyszedł na wąską, brukowaną ulicę, znajdującą się tylko o krok od Trocadéro.

Zamówił taksówkę do Le Hibou w Saint-Germain, gdzie mógł usiąść i zapalić cygaro. Była to ekskluzywna kawiarnia popularna wśród lewobrzeżnych ludzi pióra, w której warto było zapłacić pięć euro za espresso, by obserwować stałych bywalców.

Idąc w stronę postoju taksówek przy Trocadéro, myślał o tym, że Mme Genoux trafnie oceniała Mme Pelloquin. Czy sekretarka nie myliła się, nie mając zaufania do Alphonse'a Pelloquina?

* * *

Marine szybkim krokiem przeszła przez Pont de Sèvres, spiesząc się do swojego ulubionego muzeum. Na moście odczuła chłód, znad Sekwany wiał wiatr, ale zmusiła się, by przystanąć. Oparła się o balustradę i wpatrywała w rzekę. Nieopodal muzeum do brzegu przymocowanych było około

tuzina barek mieszkalnych i zastanawiała się, jak by to było – mieszkać w unoszącym się na wodzie domu w środku miasta. Czy to był raj, w dodatku tańszy niż mieszkanie w centralnym Paryżu? Czy też koszmar – zapach stęchlizny i woda o bliżej nieokreślonym składzie przepływająca pod oknami sypialni? Tego ciepłego, letniego dnia bardziej skłaniała się ku tej pierwszej odpowiedzi – dzisiaj mieszkanie na łodzi wydawało się cudowne. Łodzie znajdowały się o kilka minut drogi od przystanku metra, niedaleko miejskich parków i parkingów, co stanowiło rzadkość w mieście. Wyobrażała sobie właścicieli łodzi, jak bawią się podczas grillowania czy na przyjęciach nad rzeką, jak na obrazach Renoira. Wąsaci mężczyźni, kobiety z parasolkami.

Kilka minut później była już w muzeum. Wcześniej zadzwoniła i posłużyła się swoją legitymacją profesorską, którą wciąż miała do dyspozycji. Dzięki temu umówiła się na oglądanie prac Agathe Barbier, znajdujących się w archiwach. Najpierw jednak szybko przeszła się po obszernych muzealnych salach wypełnionych ceramiką z różnych epok – od majoliki włoskiego renesansu, poprzez siedemnastowieczne, ręcznie malowane, porcelanowe serwisy kawowe z Sèvres, aż do współczesnych glinianych rzeźb, takich jak te autorstwa Agathe Barbier. W jednej z najdalszych sal podziwiała wazon Picassa z pyszczkiem jelonka namalowanym na ciemnoniebieskiej glazurze i z uszami w roli uchwytów. Na środku pomieszczenia znajdował się jeden z ogromnych, terakotowych garnków Barbier. Wydawało się, że strzeże talerzy i wazonów Picassa, eksponowanych za szkłem. Marine pamiętała, że tych dwoje pracowało niedaleko od siebie w Vallauris, i zastanawiała się, jak dobrze się znali. Spojrzała na zegarek, obróciła się i skierowała do miejsca, gdzie wcześniej widziała znak wskazujący drogę do archiwów.

Na szczęście Verlaque znalazł ostatnie wolne miejsce na tarasie Le Hibou, najdalsze, odpowiednie dla amatora cygar. Obok niego był tylko jeden stolik, po prawej stronie, a przy nim dwie młode kobiety dyskutowały o najnowszym tłumaczeniu poezji Rainera Marii Rilkego i nie przestawały palić Marlboro. Uśmiechnął się i zapalił swoje *Predilecto*, prezent od Fabrice'a i Juliena z Kuby. Cieszył się, że przynajmniej w Paryżu prowadzono czasem takie dyskusje jak ta po jego prawej stronie.

Zamówił belgijskie piwo w kolorze bursztynu, odchylił się na krzesło i obserwował tłum. Właśnie minęła piąta, a ich TGV ruszało o siódmej. Mogli zjeść obiad w pociągu - risotto z mikrofalówki nie było złe, już kiedyś go próbował - i dotrzeć do Aix o dziesiątej.

Kobiety przy stoliku po prawej skończyły kawę i poprosiły o rachunek. Kiedy tylko wstały od stolika, szybko usiadł przy nim z westchnieniem mężczyzna w wieku Verlaque'a, zadowolony, że znalazł miejsce. Spojrzał na Verlaque'a, a ten wskazał na cygaro i uniósł ramiona, jakby pytał, czy może palić.

- *Pas de problème* - odezwał się mężczyzna z uśmiechem.

Verlaque podziękował i znowu na niego zerknął.

- Charles-Henri?

- Antoine!

- Mogłem przypuszczać, że cię tu znajdę - powiedział Verlaque. Uścisnęli sobie dłonie i roześmiali się. Od lat nie widział Charles'a-Henriego. Ostatni raz spotkali się chyba na kolacji, pomyślał, być może w mieszkaniu jego brata. - Jak żyjesz?

- *Impeccable!* - odparł Lagarde, jak się wydawało Verlaque'owi, z nieco wymuszonym entuzjazmem. - A ty?

- Żonaty! - zawołał Verlaque, podnosząc lewą dłoń, na której świeciła w słońcu obrączka.

- Gratulacje - rzekł Lagarde. - I dużo szczęścia. Ja jestem rozwiedziony, troje dzieci, dwa paryskie kredyty hipoteczne zamiast jednego. Kim jest twoja żona?

- Marine Bonnet. Jest profesorem prawa w Aix-en-Provence.

- *Une Aixoise?*

- Z krwi i kości.

Lagarde zagwizdał.

- Czy to prawda, że mieszkanki Aix kupują najwięcej bielizny w całej Francji? - zapytał, mrugając okiem.

Verlaque uśmiechnął się. Teraz przypomniał sobie, dlaczego lubił spotykać się z Charles'em-Henrim, ale nigdy nie starał się podtrzymywać tego kontaktu. Powiedział:

- Gratuluję nowej książki. Czytałem entuzjastyczną recenzję w „Le Monde”.

- I nie widziałeś, mam nadzieję, druzgoczącej recenzji w „Les Echos” - zareagował Lagarde. - Ale dziękuję.

Verlaque usiłował przypomnieć sobie coś o tej książce. Zdaje się, że była to fikcja historyczna, gatunek, którego raczej nie czytywał. Właśnie miał coś powiedzieć, kiedy zobaczył, że Lagarde jest bardziej zainteresowany kobietą w minispódnicze przy sąsiednim stoliku niż ich rozmową.

Po kilku sekundach jego znajomy zapytał:

- Czy Valère Barbier nie mieszka teraz w Aix?

Verlaque skinął głową i dopił swoje piwo.

- Tak, mieszka na wsi, niedaleko Aix. Znacie się?

- Oczywiście, spotkaliśmy się kilka razy. - Ponownie zerknął na kobietę i dodał, choć to nie było konieczne: - Lunche dla pisarzy i wręczenia nagród.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, podczas gdy Verlaque czekał na rachunek. Wysłał Marine esemesa, że ma już mało czasu i spotka się z nią na dworcu. Podnosząc się od stolika, uścisnął dłoń Charles'a-Henriego i powiedział - szczerze - że

miło było na niego wpaść. Bo chociaż Lagarde przywodził mu na myśl jego brata, potentata na rynku nieruchomości, oraz jego przyjaciół (a także to, dlaczego tak rzadko widywał się z Sébastienem), to jednak Charles-Henri Lagarde przekazał mu właśnie najbardziej wartościową informację o Agathe Barbier tego dnia.

Nowy Jork, 22 września 2010

Valère poczuł się zmęczony i poprosił Justina, żeby teraz on opowiedział o sobie - o rodzinie, studiach, roku spędzonym w Paryżu. Wysłuchawszy go, przeprosił i udał się do toalety. Czekaając na jego powrót, Justin wypił trzy szklanki wody. Pośpiesznie pisał esemesy do szefowej, która odpowiedziała, że zainteresowanie słynnego pisarza pracownikiem niższej rangi stanowiło z pewnością dobry znak. Na widok tego „pracownika niższej rangi” Justin westchnął.

- Proszę, M. Barbier - powiedział, kiedy Valère wrócił. Chciał usłyszeć więcej z jego historii, która coraz bardziej brzmiała jak spowiedź. Ale spowiedź z czego? - Wróćmy do pańskiej opowieści, zanim podadzą deser.

- Powiedziałem temu facetowi od serów, żeby podjechał tu ze swoim wózkiem - rzekł Valère. Nalał każdemu z nich po kieliszku wina.

* * *

Bon. Michèle Baudouin wybudziła się ze śpiączki, ale nadal nie czuła się wystarczająco dobrze, by wrócić do mnie ani też, ku mojemu niezadowoleniu, do własnego lokum w Paryżu. Wydawało się, że Sandrine nie bardzo chciała jechać do siebie, a mnie cieszyło jej towarzystwo, więc pozwoliłem jej zostać i obojgu nam to odpowiadało. Coraz bardziej przywiązywaliśmy

się do Léi, która pojawiała się w drzwiach i pomagała nam układać puzzle z widokiem Paryża składające się z tysiąca kawałków. Tuż po kolacji zadzwonił do mnie sędzia Verlaque – odniosłem wrażenie, że właśnie jechał pociągiem – i zapytał, czy mógłby się ze mną spotkać nazajutrz.

- Jechał do Paryża? – zastanawiała się Sandrine, starając się ukryć wyraz zmartwienia na twarzy.

Oboje byliśmy zmęczeni i ustaliliśmy, że położymy się wcześniej spać, ale około wpół do jedenastej usłyszeliśmy na podejździe samochód. Spojrzeliśmy po sobie, zaskoczeni, włączyliśmy światło na ganku i wyszliśmy na zewnątrz.

Pasażer wystawił głowę przez okno i zapytał:

- Czy możesz pożyczyć mi siedemdziesiąt euro na taksówkę?

- Chyba nie mam wyboru – odparłem, otwierając drzwi samochodu.

Słyszałem, jak Sandrine mruczy i narzeka, że zarówno z dworca TGV, jak i z marsylskiego lotniska kursują autobusy, które prawie nic nie kosztują i dojeżdżają do centrum Aix.

- Dwa razy się zgubiliśmy – skarżył się mój gość. Naburmuszył się i ruchem głowy wskazał na taksówkarza, który wyjmował torbę z bagażnika. – Kierowca nie mówi po francusku, więc musiałem wejść do baru we wsi, żeby zapytać o drogę. Myślę, że jest z Europy Wschodniej.

Zapłaciłem taksówkarzowi i podziękowałem mu po polsku. I to był strzał w dziesiątkę. Kocham Polskę i wiele razy tam byłem. Mężczyzna uśmiechnął się promiennie i ujął moją rękę w swoje dłonie.

- *Czerwona ziemia* – powiedział łamaną angielszczyzną, wymachując moją dłońią w górę i w dół. – Zdumiewająca książka!

- Dziękuję – powiedziałem znowu po polsku. Moja polszczyzna jest bardzo ograniczona.

- Naprawdę zdumiewająca! - powtórzył, wsiadając z powrotem do taksówki. Odjechał i machał przez okno, dopóki nie minął gospodarstwa Paulików.

Nasz gość leniwie - bo wszystko tak właśnie robi - spojrzął na swoją torbę stojącą na ziemi, zastanawiając się, jak przeniesie ją do domu. Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

- Możesz wejść, ale właśnie kładliśmy się spać. - Nie zrobiłem żadnego ruchu, aby podnieść jego torbę. Podobnie Sandrine. - Sandrine - zwróciłem się do niej. - Poznaj syna Agathe, Erwana. Erwan, to moja gospodyni, Sandrine.

Cofnijmy się trochę w czasie - Agathe skończyła studia w 1969 i od razu została zatrudniona na południu Francji jako praktykantka u mistrza garncarstwa, Georges'a Bonfanda. Te cztery lata, kiedy pracowała w Vallauris, nieomal doprowadziły mnie do śmierci. Uważałem, że w żadnym razie nie mogę rzucić posady w „Le Monde” i pisać dla jakiegoś gównianego wydawcy jak „Nice-Matin”, ale patrząc wstecz, wiem, że powinienem tam za nią pojechać. Co? Nie, Justinie, wtedy jeszcze nie było TGV. W tamtych czasach z Paryża do Nicei jechało się nocnym pociągiem.

Byłem chorobliwie zazdrosny, wiedząc, że Agathe przebywa z najświetniejszymi artystami, w tym z Pablem Picassem. Wieś Vallauris była stolicą ówczesnej ceramiki, dlatego Picasso tam pracował - malował jelonki na talerzach i uganiał się za dziewczętami, także za Agathe. Ten stary piernik miał już ponad siedemdziesiąt lat, ale to go nie powstrzymywało. Świadomość, ilu kreatywnych ludzi kręciło się wokół Lazurowego Wybrzeża, dawała mi motywację - bardzo autodestrukcyjną, bo podszytą zazdrością - by zacząć moją pierwszą powieść. Jak wiesz, została opublikowana w 1971, kiedy miałem dwadzieścia dziewięć lat i wciąż korygowałem teksty w „Le Monde”. Książka sprzedawała się w jakichś dziesięciu egzemplarzach.

Wtedy wybuchła bomba. W lutym 1972 Agathe napisała do mnie z informacją, że jest w ciąży - nie ze mną, oczywiście, ja prawie tam nie bywałem - i że zatrzyma dziecko. Nie, to nie Picasso był jego ojcem, ale Georges Bonfand. Zgodził się wspierać Agathe i dziecko finansowo, ale nie chciał być obecny w jego życiu. Miał już sześćdziesiąt kilka lat.

Nasz związek jakoś przetrwał, a Agathe i jej syn Erwan - imię po dziadku - wrócili do Paryża w 1973. Ona otworzyła studio ceramiczne w Batignolles i w tym samym roku się pobraliśmy.

Więc tamtego wieczoru, kiedy Erwan wysadził swój zadek z samochodu, targały mną różne emocje. Nie wszystkie dobre.

- *Bonsoir* - powiedziała szorstko Sandrine z rękoma na biodrach. Rozgryzła go w dwie minuty. Erwan mruknął coś niewyraźnie i uścisnęli sobie dłonie. Nie miałem wątpliwości, że jej uścisk jest mocniejszy niż jego. Tak naprawdę, sądząc z wyrazu jego twarzy, zafundowała mu żelazny chwyt. Gdy przenosiliśmy meble, z podziwem zauważyłem, jaka jest silna.

- M. Barbier, pokój gościnny na końcu korytarza na górze jest już przygotowany - oznajmiła.

- Doskonale. Dziękuję, Sandrine - odparłem. - Słyszałeś, Erwan. Zbieraj się. Jutro będziemy mogli porozmawiać. A następnym razem zadzwoń i zawiadom mnie, że przyjeżdżasz.

- Mój telefon nie działa - powiedział Erwan.

- Nie płaciłeś rachunków? - zapytałem.

Erwan wzruszył ramionami i wyjaśnił:

- Mam pewne kłopoty z gotówką.

Wszedłem za nim do domu. Był wysoki, jak jego matka, ale, co zaskakujące, nie tak silny. Garbił się, podczas gdy Agathe zawsze trzymała się prosto, a nawet trochę sztywno.

Odziedziczył jednak po niej ciemne, szorstkie włosy i wyraziste rysy: wydatne kości policzkowe, rzymski nos i pełne usta.

Teraz, zanim wyjdę na wyrodnego ojczyrna, pozwól, że powiem ci więcej o Erwanie Le Flahec. Chłopak nie miał łatwo, z biologicznym ojcem, który go ignorował, z ojczymem zbyt zajętyrn sobą, by poświęcić mu więcej uwagi, i z matką, która wcześniej umarła. Ale możesz to sobie obliczyć, Justinie, i sam zauważysz, że Erwan nie zachowuje się stosownie do swojego wieku i nigdy tak się nie zachowywał. Dryfował od jednej pracy do drugiej, teraz nie nadaje się do żadnej. Mieszka w dawnym studio Agathe w Batignolles, które mu zapisała. Co miesiąc wysyłał mu pieniądze, a Agathe mniej więcej na rok przed wypadkiem zapewniła mu wypłatę comiesięcznego zasiłku na wypadek swojej śmierci. Stare studio jest wystarczająco duże, by podzielić je na dwa mieszkania. Dzięki temu Erwan mógłby zarobić na wynajmie jednego z nich, ale to dla niego za dużo pracy i, jak mówi, ceni sobie swoją prywatność. Czy możesz sobie wyobrazić, że posiadasz tysiąc metrów kwadratowych darmowego zakwaterowania w centrum Nowego Jorku czy Paryża? I na dobitkę jesteś bezrobotnyrn? Jeśli kiedykolwiek kłóciliśmy się z Agathe, to zawsze chodziło o Erwana. Żałuję, że nie mogłem odpuścić, ale jako dzieciak wychowany w robotniczej rodzinie nie potrafiłem zaakceptować tego, że jest tak rozpuszczony. Ze względu na pamięć o Agathe zatrzymałem się przy drzwiach sypialni Erwana i życzyłem mu dobrej nocy, potem zaś poszedłem do siebie.

Czytałem przez jakąś godzinę, żeby oderwać myśli od tego wszystkiego, a później zgasilem światło. Na zewnątrz panował spokój, a ja uśmiechnąłem się, myśląc, że Hélène Paulik może spryskiwać winorośle jeszcze przed wschodem słońca. To wykurzyłoby stąd Erwana, ruszyłby do Paryża pierwszym możliwym pociągiem. Zachichotałem, wyobrażając sobie, że gdybym wiedział o jego przyjeździe, ustaliłbym to z Hélène.

Tamtej nocy przez cały czas wierciłem się i przewracałem, ale to u mnie normalne. Martwiłem się ważnymi sprawami - na przykład Erwanem - ale i drobiazgami, jak choćby tym, że zapomnieliśmy z Sandrine wynieść doniczkowe sukulenty na słońce, tak jak ustaliliśmy. Mój terapeuta mówi, że moim największym problemem z Erwanem jest poczucie winy. To prawda, że tego dnia na łodzi, gdy zginęła Agathe, za dużo wypiliśmy do lunchu i kłóciliśmy się o Erwana. Zapisał się do jakiejś drogiej, prywatnej szkoły biznesu i Agathe zamierzała za to płacić. Nie kłóciliśmy się o pieniądze, bo już wtedy dużo zarabialiśmy. Chodziło o zasadę: to jeszcze jeden poroniony projekt Erwana. Widziałem, że za każdym razem, gdy z czegoś rezygnował, gdy coś mu się nie udawało, Agathe była zdruzgotana. Mój wydawca i jego żona prowadzili własny spór na pokładzie i kto wie, gdzie była Ursule, moja sekretarka. Pracowała dla mnie od lat. Była dyskretna i wierna, ale po śmierci Agathe wycofała się i odnosiłem wrażenie, że obwinia mnie o wszystko. Została jeszcze jakiś czas po wypadku, ale czułem, że do chwili, w której złożyła wymówienie, zupełnie mnie znienawidziła. Kiedy patrzę na to z perspektywy czasu i po długiej terapii, widzę, że prawdopodobnie jej nie doceniałem. Zawsze dobrze jej płaciłem, wyjątkowo dobrze jak na francuskie standardy, na tyle, że mogła kupić mieszkanie w ładnej dzielnicy. Ale jest przecież coś więcej niż pieniądze - prawda, Justinie? Zakładałem, że ponieważ ma dobrą pensję, zawsze będzie do mojej dyspozycji. To jedna z przyczyn, dla których chciałem być dobry dla Sandrine. Nie jest ona tak wyrafinowana jak Ursule Genoux, ale na pewno bystra. Nie, raczej szybka. To lepsze słowo. I któregoś dnia być może przestanie sprzątać mój dom i zostanie moją sekretarką. Tak przynajmniej to sobie wyobrażałem.

Chyba przestałem w końcu myśleć o tych wszystkich ludziach i zapadłem w sen, bo następne, co pamiętam, to

leciutki powiew ponad moim prawym uchem. Pacnąłem tam ręką, myśląc, że to komar albo mucha. Obróciłem się na drugi bok i próbowałem jeszcze zasnąć. Ale powiew przeniósł się teraz nad lewe ucho. Miałem znowu się obrócić, gdy usłyszałem szept. Znieruchomiałem i szept się powtórzył. Czy to było moje imię? Otworzyłem oczy, ale niczego nie widziałem. Księżyc był w nowiu i w pokoju panowała całkowita ciemność.

- Valère - powiedział głos, a ja poczułem ciepło na szyi i rozgrzane, wilgotne powietrze czyjegoś oddechu.

- Do cholery! - krzyknąłem i wyciągnąłem prawą rękę w ciemność, gotów pochwycić każdą bestię, która na mnie dyszała. Nagle to mnie pochwyciła jakaś dłoń, uściskiem mocniejszym niż ten, do jakiego ja kiedykolwiek byłbym zdolny.

- Puść! - wrzasnąłem, próbując usiąść. - Wynoś się z mojego domu!

- Valère! - zawołał znowu głos. Głos kobiety.

- Agathe! - odpowiedziałem. Czy śniłem? Dlaczego Agathe była przy moim łóżku? - Puść mnie! - Ale ta ręka złapała moją jeszcze mocniej.

- Przestań, Valère!

- Przepraszam, Agathe! - zawołałem. Chyba w tym momencie już płakałem.

Ta dłoń nagle mnie uwolniła i opadłem z powrotem na poduszkę. Spływałem potem. Zapaliło się światło przy łóżku. Nie otwierałem oczu.

- M. Barbier.

Teraz otworzyłem oczy i obróciłem głowę. Z boku stała Sandrine.

- Przepraszam - rzekła. - Zwracałam się do pana po imieniu. Ale krzyczał pan przez sen.

- Dzięki Bogu - powiedziałem, znów zamykając oczy. - Myślałem, że jesteś... Nie jestem pewien...

Sandrine milczała pokornie. Kto wie, o czym myślała.

- Ten powiew... - wymruczałem.

- Nie mogłam znaleźć włącznika - oznajmiła Sandrine i zaczęła się śmiać. - Ta cholerna lampa! Włącznik o kilometr dalej!

Ja też wybuchnąłem śmiechem, wciąż jeszcze z zamkniętymi oczyma.

- Musisz to dla mnie naprawić, Sandrine. Zajmujesz się też drobnymi usterkami elektrycznymi?

- To wykracza poza moje kwalifikacje, M. Barbier. - Roześmiała się.

Przetarłem oczy i próbowałem usiąść, ale byłem zbyt wyczerpany.

- Proszę się nie ruszać - zakomenderowała. - Przyniosę panu szklankę wody.

- Erwan. Jego też pewnie obudziłem.

- Pójdę sprawdzić - obiecała.

Do tamtej pory klęczała przy łóżku na zimnej, ceramicznej podłodze, teraz podniosła się i wyszła z sypialni. Słyszałem, jak puka do pokoju Erwana, potem wypowiada jego imię. Po kilku sekundach wróciła.

- Mamy problem, M. Barbier - zakomunikowała od drzwi. - Pański pasierb zniknął.

Podniosłem głowę i spojrzałem na nią, zaszokowany tą informacją. Po czym znów wtuliłem się w poduszkę, wiedząc, że tej nocy już nie zasnę. Tym bardziej, że w wyglądzie Sandrine dostrzegłem coś, co mnie zaniepokoiło.

Aix-en-Provence, sobota 10 lipca 2010

Marine uwielbiała zabierać swoją matkę na lunch. Jej rodzice rzadko bywali w restauracji i Marine wiedziała, że Florence Bonnet nie przykłada wielkiej wagi do tego, co je. Teraz była na emeryturze, ale kiedy Marine dorastała, jej matka całą swoją energię wkładała w nauczanie i prowadzenie badań na uniwersytecie w Aix. Marine była dumna z pracującej matki i pokazywała przyjaciółom jej artykuły naukowe. I nie miało znaczenia, że ukazywały się one w mało poczytnych (choć ważnych) pismach teologicznych na całym świecie. Była szczęśliwa, widząc nazwisko matki w druku - dr Florence Bonnet. Zdawała sobie też sprawę, że to dzięki jej wychowaniu, w którym na pierwszym miejscu znajdowały się książki, idee i zdobywanie wiedzy, ona sama zrobiła doktorat.

Kiedy Marine zaczęła uczyć i osiągnęła niezależność, odkryła, że życie oferuje także inne wartościowe rzeczy. Na przykład dobre jedzenie i dzielenie się nim z przyjaciółmi. Jej matka nie miała zwyczaju jadać na mieście, więc po posiłku Marine, w rewanżu za jej towarzystwo, dyskretnie płaciła rachunek. Nie zawsze udawało im się wybrać na lunch co tydzień - Florence wciąż zajmowała się redagowaniem artykułów dla pism teologicznych, a także śpiewała w znanym chórze z Saint-Jean-de-Malte.

Tego dnia Marine wybrała tradycyjną knajpkę w pobliżu Rotonde. Klasyczne dania, takie jak kaczką w sosie własnym i befszyk tatarski, przygotowywano tu wystarczająco dobrze, bez niespodzianek, a kelnerzy byli profesjonalni i dyskretni. Zamówiła dwa kieliszki szampana. Początkowo jej matka zrywała się i protestowała, dopóki nie upiła pierwszego łyka. Marine uśmiechnęła się, widząc, jak Florence powoli się rozluźnia i rozkoszuje gazowanym winem.

- *Maman* - zaczęła Marine - niedawno spotkałam Valère'a Barbiera.

Florence Bonnet spojrzała na córkę znad okularów.

- Nie mówisz chyba, że...?

Marine skinęła głową.

- Mieszka w starym domu obok Paulików, w Puylobier.

- La Bastide Blanche - uściśliła Florence.

- Tak, skąd wiedziałas?

- Philomène.

Marine roześmiała się. Philomène Joubert mieszkała naprzeciwko dawnego mieszkania Marine, po drugiej stronie dziedzińca, i stanowiła charakterystyczny element centrum Aix, jeżdżąc na swoim przedpotopowym rowerze w goglach i robionej na drutach czapce, i to niezależnie od pogody. Była także prezeską kościelnego chóru, dzieliła tę funkcję z *père* Jean-Lukiem.

- Więc jaki on jest, ten wielki człowiek? - chciała wiedzieć Florence.

- Bardzo miły - odparła Marine. - Przyjacielski, interesujący i inteligentny. Właśnie taki, jak oczekiwałam. Antoine zdążył go już zaprosić do swojego klubu cygarowego.

- Jak Barbierowi się tam sypia? - zapytała Florence, dopiła szampana i ze stukiem odstawiała kieliszek na stół.

Marine spojrzała na nią zaskoczona.

- Co masz na myśli, *maman*?

- Bastide Blanche jest nawiedzony - wszyscy to wiedzą. Któraś wieczoru przed próbą Philomène rozgadała się na temat tego domu. Niektórzy z młodszych chórzystów nieźle się przelękli!

Marine tłumiała śmiech. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak w wiekowym kościele Philomène Joubert rozprawia o duchach. Być może tamtego wieczoru tylko świece rozjaśniały jego wnętrze, tworząc doskonałe tło dla takich historii.

- Więc co opowiada Philomène? - zapytała Marine.

- Twoja mina pokazuje, że uważasz to za jakiś hokus-pokus - odparła Florence. - Ale w opowieściach o duchach może kryć się ziarno prawdy. Zazwyczaj tak jest.

- Ale *maman*, to czyste przesady, zawsze z czymś takim walczyłaś.

Florence wzruszyła ramionami.

- To stary dom, a stare domy mają dusze i swoje historie. - Marine spojrzała na matkę z niedowierzaniem. Florence zaś mówiła dalej: - Między innymi dlatego w 1964 kupiliśmy z twoim ojcem nowy dom. Oraz dlatego, że chcieliśmy mieć centralne ogrzewanie.

- No i miałaś blisko na uniwersytet - dodała Marine.

- Właśnie.

- Więc niezupełnie z tego powodu, żeby mieć dom bez starej duszy, z którą trzeba by się uporać - zauważyła Marine.

- No cóż, chyba nie - przyznała Florence. Przerwała, patrząc na sufit dekorowany w stylu *art déco*, po czym rzekła: - Ale w La Bastide Blanche zbyt dużo jest okoliczności, których nie da się wytłumaczyć.

Marine uśmiechnęła się, szczęśliwa, że widzi matkę taką zrelaksowaną.

Florence wychyliła się do przodu.

- Co robimy po lunchu?
- Zamierzałam usiąść do pisania.
- Zróbmy sobie krótką wycieczkę do uniwersyteckiej biblioteki.
- *Maman!*
- To nie potrwa długo - zapewniła Florence. - Mogłybyśmy zweryfikować opowieści Philomène.
Marine skinęła głową.
- Dobrze, wobec tego zamówmy tylko danie główne, żeby było szybciej.
Florence wyglądała na zaskoczoną, potem na rozczarowaną.
- *Quoi? Pas une entrée, ni dessert?*
Marine uśmiechnęła się - być może powoli zmieni swoją matkę w epikurejkę.

* * *

Bruno Paulik zapukał do drzwi biura Verlaque'a.
- Proszę - zawołał sędzia, odsuwając stertę papierów wierzchem dłoni. - Kawy?
- Nie mogę - odparł Paulik. - Muszę jechać do Bastide Blanche.
- Co się stało tym razem?
- Zaginął pasierb Valère'a Barbiera.
- Nie wiedziałem, że przyjechał - zdziwił się Verlaque.
- Przyjechał wczoraj późnym wieczorem - wyjaśnił Paulik. - Około wpół do jedenastej, kiedy szliśmy spać, widzieliśmy z Héléne podjeżdżającą taksówkę. Musiał przyjechać o dziewiętnastej TGV z Paryża.
- Przypadkiem podróżowaliśmy z Marine tym samym pociągiem - powiedział Verlaque. - Pojedziemy razem, po drodze wprowadzę cię we wszystko, czego dowiedziałem się

w Paryżu. Dlaczego Barbier się martwi? Może chłopak poszedł na wycieczkę albo postanowił wrócić do Paryża?

- Barbier i jego gospodyni znaleźli dzisiaj w salonie żądanie okupu - oznajmił Paulik.

Udało im się dotrzeć do Puylobier w ciągu dwudziestu minut. Komisarza wiozła inspektor Goulin, zachwycona, że nie musi pracować przy biurku. Sędzia podążył za policyjnym samochodem swoim stylowym porsche.

Kiedy przyjechali, Valère i Sandrine stali na wejściowych schodach *bastide*.

- Dziękuję, że tak szybko przyjechaliście.

- Nie dotykaliśmy tej kartki - poinformowała ich Sandrine.

- Znaleźliśmy ją na stoliku kawowym - wyjaśnił Barbier, kiedy weszli do domu. - To Sandrine pomyślała o tym, żeby jej nie dotykać.

- Bardzo słusznie - pochwalił Paulik.

Sophie Goulin wyjęła pęsetę ze swojego zestawu narzędzi, podniosła ręcznie napisany liścik i pokazała Paulikowi.

- „Mamy Erwana” - czytał głośno. - „Jeśli chcesz zobaczyć go żywego, postępuj zgodnie z poniższymi instrukcjami”.

- A ile błędów ortograficznych - zauważył Valère.

- Co wydarzyło się wczorajszego wieczoru i w nocy? - zapytał Paulik. - Proszę niczego nie pomijać, nawet jeśli wydaje się to nieistotne.

- Koło czwartej M. Barbier miał koszmary - poinformowała Sandrine.

- Ale co było wcześniej? - dociękał Paulik. - O której przyjechał Erwan?

- O wpół do jedenastej czy coś koło tego - odparł Valère, wzrokiem szukając u Sandrine potwierdzenia. - Taksówką ze stacji TGV w Aix.

- Siedemdziesiąt euro za przejazd - wtrąciła Sandrine, krzyżując ręce na piersiach.

- Zaraz poszliśmy spać - mówił dalej Valère. - Sandrine wcześniej przygotowała pokój gościnny.

- I żadne z państwa nic nie słyszało?

- Tylko M. Barbier krzyczał przez sen, jak już powiedziałam - rzekła Sandrine. - Pobiegłam do jego pokoju i go obudziłam.

- Martwiłem się, że obudziłem też Erwana, więc Sandrine poszła to sprawdzić i odkryła, że go nie ma.

- Czy przeszukaliście wtedy cały dom? - zapytał Verlaque.

- Oczywiście - potwierdził Valère. - Obeszliśmy wszystkie pomieszczenia na górze i na dole. Ale żadne z nas nie widziało tej kartki na stoliku. Jestem pewien, że jej tam jeszcze wtedy nie było.

- Tak - zgodziła się Sandrine. - Zobaczyłabym ją. Właśnie sprzątnęłam pokój dzienny.

- Włączyłem światła na zewnątrz - dodał Valère. - Nie zauważyłem tam niczego niezwykłego, więc wróciłem do łóżka. Uznałem, że Erwan poszedł do wioski i złapał okazję do Aix albo zamówił taksówkę. Sprawdziłem szufladę, w której trzymam gotówkę. Była pusta.

- Ktokolwiek zostawił ten list, musiał tu wrócić wczesnym rankiem - stwierdził Paulik. - Czy drzwi były zamknięte na klucz?

Valère i Sandrine wymienili spojrzenia.

- To właśnie jest problem - odezwała się Sandrine. - Każde z nas myślało, że to drugie je zamknęło. - Wyjrzała przez okno i zobaczyła Sophie Goulin, która powoli przechadzała się po terenie z opuszczoną głową.

- Ten, kto przetrzymuje Erwana, zadzwoni do państwa. Pilnujcie, żeby wasze telefony były przez cały czas włączone i naładowane. W międzyczasie sędzia Verlaque i ja spisujemy

wasze oświadczenia, każdego z was osobno, w kuchni i w pańskim gabinecie, jeśli to możliwe.

Valère wzruszył ramionami.

- Tak, w porządku. Ten dzieciak... same z nim problemy.

- Czy on mógł to upozorować? - zapytał Verlaque.

Valère pokręcił przecząco głową.

- Erwan szybko wpada w złość i dlatego założyłem, że wyjechał. Nie przyjąłem go szczególnie ciepło. Ale nigdy nie zrobił czegoś tak karygodnego.

- Powiedział, że nie ma pieniędzy - wtrąciła Sandrine.

- Naprawdę? - zapytał Verlaque.

Valère na niego spojrzał.

- Żeby sfingować własne porwanie, trzeba się wykazać pomysłowością i energią, a Erwan nie ma ani jednego, ani drugiego.

- Może pomogli mu jacyś przyjaciele z Paryża? - zasugerowała Sandrine.

- Mlle Matton może mieć rację - uznał Paulik.

Valère potrząsnął głową.

- Nadal sobie tego nie wyobrażam... Ale mogę się mylić.

Verlaque zabrał wyraźnie zmęczonego i wstrząśniętego Valère'a do biura, a Paulik wraz z Sandrine - która nadal narzekała na opłatę za taksówkę - weszli do kuchni.

- Ma pan piękne biuro - powiedział szczerze Verlaque, podziwiając włoskie i francuskie meble oraz zabytkowe, wbudowane regały na książki. Dwa duże okna wychodziły na zwirowy taras otoczony rzędem platanów i na widoczne pomiędzy nimi wzgórze porośnięte winnicami i drzewami oliwnymi.

- Tak, taki gabinet ma każdy wielki pisarz - powiedział Valère z wyczuwalnym sarkazmem. - Na biurku lampa *Pipistrello* Gae Aulenti, kupiona na aukcji Drouota, na półce

pierwsze wydania Prousta i Philipa Rotha, a w rogu krzesło *Eames*, które niegdyś należało do Le Corbusiera.

Verlaque spojrział na Valère'a i uznał, że jego posępny nastrój wynika z poczucia winy z powodu zniknięcia Erwana.

- Byłem wczoraj w Paryżu - zaczął. - Spotkałem się z Ursule Genoux i później z Monicą Pelloquin.

- Szczęściarz z pana - skomentował Valère.

Wydawał się teraz znudzony, wyglądał przez okno.

Verlaque założył nogę na nogę i także wpatrzył się w rozległy widok za oknami, w winorośle i morze jasnej zieleni. Valère wyglądał jak słynny pisarz z jego wyobrażeń - rozpieszczony i obojętny - a nie jak tamten uroczy i rozmowny autor, którego zaprosił do klubu palaczy cygar.

Wtem Valère odwrócił się do Verlaque'a i zapytał gniewnie:

- Dlaczego, u licha, pan z nimi rozmawiał?

Verlaque poczuł ulgę, że Valère wreszcie zadał to pytanie, które powinien był zadać kilka chwil wcześniej.

- Śledztwo w sprawie śmierci pańskiej żony zostało wznowione - poinformował.

- No cóż, nigdy go nie zamknięto, skoro nigdy nie znaleziono jej ciała, prawda? - zapytał Valère, tak jakby policja była winna, a Verlaque w jakiś sposób odpowiadał za jej niekompetencję.

- Zgadza się - przytaknął Verlaque.

- Więc co się dzieje?

- Na światło dzienne wyszły nowe dowody - skłamał Verlaque.

- Takie jak...?

- Nie wolno mi tego wyjawić. Jest na to za wcześnie.

- I co Ursule i Monica miały do powiedzenia?

- To, co powiedziały mi wczoraj, pokrywa się z ich zeznaniami przed policją w Cannes w 1988.

Valère odchrząknął.

- Oczywiście, że tak.

- Po spotkaniach z nimi wpadłem na Charles'a-Henriego Lagarde'a na tarasie Le Hibou.

- On praktycznie tam mieszka - rzekł Valère. - Przesiaduje tam popołudniami z nadzieją, że spotka pisarzy i aktorów, którzy są ważniejsi od niego.

Verlaque uśmiechnął się. Właśnie takich wypowiedzi się spodziewał po słynnym człowieku: małostkowych i plotkarskich.

- Spotkałem Charles'a-Henriego raz, na przyjęciu - mówił dalej, zauważając, że Valère nie zapytał go, skąd zna Lagarde'a. - A wczoraj powiedział mi, że Alphonse Pelloquin także często bywał w Le Hibou.

- Rozumie pan teraz, co mówiłem? Lagarde też jest pedziem. To dlatego zostawiła go żona.

Verlaque zignorował ten homofobiczny komentarz, ale poczuł się rozczarowany. Poza tym wspomnienie tego, w jaki sposób Lagarde przyglądał się kobietom w restauracji, utwierdziło go w przekonaniu, że te pomówienia są niesłuszne.

Valère znów zatopił wzrok w scenerii za oknem. Rzucił prawie w powietrze:

- A dlaczego miałoby mnie obchodzić, że Alphonse chadzał do Le Hibou?

- Nie jestem pewien. To może dla pana nic nowego, ale Lagarde powiedział mi, że często widywał pańskiego wydawcę w towarzystwie pańskiej żony, Agathe.

* * *

Marine czekała, podczas gdy jej matka rozmawiała z głównym bibliotekarzem. Léopold Crépillon uwielbiał Florence Bonnet, z którą śpiewał w kościelnym chórze. Marine uśmiechała się, kiedy ich obserwowała - znajdowała się zbyt daleko, by słyszeć rozmowę, ale wystarczająco blisko, by

poczuć emocje, jakie dzielili, będąc razem. Marine łowiła uchem, jak Léopold uderza w klawisze komputera i jak włącza się drukarka, potem docierały do niej stłumione odgłosy dalszej ożywionej rozmowy. Kiedy skończyła pisać długi mail do swojego wydawcy z Paryża, uświadomiła sobie, że minęło pół godziny.

- Nie musiałaś się ukrywać - powiedziała Florence, kiedy ją znalazła.

- Nie ukrywałam się - skłamała.

Léopold miał mniej więcej pięćdziesiąt lat i wciąż mieszkał ze swoją matką. Obecność jakiegokolwiek atrakcyjnej kobiety poniżej sześćdziesiątki wprawiała go w zakłopotanie, więc Marine znalazła wolne biurko i czytała maile na telefonie.

- Po prostu trzymałam dystans. Sądzę, że na mój widok Léopold zaczyna się pocić.

Niektóre koleżanki nazywały Léopolda Crépillona Le Creep⁶, ale ona uważała, że jest nieszkodliwy. Powinien tylko częściej się kąpać, i także z tego powodu wolała zachować pewien dystans.

- Coś takiego - odparła Florence, naburmuszona. Wyjęła kilka kartek białego papieru z widniejącymi na nich sygnaturami.

- Léopold wskazał, od czego mamy zacząć. Zawsze tak chętnie pomaga.

Podzieliły między siebie kartki od bibliotekarza i ruszyły szukać książek na regałach. Marine słyszała, jak kilka rzędów dalej jej matka postępuje z zadowoleniem.

- *Ciel!* - powiedziała Florence teatralnym szeptem dziesięć minut później. - To prawdziwe znalezisko!

Marine położyła sobie na biurku dwie książki, które jej zdaniem mogły się okazać pomocne, i przyciągnęła drugie

krzesło. Florence dołączyła do niej, zarumieniona z podniecenia.

- *Ubóstwo i dobroczynność w Aix-en-Provence w latach 1640-1789*⁷ - powiedziała szybko i pokazała Marine niewielki tomik, oprawny w zielone płótno. - Zacznijmy od tego.

Marine przeczytała spis treści.

- Wygląda świetnie.

- Stary, dobry Léopold - odezwała się Florence. - Dał mi także coś, co oszczędzałam dla ciebie. - Uśmiechnęła się szeroko i podała córce kilka stron skopiowanego tekstu, niektóre fragmenty Léopold pozaznaczał na czerwono.

- Wow - powiedziała Marine, gdy zaczęła czytać. - To część spisu ludności ze schyłku średniowiecza, w której wymienieni są właściciele większych posiadłości wokół Aix, w tym La Bastide Blanche.

- Léopold zaznaczył ten dwór czerwonym krzyżykiem - zauważyła Florence.

- Czy on był na próbie chóru, kiedy Philomène mówiła o legendach... o *bastide*?

Florence skinęła głową.

- Tak, ale on już wcześniej wszystko o nich wiedział. Kiedy był chłopcem, jego cioteczne babki opowiadały mu historie o duchach. Najbardziej kochał te o La Bastide Blanche.

- Urocze.

- No cóż, kiedy ty byłaś mała, zgodziliśmy się z twoim ojcem, że opowieści, które wywołują u dzieci strach, niekoniecznie nadają się do czytania przed zaśnięciem.

- *Merci, maman.*

- Léopold wskazał nawet, od kogo zacząć - rzekła Florence, wyjęła kilka kolorowych długopisów i ułożyła je na drewnianym biurku. - Od hrabiego Hugues'a de Besse - szepnęła. Zdjęła nasadkę zielonego długopisu i naniósł dwa ikсы przy nazwisku

widniejącym na pierwszej stronie skopiowanej listy. – Urodził się w 1688, zmarł w 1760 – rzekła. – Tego człowieka szukamy.

– Ale co on zrobił? – zapytała Marine, także szeptem.

Florence rozejrzała się i poczekała, aż młody student, z rękoma pełnymi książek, znajdzie się poza zasięgiem jej głosu. – Léopold powiedział mi, że hrabia miał wielki apetyt...

Marine wzniosła oczy ku górze.

– Rozumiem, że był smakoszem?

– Apetyt seksualny – wysyczała Florence.

– Co to ma wspólnego z duchami?

– To duchy zamordowanych dzieci – wyszeptała Florence.

– Mówisz poważnie?

Florence skinęła głową.

– Hugues de Besse był ojcem całych tuzinów nieślubnych dzieci – wyjaśniła. – Niemowlęta zabijano i grzebano pod domem. Tak przynajmniej głosi ta historia.

– Niech zgadnę – odezwała się Marine. – Matkami były młode, niezamężne służące?

– Właśnie. Duchy to dzieci i ich zrozpaczone matki...

Marine zamknęła oczy, próbując choćby przez chwilę wyobrazić sobie imiona i twarze tych dziewcząt.

– To tylko opowieść – stwierdziła. – Może z jakimś ziarnkiem prawdy.

– Bez dowodów rzeczywiście jest tylko opowieścią – odparła Florence. – Bierzmy się do pracy.

Czytały w ciszy przez ponad godzinę, robiły notatki i zaznaczały fragmenty małymi, kolorowymi karteczkami samoprzylepnymi, które Marine zawsze miała w torebce. Kiedy Florence je zobaczyła, uśmiechnęła się z dumą.

– Wiadomo: naukowiec... – powiedziała. Wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni córki. – To taka świetna zabawa.

Marine uśmiechnęła się i już miała coś odpowiedzieć, ale zobaczyła, że jej matka jest już pochłonięta następną lekturą. Wróciła więc do czytania, a po kilku minutach zacytowała:

- „Osiemdziesiąt procent populacji w siedemnastowiecznym Aix pracowało, by utrzymać pozostałe dwadzieścia procent, składające się z bogatych duchownych, urzędników i arystokratów”.

- Tak, do tej większości należeli farmerzy, rzemieślnicy, sprzedawcy żywności, służący - dopowiedziała Florence.

- *Et les porteurs de chaise.*

- Zgadza się, mężczyźni, którzy nosili lektyki. Wielu dobrze urodzonych mieszkańców Aix nie mogło sobie pozwolić na powóz i konie, ale stać ich było na opłacanie dwóch nieszczęśników, którzy nosili ich po zabłoconych ulicach.

Marine uśmiechnęła się i skinęła głową. Wiedziała, czym zajmowali się *porteurs*, ale jej matka przestawiła się na tryb profesorski i trzeba było jej wysłuchać.

- Posłuchaj tego, *maman*. „W osadach średniowiecznych niektóre rodziny liczyły od ośmiu do czterdziestu osób mieszkających pod jednym dachem”.

Florence przytaknęła.

- Zarobki były tak niskie, że nawet jeśli oboje rodzice pracowali, i tak nie byli w stanie wyżywić swoich dzieci. Zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych.

- Takich jak zaraza - dodała Marine. - Albo głód.

- Albo choćby kolejne dziecko - dopowiedziała Florence. - Więc korzystali z placówek charytatywnych, które w Aix nie były prowadzone przez instytucje kościelne, ale zakładane przez osoby prywatne.

- Jako ich droga do zbawienia - zauważyła Marine.

- Popatrz. - Florence pokazała stronę z zielonej książki, którą znalazła na regale. - Szpital o nazwie Saint-Eutrope

został powołany do życia przez kupca Michela Jualme w 1600 roku. Później, w 1629, założono fundację dla skruszonych prostytutek, chociaż autor tekstu z dumą stwierdza, że w Aix było dużo mniej prostytutek niż w Marsylii. – Marine uśmiechnęła się, a jej matka mówiła dalej: – A niedługo później otwarto La Charité, szpital dla sierot.

– Więc te instytucje istniały w czasach Hugues’a de Besse – zauważyła Marine.

– Ale nie odesłano tam ani tamtych dzieci, ani ich matek – skonstatowała Florence. – Problemy z *bastide* trzymano w tajemnicy.

– Właśnie przeczytałam, że większość dzieci nie była prawdziwymi sierotami, tylko *enfants trouvés* – zostały porzucone przez rodziny, w których było za dużo potomstwa i za mało pieniędzy na ich wyżywienie. Jakich straszliwych wyborów musieli dokonywać tamci rodzice.

Florence odłożyła długopis i przeciągnęła się. Marine widywała to setki razy.

– A co powiesz na kolację u nas dziś wieczorem?

Marine nie była pewna, czy zaproszenie obejmowało też Antoine’a, który zresztą i tak przesłał jej właśnie esemesa, że późno wróci do domu.

– Z przyjemnością – odrzekła.

– Oczywiście Antoine także może przyjść... – dodała Florence szybko, ale niezbyt przekonująco.

– Późno kończy pracę – powiedziała Marine.

– Więc zjemy we troje. Ojciec ugotuje, a ja znokautuję was oboje w scrabble.

Przypisy:

⁶ *Creep* – ang. czubek, dziwak, menda (przyp. tłum.).

⁷ Cissie C. Fairchilds, *Poverty and Charity in Aix-en-Provence, 1640-1789*, Johns Hopkins University Press, 1976.

19

Nowy Jork, 22 września 2010

- Cóż dziwnego było w stroju Sandrine tamtej nocy? - zapytał Justin.

Valère zamachał ręką.

- O tym za chwilę.

- Dobrze, mogę poczekać. Zatem dlaczego Agathe i Alphonse przesiadywali razem w Le Hibou? Alphonse musiał być niezłym palantem! Po co, do licha, się spotykali? Na pewno istnieje jakieś wytłumaczenie.

Valère odchylił się do tyłu, ciesząc się z entuzjazmu młodego redaktora i z tego, że do tej pory we wszystko wierzył. Valère pogratulował sobie w myślach - był mistrzem w opowiadaniu historii.

- Możesz sobie wyobrazić szok, jaki przeżyłem, kiedy się dowiedziałem, że Agathe i Alphonse odbywali małe *tête-à-tête* w Le Hibou. I zrozumieć, dlaczego byłem taki nieprzyjemny wobec sędziego Verlaque'a? - mówił dalej.

Justin uśmiechnął się szeroko.

- Tak, widziałem, jaką miałeś minę, kiedy ci o tym opowiadałem. Cóż, Justinie, tak właśnie się zachowywałem, kiedy byłem sławny. Wiem, wciąż jestem. Ale mówię o przeszłości, o latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kiedy prowadziłem się z gwiazdami rocka i słynnymi aktorami. Wciąż się wstydzę tego, co robiłem w chwilach nadmiernego

stresu czy zmęczenia. Nie mam pojęcia, co pomyślał Antoine Verlaque, ale jestem pewien, że moje idiotyczne zachowanie nie pomogło naszej zawiązującej się przyjaźni. Jednak w tamtej chwili potrafiłem myśleć tylko o Agathe i Alphonsie Pelloquinie.

- Ale ten cały Verlaque próbował zapędzić pana w kozie róg - skomentował Justin, nalewając trochę wina do kieliszka Valère'a. - Co pan wtedy powiedział?

* * *

Powiedziałem sędziemu, że nie mam pojęcia, dlaczego Agathe spotykała się z Alphonse'em, nie mieli ze sobą nic wspólnego. Absolutnie nic. Ona była artystką, on rekinem. Po części dlatego na początku kariery wybrałem go na swojego wydawcę. Mówiąc szczerze, nie dbałem o uczciwość zawodową. Chciałem tylko sprzedawać książki.

- Dlaczego przejmuje się pan tym, z kim Agathe piła martini? - zapytałem sędziego.

- Mówiłem panu - ponownie badamy okoliczności jej śmierci - wyjaśnił.

- Nie wyniknie z tego nic dobrego - powiedziałem. - Ona nie żyje. Wypadła z jachtu podczas burzy. To wszystko.

Verlaque właśnie miał się odezwać, kiedy zadzwonił telefon domowy. Prawie wyskoczyłem ze skóry. Sandrine wbiegła do mojego biura, wykręcając ręce. Tuż za nią podążył komisarz, który wskazując na telefon, zawołał:

- To mogą być oni.

Przełknąłem ślinę, podniosłem słuchawkę i włączyłem tryb głośnomówiący.

- *Âllo* - odezwałem się. Bardzo się starałem, żeby nie załamywał mi się głos.

- M. Barbier, niech pan słucha uważnie. Mamy pańskiego syna - oznajmił mężczyzna po drugiej stronie.

- Pasierba - wtrąciłem.

- Zamknij się pan. Aby zapewnić mu bezpieczeństwo, proszę przynieść pięćdziesiąt tysięcy dolarów w sportowej torbie do kaplicy w Puyloubier.

- Ale to mi zajmie... - chciałem powiedzieć więcej, ale natychmiast mi przerwał.

- Damy panu dwa dni na zebranie gotówki. Proszę być przy kaplicy w niedzielę o północy. Niech pan przyjdzie pieszo. Żadnych samochodów. Czy to jasne?

- I co wtedy? - zapytałem. - Czy Erwan tam będzie? Skąd mam wiedzieć, że dobrze się czuje?

Usłyszeliśmy zduszony głos i Erwan podszedł do telefonu.

- Valère - powiedział. - Proszę, zrób, co ci każą. Przepraszam... Wyszedłem na dwór popatrzeć na gwiazdy i wypalić fajkę...

W tle pojawiły się jeszcze inne przytłumione dźwięki i ponownie usłyszeliśmy pierwszy głos:

- Widzimy się przy kaplicy. Ma pan być sam. - Zanim mogłem zadać jakieś pytania, połączenie zostało zerwane.

- Jak zdobyli numer domowy? - zastanawiał się Paulik.

- Obawiam się, że byłam nieostrożna - odparła Sandrine drżącym głosem. - Dawałam go we wsi, bo zasięg komórek jest tutaj do niczego.

- Mamy dwa dni - powiedział Verlaque, chodząc po pokoju. - Czy poznał pan ten głos?

- Oczywiście, że nie - odparłem. - Odniosłem wrażenie, że ten człowiek chciał ukryć południowy akcent. Jednak nie do końca mu się to udało.

- Musieli obserwować dom - stwierdził Paulik. - Ale skąd wiedzieli, że Erwan jest pańskim pasierbem? Przecież mógł być po prostu zwykłym gościem, który wyszedł się przewietrzyć.

Podniosłem rękę.

- Nadal nie sądzę, żeby stał za tym Erwan.

- Cała wieś wie o bogactwie i sławie M. Barbiera - oznajmiła Sandrine. - To żaden sekret.

Chodziła w tę i z powrotem, a ja skrzywiłem się, kiedy dobrze przyjrzałem się jej ubraniom: obcisłe, elastyczne spodnie z imitacji lamparciej skóry, dopasowany, czerwony top i dobrane do niego buty na wysokich obcasach. Usiłowałem sobie przypomnieć, jak wyglądała poprzedniej nocy, przy moim łóżku. I wtedy zaskoczyłem. Kiedy weszła do mojej sypialni, by mnie uspokoić, była w pełni ubrana. Nie w piżamie.

- Więc oni wiedzieli, że pan ma pasierba - stwierdził Verlaque. - Na pewno nietrudno znaleźć jego podobiznę w Internecie. Ale w jaki sposób ktoś z wioski mógł się dowiedzieć, że Erwan jest tutaj? Chyba że, jak zasugerował komisarz, obserwowali dom.

- Chwileczkę - powiedziałem. - Zatrzymał się przy barze, żeby zapytać o drogę.

- Kto taki? - chciał wiedzieć Verlaque.

- Erwan - mówiłem dalej. - Taksówkarz był z Polski i nie mówił po francusku.

Zauważyłem, że sędzia patrzy na komisarza, a ten kiwa głową. Sędzia zapytał:

- Skąd by wiedzieli, że paryżanin pytający o drogę jest pańskim pasierbem?

- Rok temu zabrałem Erwana na ceremonię wręczenia nagród, a kilka tygodni później w „Paris Match” pojawiła się rozkładówka. Było mi go żal, zresztą nie miałem z kim iść.

Sandrine popatrzyła na mnie z rozczarowaniem. Ponownie zrażałem do siebie moich nowych przyjaciół. A co by o mnie pomyśleli, gdyby odkryli, że...

* * *

Valère powoli zsunął ręce ze stołu, spoczywały teraz na jego kolanach. Justin zauważył zmęczenie na twarzy pisarza. Jakże

inny był ten Valère Barbier w porównaniu z jowialnym mężczyzną, który wkroczył z werwą do restauracji kilka godzin wcześniej. Justin dyskretnie zerknął na zegarek, dochodziła jedenasta, a on wiedział, że opowieść pisarza nie dobiegła nawet do połowy. Musiał go jakoś skłonić, żeby mówił dalej.

- A Sandrine? - rzekł więc, nalewając każdemu z nich wodę.
- Czy sądzi pan, że tamtej nocy wychodziła na zewnątrz?

- Oczywiście. Nie mogłaby się przebrać tak szybko. Ale nawet jeśli mnie oszukiwała, i tak potrzebowałem jej jako przyjaciółki. Miałem poczucie winy, bo ostatnio się kłóciliśmy. O głupstwa, takie jak remonty w domu.

- Tapeta w lamparcie cętki?

Justin miał nadzieję, że Valère się roześmieje, i tak też się stało.

- Chciała dokonać zmian w kuchni - wyjaśnił pisarz, odsuwając wodę na bok i nalewając im obu więcej wina. - A ja uważałem, że kuchnia jest doskonała, może z wyjątkiem małego, gazowego piekarnika. Był tam niewielki kamienny zlew, płytki i okrągły, i Sandrine powiedziała, że powinienem go wymontować i zamienić na podwójny, ze stali nierdzewnej. Ściany wykonano z grubo ciosanego kamienia i jakiś wcześniejszy mieszkaniec lub służący zamocował na jednej z nich grube, drewniane półki, spoczywające na prostych, metalowych wspornikach. Zaraz po przeprowadzce poustawiałem na nich mniejsze, ceramiczne miski Agathe i duże kieliszki do wina marki Riedel. Widziałem, że Sandrine ogląda półki i wyobraża sobie w ich miejsce dębowe kredensy. Ale zgodziliśmy się co do tego, że otoczenie *bastide* i widoki są doskonałe. Prowadziliśmy na ten temat długie dyskusje. - Valère uśmiechnął się i wyjął telefon. - Pokażę ci kilka zdjęć.

- To jest świetne - powiedział Justin, patrząc na komórkę Valère'a.

Ten skinął głową.

- Kilka miesięcy przed moim wyjazdem z Paryża, znajomy poradził mi, bym zatrudnił ekipę ogrodniczą i zainstalował system nawadniania. To była świetna rada, bo kiedy przyjechałem tu późną wiosną, ogród doskonale się rozwijał, a trawa nie straciła jeszcze soczystej zieleni. Na zdjęciu zrobionym wiosną pole między moim domem a winnicą Hélène było pełne dzikich kwiatów.

- Proszę spojrzeć na ten szmaragdowy trawnik - odezwał się Justin. - To praktycznie technikolor. Podobnie jak ten fioletowy kwiat. To lawenda?

- Tak, była w pełnym rozkwicie, kiedy zaczęła się ta cała błazenada. To zdjęcie zostało zrobione z basenu, to widok z dołu na dom.

- Fiolet, potem srebro z drzew oliwnych, potem jasnozielona trawa i zwirowany taras, i w końcu...

- Dom.

- Te smukłe, zielone drzewa - powiedział Justin, widząc, że Valère znowu traci humor. - Van Gogh je uwielbiał.

- Cyprysy - wyjaśnił Valère. - W Prowansji stanowią symbol powitania. Ale ja zawsze postrzegałem je bardziej jako strażników, wyprostowanych żołnierzy strzegących domu. Chociaż uważam, że cyprysy przy La Bastide Blanche nie do końca się sprawdziły.

20

Aix-en-Provence, sobota 10 lipca 2010

Marine przytrzymała drzwi, czekając, aż Charlotte wdrapie się na drugie piętro do ich mieszkania.

- *Coucou, chérie* - powiedziała, kiedy dziewczynka dotarła na podest. Wymieniły *bise*.

- *Coucou*, Marine - odparła Charlotte, która ani trochę się nie zasapała. Była chuda, jak Sylvie, a przy tym wysoka i, podobnie jak matka, wysportowana.

- Ale ze mnie szczęściara - odezwała się Marine, zamykając za Charlotte drzwi. - To już trzecia twoja wizyta u mnie w tym tygodniu.

- Przepraszam, Marine - westchnęła Charlotte.

- Och, ja nie narzekam! - zawołała Marine, zakłopotana, że Charlotte opacznie zrozumiała jej słowa.

Chociaż tak naprawdę oboje z Verlakiem zastanawiali się, dlaczego Sylvie tak często w tym tygodniu przysyłała do nich swoją córkę. Sylvie prowadziła bogate życie zawodowe i towarzyskie, ale była całkowicie oddana Charlotte i jedna noc w tygodniu zazwyczaj wyczerpywała jej limit - oczywiście, kiedy dziewczynka była w domu, w Aix, a nie z dziadkami w Alpach.

- *Maman* znowu za długo siedziała w łazience - oznajmiła Charlotte, wskakując na sofę.

Marine usiadła obok i powiedziała:

- Więc zgaduję, że nie stroi się na zebranie wydziału w *Beaux-Arts*. - Straciła poczucie czasu i dopiero teraz uświadomiła sobie, że to już piątek i że Sylvie niewątpliwie wybrała się na randkę.

Charlotte roześmiała się.

- Nie, na pewno nie! Kimkolwiek jest ten facet, niech lepiej będzie miły!

- Na pewno jest miły - odparła Marine. - Wiesz, kochanie, twoja *maman* już długo jest singielką, a jest młoda. Pewnego dnia może znaleźć mężczyznę, który będzie dzielił z nią i z tobą życie.

- Wiem, wiem - powiedziała Charlotte. - Już mi o tym wszystkim mówiła. Czy możemy teraz zagrać w karty?

Marine uścisnęła chrześnicę, która pachniała ciepłym słońcem i odrobiną potu małej dziewczynki. Wyjęła z szafki komplet kart *Sept familles*.

- Zagramy tylko raz - zdecydowała Marine - i potem, kiedy już mnie ograsz, możesz mi pomóc robić sałatkę na kolację.

- Dobrze - odparła Charlotte. - Kiedy wróci Antoine?

- Dzisiaj będzie późno. Ale przyjdą moi rodzice. Są zachwyceni, że znów cię zobaczą. - Marine pochyliła się do Charlotte i szepnęła: - Moja mama jest bardzo inteligentna i miła, ale nie gotuje za dobrze, więc zaprosiłam ich tutaj.

Charlotte znowu się roześmiała.

- Co będzie na kolację?

- *Ceviche* - rzekła Marine, tasując karty.

- Hę? To nie jest francuskie.

- Słusznie. To danie z Meksyku, a może z całej Ameryki Południowej.

Marine zaczęła rozdawać, mając nadzieję, że Charlotte nie będzie już zadawać więcej pytań na temat posiłku.

- Co jest w środku?

- Cóż - zaczęła Marine. - Lepiej będę z tobą szczerą. Surowa, zimna ryba, którą się marynuje w soku z limonki. Przygotowałam to dziś rano i teraz jest w lodówce. Dodaję też czerwoną cebulę, oliwki i awokado.

Charlotte podniosła prawą dłoń do gardła i zakasłała, jakby się krztusiła. Marine opadła na oparcie sofy i wybuchnęła śmiechem.

- Kupiłam też dla ciebie paczkę gnocchi - powiedziała, kiedy jej chrześniaczka doszła do siebie. Wyciągnęła ręce, by uściskać dziewczynkę. - Mogę je zrobić z masłem i gruyère.

Charlotte przytuliła się do Marine i podziękowała, a następnie, przygryzając usta, zaczęła zręcznie układać karty.

* * *

To była jedna z takich restauracji, jakie Verlaque kochał najbardziej. Jedna gwiazdka Michelina - co gwarantowało świetne jedzenie i dobrą obsługę, ale nie trzy, które oznaczały drętwą atmosferę i espresso za dziesięć euro na koniec posiłku. Restauracja, będąca częścią pięciogwiazdkowego hotelu, leżała przy górskiej drodze z widokiem na sady oliwne rozpościerające się na południe aż do dalekiego Grasse. Wahał się, kiedy zapytano go, czy chciałby zjeść w środku, czy na zewnątrz, dopóki nie zobaczył, że taras był zastawiony solidnymi, ale nie ciężkimi replikami krzeseł z epoki Ludwika XVI i przykrytymi lnem stołami. Żadnego plastiku w zasięgu wzroku.

- *Sur la terrasse, s'il vous plait* - powiedział. - *Et une verre de Fonseca Bin No.27.*

Usiadł i starał się podziwiać widoki, ale czuł ucisk w żołądku. Nie był pewien, czy dlatego, że był zdenerwowany, czy raczej podekscytowany. Kelner przyniósł wspaniałe rubinowe porto i Verlaque, kiedy tylko upił pierwszy łyk i poczuł jednocześnie śliwki, czekoladę i jagody, zaczął się

zastanawiać, dlaczego częściej nie kosztuje tego trunku. Zamknął oczy.

- Wygląda na to, że dobrze się bawisz - rozległ się kobiecy głos.

Otworzył oczy i szybko się podniósł.

- *Salut* - rzekł.

- Cześć, Antoine - odparła Chantal Sennat, składając *bise* na jego policzku. - Szmata czasu. - Usiadła i od razu pojawił się kelner. - Więc przyjechałeś, mimo wszystko. Mam nadzieję, że pamiętałeś o aktach.

- Są w samochodzie.

- Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

- Nie bądź taka skromna, Chantal. Pomyślałem, że dobrze będzie się zobaczyć. Spędziliśmy ze sobą dwa lata naszego życia i nigdy tego nie żałowałem - mówił.

Kelner postawił przed nią kieliszek szampana, a ona wzniosła toast.

- *To Daniel de Rudder, professeur extraordinaire.*

- *Cheers* - rzekł z uśmiechem Verlaque.

Ponownie zjawił się kelner, tym razem niosąc prostokątny półmisek, który umieścił pomiędzy nimi na stoliku.

- Pikantne *macarons* z pozdrowieniami od szefa kuchni. - Ukłonił się. - Smacznego.

- Wybrałeś miłą restauracyjkę na uboczu - zauważyła Chantal, kiedy kelner już odszedł.

- Nie lubię Cannes.

Uśmiechnęła się.

- Ani ja. A zatem czy znalazłeś coś interesującego w teczce Agathe Barbier?

- Nic takiego - odparł niezgodnie z prawdą. - Myślę, że zaawansowany wiek Rudderera wpływa na jego ocenę sytuacji.

- Nic dziwnego - stwierdziła Chantal. - Skoro ciało Agathe Barbier nigdy nie zostało znalezione.

Verlaque właśnie miał ugryźć kęs *macaroni*, ale się powstrzymał.

- To wielkie morze.

- A co, jeśli upozorowała swoją śmierć, bo chciała zniknąć? - zapytała Chantal.

- Dlaczego miałyby to robić?

Chantal wzruszyła ramionami.

- Miała dosyć małżeństwa? - Jej ciemnoniebieskie oczy lśniły, gdy wpatrywała się w Verlaque'a.

Do stołu podszedł kelner i widząc puste kieliszki, zaproponował:

- Jeszcze jeden aperitif?

* * *

Le Bar des Sports wyglądał jak większość wiejskich barów w Prowansji. Rozświetlały go fluoroscencyjne lampy, które tworzyły we wnętrzu jasną, niebieskawo-białą poświatę. Zamocowanego na ścianie telewizora nigdy nie wyłączano - to przecież Le Bar des Sports. Lada była kiedyś zapewne cynkowa lub drewniana, ale teraz wykończono ją laminatem, a na skrajach porysowanym i pozadzieranym drewnem sosnowym. Przy barze stały cztery stołki z siedzeniami ze sztucznej skóry, każdy w innym kolorze, w jednym brakowało podnóżka. W latach siedemdziesiątych na podłodze położono nowe płytki - najtańsze, jakie były w sklepie budowlanym - układające się w biało-beżową kratkę. Jedyнным obiektem zdobiącym otynkowane ściany był kalendarz ochotniczej straży pożarnej, datowany na 2008 rok.

Paulik wziął głęboki oddech, zanim otworzył drzwi. Przychodził do tego baru raz czy dwa razy w roku, zazwyczaj po jakimś wydarzeniu w wiosce, szybko wypijał anyżówkę,

porozmawiał z kimś i wychodził. W świetle dnia bar nie był aż tak ponury, ponieważ nie paliły się fluorescencyjne światła i można było stanąć z drinkiem na zewnątrz, udając, że to piękny taras. Paulik pomyślał o wszystkich tych książkach, które gloryfikowały życie w Prowansji, i o tym, że zazwyczaj pomijały wiejskie bary, takie jak Le Bar des Sports, La Boule d'Or, Le Bar des Touristes czy ten o ulubionej nazwie Paulika: Le Bar du XXème Siècle.

- *Salut* - odezwał się Paulik, wchodząc do środka. Skinął głową i uśmiechnął się do dwóch mężczyzn, którzy stali po jego prawej stronie. Każdy z nich miał około siedemdziesiątki i każdemu brakowało mniej więcej tyle samo zębów.

- *Bonsoir*, panie Brunonie - przywitał go barman. - Jak tam u pana?

- Doskonale, dziękuję - odparł Paulik, zdumiony, że barman pamięta jego imię. - A u pana?

- Dobrze. Wszystko się tu teraz uspokoiło.

Paulik rozejrzył się. Przy barze siedziało dwóch starszych facetów, a przy stoliku w rogu głębokim snem spał mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni.

- Ach, tak - rzekł, przypomniawszy sobie. - Puchar Świata.

- To była świetna zabawa, z wyjątkiem meczów naszej reprezentacji - stwierdził barman, wycierając laminat. - Ale przynajmniej Hiszpanie pobili Holendrów.

- Cholerni pomarańczowi - mruknął jeden ze starszych gości.

- Co mogę panu podać? - zapytał barman.

- *Un Ricard, s'il te plaît* - poprosił Paulik, zadowolony, że anyżówkę można pić szybko. Właśnie wyciągał rękę do miseczki z orzeszkami ziemnymi, ale ją cofnął, zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie ci dwaj starsi mężczyźni jedli z niej przez cały wieczór. Zastanawiał się, jak zacząć rozmowę

o Valèrze Barbierze i pojawieniu się Erwana w barze poprzedniego wieczoru, bez wzbudzania zbyt dużych podejrzeń.

- Proszę bardzo - powiedział barman i oparł ręce na ladzie. - Jak tam się układa z waszym sławnym sąsiadem?

Paulik roześmiał się, zadowolony, że nie musiał naprowadzać barmana na ten temat.

- M. Barbier jest bardzo spokojny - odparł. - Wydaje się, że to dobry człowiek.

- Tak też głosi wieść gminna - odezwał się barman. - Żadnych nocnych imprez czy orgii ze sławnymi dziewczynami, prawda, Gastonie? - Roześmiał się i pociągnął jednego ze starszych mężczyzn za koszulę.

- Prawie nie przyjmuje gości - mówił dalej Paulik i upił łyk swojej anyżówki. - Poza koleżanką po fachu i teraz synem z Paryża. Syn jest po czterdziestce, ma na imię Erwan. Przyjechał wczoraj wieczorem. Najwyraźniej jego taksówkarz się zgubił. Pomyśleć tylko - zgubić się w Puylobier!

Gaston roześmiał się.

- Rzeczywiście, weszli tutaj zapytać o drogę - powiedział.

- Czy to był syn Valère'a Barbiera? Ten nadęty paryżanin? - zapytał barman.

- Jest nadęty? - zdziwił się Paulik. - Nigdy go nie spotkałem.

Barman chrząknął i zaczął nalewać kolejne piwo dla towarzysza Gastona.

- Wyraźnie okazał, że nie podoba mu się ani nasz bar, ani my sami - rzekł Gaston.

- Kto jeszcze tu był, poza panami? - zainteresował się Paulik, upijając odrobinę anyżówki.

- A kto chce wiedzieć? - zapytał barman, krzyżując ręce na piersiach.

Paulik odpowiedział:

- Będę z wami szczerzy. Wraz z Erwanem pojawiło się w *bastide* sporo kłopotów. Muszę się zorientować, kto wczoraj widział, jak przyjechał do wioski.

Gaston spojrział w dół, na swoje piwo, a jego towarzysz udawał, że jest bardzo zainteresowany teledyskiem Michaela Jacksona wyświetlanym w telewizji. Wydawało się, że młody mężczyzna w rogu wciąż spał.

- Przykro mi - powiedział w końcu barman. - Nie mogę panu pomóc w tej sprawie. Ludzie wchodzili i wychodzili przez całą noc.

Paulik skinął głową i dopił likier.

- Dziękuję bardzo.

Położył na ladzie dwa euro i wyszedł, niezadowolony, że nie rozegrał sytuacji tak jak powinien. Jego range rover stał zaparkowany przed barem. Kiedy komisarz otworzył drzwiczki, usłyszał za sobą pisk opon. Odwrócił się i zobaczył Thomasa, który właśnie zatrzymywał swój motorower.

- Cześć, Thomasie - odezwał się, idąc w stronę chłopaka.

Ten zdjął kask i uściśnął dłoń komisarza.

- *Bonsoir* - odpowiedział, otwierając czerwoną skrzynkę za siedzeniem i wyjmując pizzę.

- Dostawa do baru? - zainteresował się Paulik.

- Stary Gaston i jego kumpel. Gaston dostał od wnuczki swojego brata swoją pierwszą komórkę i myślę, że jedyne telefony, jakie wykonuje, to do niej i do nas.

Paulik roześmiał się, chwycił menu ze skrzynki i udawał, że je czyta.

- Thomasie - powiedział, wciąż patrząc na menu. - Udawaj, że rozmawiamy o pizzy, dobrze?

- Rozumiem.

- Czy wczoraj wieczorem przywoziłeś tu pizzę?

- Tak, dość późno - odparł chłopak. - Było już po dziesiątej.

- Bingo - ucieszył się Paulik. - Kto był w barze?

- Gaston z kumplem i oczywiście barman, a potem ten facet, który zwykle śpi w rogu, i dwóch opryszków, to chyba bracia albo kuzyni. Nazywają się Pioger.

- Kim oni są?

- Nie chce pan wiedzieć - odparł Thomas. - A może pan chce, biorąc pod uwagę pański zawód. Nie można o nich powiedzieć nic dobrego. Czasem dostarczam im pizzę. Mieszkają w podłym lokalu nad sklepem żelaznym.

Paulik wręczył chłopakowi menu i poklepał go po plecach.

- Dzięki, przyjacielu.

* * *

Po kolacji Marine otrzymała esemesa od Sylvie z pytaniem, czy Charlotte może zostać u nich na noc. Marine oczywiście się zgodziła i poszła przygotować pościel. Gdyby kupili dom na wsi, mieliby więcej miejsca dla gości, myślała, ścieląc sofę w pokoju dziennym. Wcześniej dała Charlotte nową szczoteczkę i czystą koszulkę, a teraz otuliła ją kołdrą.

- Czy mam zasłonić okno? - zapytała, całując dziewczynkę w czoło.

- Nie, dziękuję - odparła Charlotte. - Kiedy trochę uniosę głowę, będę widziała światła na wieży katedry.

- Też kocham ten widok - powiedziała Marine i zgasiła światła.

Dom na wsi nie zapewni takiego widoku, tylko ciemność. Marine nigdy nie mieszkała na wsi i nawet jako dziecko wolała przebywać w mieście. Weszła do łazienki, wzięła prysznic i wyszorowała zęby. Włożyła nową koszulkę nocną, kupioną pierwszego dnia lipcowych wyprzedaży. Wchodząc do sypialni, zrobiła piruet.

Verlaque leżał w łóżku i czytał. Wrócił do domu ze skwaszoną miną zaraz po wyjściu jej rodziców. Marine

chrząknęła, ale on nie zareagował.

- Antoine - powiedziała, wsuwając się pod kołdrę. - Dlaczego przez cały wieczór jesteś w takim złym humorze?

- Czy Sylvie znowu gdzieś wybyła? - zapytał.

Marine, która zwykle broniła przyjaciółki, tym razem zgodziła się z nim:

- Te jej wyjścia zaczynają mnie niepokoić. Jutro spróbuję z nią porozmawiać.

- Nie wiesz, z kim się spotyka?

- Nie mam pojęcia - odparła Marine. - W zeszłym tygodniu była na międzynarodowej konferencji fotograficznej w Arles. Może tam kogoś spotkała. Właśnie w Arles poznała kiedyś ojca Charlotte.

- On nie wie o Charlotte, prawda?

- Był żonaty, miał dwoje dzieci, jedno dwunasto-, a drugie dziesięcioletnie, mieszkał w Berlinie - wyjaśniła Marine. - Więc Sylvie nigdy mu nie powiedziała. Nie chciała zaszkodzić jego małżeństwu.

Verlaque prychnął.

- Nie rzucaj kamieniem... - powiedziała Marine.

- Masz rację.

- Twoje dzisiejsze spotkanie bardzo się przeciągnęło.

Verlaque zakaszłał.

- To była strata czasu. A przy okazji, jak było w muzeum Sèvres. Byłem tak zajęty w pociągu, że naprawdę nie udało mi się porozmawiać.

- Listy Agathe Barbier okazały się bardziej interesujące, niż myślałam - odparła Marine. Zauważyła celową zmianę tematu, ale postanowiła nie drażnić. - Chodzi nie tyle o to, o czym opowiadały, ale jak zostały napisane. Naprawdę pięknie pisała.

- To były czasy - westchnął Verlaque. - Pamiętam moją babcię Emmeline, która poświęcała sporą część dnia na pisanie

listów. Ta sztuka odeszła w zapomnienie.

- Nadal mam listy od ciebie - powiedziała Marine, całując go. Pogłaskała go po brzuchu, a on odpowiedział pocałunkiem.

- Pierwszą pocztówkę do ciebie pisałem godzinę. - Uśmiechnął się.

- Z Rzymu.

- Tak, pamiętam kawiarnię, w której ją napisałem. Byłaś taką dobrą partią i tak desperacko pragnąłem zrobić na tobie dobre wrażenie.

Marine uśmiechnęła się, ale w głębi duszy wolałaby usłyszeć co innego niż to, że chciał zrobić na niej dobre wrażenie. Nie była pewna, co by to miało być. Nie umiała ubrać tego w słowa.

Verlaque mówił dalej:

- Nie chciałem tego mówić przy Charlotte, ale pasierb Valère'a przyjechał wczoraj późnym wieczorem z Paryża i zaraz potem zniknął. Prawdopodobnie został porwany. Porywacze zostawili list z żądaniem okupu i zadzwonili rano, domagając się pięćdziesięciu tysięcy euro.

Marine usiadła.

- Co? - zdziwiła się, a Verlaque wprowadził ją w szczegóły. - Czy pasierb to ukartował? - zapytała. - Nigdy nie mieli dobrych relacji.

- Skąd wiesz?

- „Paris Match” - odparła. - W poczekalni mojego lekarza.

Verlaque roześmiał się.

- Bruno i ja też pytaliśmy o to Valère'a, ale on stanowczo twierdził, że Erwan nie potrafiłby przeprowadzić tak skomplikowanego planu. Valère był zdruzgotany.

- Nie dziwię się. Biedny facet.

- Wyglądał jak narkoman albo alkoholik będący od dwóch tygodni na odwyku - opowiadał Verlaque. - Pocił się i drżał. Przyznał, że nie spał w nocy.

- Kolejne historie o duchach?

- Tak. Te zdarzenia są coraz częstsze i bardziej niepokojące.

- Wierzysz mi?

- Coś budzi go w środku nocy - odparł Verlaque. - Potwierdziła to jego gospodyni.

- Sandrine. To dziwne stworzenie. Ale dziwne w dobrym sensie.

Verlaque podniósł do góry wysłużony egzemplarz *Rebekki*.

- To była jedna z ulubionych książek Emmeline. Kiedy we Francji pojawiły się pierwsze odtwarzacze wideo, mój dziadek kupił taki do domu w Normandii, a Emmeline pozwalała nam długo w noc oglądać filmy Hitchcocka.

- Nigdy tej książki nie czytałam. Możesz mi ją w skrócie opowiedzieć? - poprosiła Marine, leżąc na boku i wspierając się na łokciu.

- Bogaty wdowiec, Maxim, poślubia młodą kobietę, którą po przyjeździe do jego posiadłości, Manderley, zaczynają prześladować dziwne wydarzenia, organizowane przez gospodynię, panią Danvers, powszechnie nazywaną Danny, która zrobi wszystko, by pozbyć się młodej żony z domu i doprowadzić do rozstania małżonków.

- Jaki był jej motyw?

- Miłość - wyjaśnił Verlaque. - Albo obsesja. To nie jest pewne. Ona była zakochana w zmarłej żonie.

- W Rebecce.

- Właśnie.

Marine wzięła książkę do ręki i zapytała:

- Czy myślisz, że to Sandrine stoi za nocnymi strachami?

- Nie wiem - odpowiedział Verlaque z namysłem. - Sandrine zamieszkała w dworze nieomal od razu po wprowadzeniu się Valère'a, a to jest...

- Dziwne - wtrąciła się Marine.

- Tak. Prawnik Valère'a jest jej stryjem. Jutro do niego zadzwonię. Fizycznie Sandrine w ogóle nie przypomina Danny, ale niewątpliwie przypomina ją Ursule Genoux.

- Sekretarka Valère'a?

- Tak, wysoka i chuda, bez śladu emocji w głosie. Bardzo smutna kobieta.

- Ale ona jest w Paryżu, a w dworze mieszka Sandrine.

- Tak, trudno byłoby zastosować te triki z mieszkania w ósmej dzielnicy.

- Przeczytałam coś interesującego o Ursule w listach Agathe - powiedziała Marine. - Ursule poleciła do pracy jej młodsza siostra, stara przyjaciółka Agathe. Wszystkie trzy chodziły do liceum Les Loges, a ta siostra, Célestine Parent, jest teraz dyrektorką tej szkoły.

- Niezwykły zbieg okoliczności - zauważył Verlaque. - W kampusie Saint-Germain-en-Laye czy Saint-Denis?

- Saint-Germain - odparła Marine. - W liście jest wzmianka o jakimś „stresującym” wydarzeniu i o tym, że Ursule była inteligentna, szybko pisała na maszynie i potrzebowała pracy. Agathe musiała ją zaakceptować, bo choć w liście nie było jej odpowiedzi, to Ursule została wtedy przyjęta na stanowisko sekretarki, prawda?

- Tak, zaczęła pracę pod koniec lat siedemdziesiątych - chyba w 1979 - potwierdził Verlaque. - To była taka kobieta, po której wręcz spodziewasz się, że jest sekretarką sławnego, bogatego człowieka. Jeżeli to, jaki teraz jest rozpieszczony i nieskory do współpracy, chociaż trochę wskazuje na to, jaki był w czasach, gdy prowadzał się z Rolling Stonesami i Normanem Mailerem, to Ursule Genoux z pewnością umiała sobie z tym radzić.

Odłożył książkę z powrotem na stolik nocny i westchnął.

- Jesteś dziś trochę nie w sosie. Czy ta sprawa tak cię przygnębia?

- Byłem wczoraj w Cannes - odparł szybko Verlaque. - Aby dostarczyć akta z przypadku Agathe Barbier.

- Och, to wyjaśnia, dlaczego tak późno wróciłeś do domu. Był duży ruch? To dlatego jesteś rozdrażniony?

- Przekazałem papiery sędzi śledczej i później zjedliśmy kolację na wzgórzach.

- Rozumiem, że niezbyt dobrze się bawiłeś? - zgadywała Marine.

- Było tak jak za dawnych czasów - odparł Verlaque. - Ale jestem taki szczęśliwy, że się z tobą ożeniłem.

- Och, zapomniałam - powiedziała Marine, patrząc na swoje dłonie. - Nową sędzią jest tam Chantal Sennat. Twoja dawna miłość.

Verlaque skinął głową.

- To spotkanie to był błąd - oznajmił. - Ale chciałem ci o nim powiedzieć.

21

Nowy Jork, 22 września 2010

Tamtego wieczoru Michèle wróciła ze szpitala. Sandrine udało się uruchomić Clochette i odjechała naburmuszona, mówiąc, że odwiedzi siostrę, Josy. Wcześniej przez cały dzień aż biła z niej nerwowość, chodziła wokół domu, gryzła paznokcie i pocierała ręce. Kilka razy pytałem ją, co jest nie tak, ale tylko mruzczyła coś do siebie i dreptała dalej.

Powiedziałem jej, że może wziąć kilka dni wolnego – zasłużyła na to po tym wszystkim, co działo się w domu. Czułem ulgę, że nie będę miał w domu dwóch kobiet jednocześnie, ale nadal uważałem, że Sandrine nie miała nic wspólnego z upadkiem Michèle. Ta ostatnia za dużo wypija i straciła równowagę, a ponieważ była nietrzeźwa, zdawało jej, że ktoś ją popchnął.

Teraz była w zaskakująco dobrej formie. Ale ją zawsze cechował nadmiar energii. Zrobiłem omlety z serem i szynką i zjedliśmy w kuchni. Na twarzy wciąż miała siniaki i z zafascynowaniem odkryłem, że jeden z nich, na czole, przybrał kształt Francji.

– Będziesz się tak gapił? – zapytała, pochłaniając kolację. – O rany, w szpitalu nie dostanie się takiego prostego, dobrego omletu. Dziękuję, Barbier. – Odsunęła talerz na bok i zapaliła papierosa.

– Wolno ci palić? – zapytałem.

Spojrzała na mnie, jakbym był niespełna rozumu. Innymi słowy, tak jak zawsze na mnie patrzyła.

- Oczywiście - wyjaśniła. - Ale rzucam picie.

- Świetnie - odparłem, zbierając talerze i idąc po cygaro.

- Zrobię nam ziołową herbatę.

- Dwa stare pierniki z nas - powiedziała, patrząc, jak wlewam wodę do czajnika. - Zawsze wiedziałam, że skończymy razem.

- Co masz na myśli?

- Wyluzuj - odpowiedziała ze śmiechem. - Chodziło mi tylko o to, że nawet na starość będziemy się przyjaźnić.

- To przeznaczenie - odrzekłem. - Wychowywaliśmy się na tej samej ulicy i oto jesteśmy.

- Ale ty masz La Bastide Blanche.

- Chcesz go? - rzuciłem. - Powtarzasz, jak bardzo podoba ci się fresk przy schodach. Zastanawiam się nad sprzedażą.

- Nie mów - odezwała się, wydmuchując dym ustami. Nie zapytała, dlaczego chcę się pozbyć domu tak szybko, i dopiero po kilku dniach zdałem sobie sprawę, że to było dziwne. Wzruszyła ramionami i dodała: - Nie wiem, czy teraz go chcę. Znasz mnie i moje kaprysy. Szybko mijają. Poza tym mam dom na Kubie. I jest taka włoska wyspa niedaleko Tunezji, która stała się teraz krzykiem mody.

Postawiłem czajnik na stoliku pomiędzy nami i wyjąłem z szafki dwa kubki. W obliczu tego, co się działo w domu przez ostatnich kilka dni, zapomniałem o mojej przyjaciółce ze ściany - o damie w różowej sukni. Usiadłem i spojrzałem na Michèle.

- Gdzie dokładnie widziałaś ten fresk? - chciałem wiedzieć.

- Och, nie pamiętam - odparła, obracając na palcu jeden z wielkich pierścionków, które lubiła nosić. - Pewnie w jakimś czasopiśmie.

- Michèle, dlaczego tu jesteś?

Jej pierścienie zabrzęczały, kiedy plasnęła dłonią w stół.

- Mówiłam ci tamtego wieczoru przed moim wypadkiem.

- Próbowałaś tylko zmusić mnie do napisania razem z tobą książki i straszyłaś jakimś fałszywym dowodem, który rzekomo miałaś. To wszystko mogła usłyszeć Sandrine.

- Nie jest fałszywy - zaprotestowała Michèle, sięgając do swojej jarmarcznej torby od Louisa Vuittona. Ostrożnie wyjęła szarą kopertę i mi ją wręczyła. Otworzyłem ją i wyjąłem kilka spłowiałych kartek zapisanych maszynowym pismem. Kiedy tylko je zobaczyłem, dokładnie wiedziałem, czym były.

- Skąd to masz? - zapytałem ostro.

- Jakie to ma znaczenie? - odparła z szerokim uśmiechem, zabierając mi kartki, zanim miałem szansę zareagować. Wiem, Justinie, nie byłem wystarczająco szybki.

- Więc powiedz mi o twoim pomysle.

- Możemy napisać książkę, wspaniałą książkę.

- Jestem na emeryturze.

- Pisarz nigdy nie przechodzi na emeryturę - naciskała.

- Skończyłem z pisaniem fikcji - wyjaśniłem. - Jeżeli cokolwiek napiszę, będzie to literatura faktu.

- Twoje wspomnienia? - prychnęła. - Jak jakaś gwiazda filmowa albo zawodowy sportowiec...

- To wspaniałe gatunek.

- To wojeryzm.

- Zabawne, że ty to mówisz - skomentowałem. - Zarobiłaś miliony, sprzedając romanse.

- Dziesiątki milionów - poprawiła. - Ale nigdy nie pisałam poważnej literatury. Takiej, którą czyta się w szkołach, tak jak twoją.

- A co cię powstrzymuje? - zapytałem, dopijając herbatę.

- Valère, przecież wiesz, że nie zrobię tego sama. Mam pomysły - powiedziała, klepiąc się z boku głowy - ale nie mam

poezji. Do tego potrzebuję ciebie.

Poklepałem się po głowie, naśladowując jej gest.

- Tam już wszystko wyschło.

- Nie wierzę - skwitowała. - Jesteś po prostu leniwy.

- Co mógłbym z tego mieć?

- Znowu znalazłbyś się w świetle reflektorów - odpowiedziała.

- Bylibyśmy współautorami?

- Dlaczego nie? - rzekła. - Wspólne przedsięwzięcie dwojga starych przyjaciół.

- To jeden z twoich najbardziej szalonych pomysłów - skomentowałem, wstając i zabierając swój kubek. Pozostawiłem cygaro, żeby się wypaliło. - No cóż, ten leniwy chłopak idzie spać.

Byłem tak zmęczony, że nie dbałem o to, czy duchy będą tej nocy grzechotały po całym domu. Miałem pewność, że prześpię każdy dźwięk, jaki spowodują. Niech obudzą Michèle.

Wstałem i przeszedłem przez kuchnię w stronę drzwi. Michèle nadal siedziała przy stoliku.

- Lub jeśli wolisz - odezwała się, zwracając do mnie twarz - możesz być cichym współnikiem. Ghostwriterem. Śpij dobrze, Valère. - Potem mrugnęła okiem, ciesząc się władzą, jaką nade mną miała.

22

Aix-en-Provence, niedziela 11 lipca 2010

Verlaque zamówił *café crème*, wyjął z koszyka miękkiego croissanta i odgryzł kęs, zmiatając okruszki papierową serwetką. Zobaczył Brunona Paulika, który wchodził przez obrotowe drzwi Café Mazarin, i pomachał do niego.

- *Salut* - rzekł Verlaque, wstał i uściśnił dłoń komisarza. - Dziękuję, że przyszedłeś w niedzielę.

- Dzień dobry - przywitał się Paulik.

Zamówił taką samą kawę jak jego szef i usiadł.

- Croissanta? - zaproponował Verlaque. Przesunął koszyk w stronę Paulika.

- Nie, dziękuję. Zjadłem już z moimi dziewczynami.

Verlaque wyglądał na zakłopotanego.

- Ale chyba możesz zjeść jednego croissanta, prawda?

- Staram się uważać. - Paulik roześmiał się i pogłaskał po brzuchu. - Rano wpadłem na Valère'a przy skrzynce na listy. Myśli o sprzedaniu *bastide*.

- Dopiero co się wprowadził...

- Tak, to wygląda na pochoptą decyzję - zgodził się Paulik. - Rozmawialiśmy z Hélène... A co, jeśli ktoś próbuje go zastraszyć i zmusić do sprzedaży?

Verlaque skinął głową, myśląc o książce leżącej na stoliku nocnym.

- Też o tym myślałam. Masz jakieś pomysły? Sandrine?
- Nie wiem, co mogłaby zyskać - rzekł Paulik.
- Prawda. Na pewno straciłaby pracę.
- A wczoraj sprawiała wrażenie szczerze zmartwionej.
- Zgadzam się - przytaknął Verlaque. - Tak czy siak, kiedy wrócę do biura, zadzwonię do jej stryja. Bo co my właściwie wiemy o Sandrine Matton?

Paulik wzruszył ramionami.

- Oczywiście - powiedział. - Ale ja myślę, że jest nieszkodliwa. Po prostu spięta. Hélène ma taką kuzynkę.

- Myślisz? - rzekł Verlaque z uśmiechem. - W naszej pracy nie możemy kierować się przeczuciami.

- Ale uczymy się dobrze rozpoznawać, kiedy ktoś mówi prawdę - odparł Paulik. - Chociaż, jak sądzę, zawsze można nas oszukać.

Verlaque skończył swojego croissanta i wierzchem dłoni starannie zgranał okruszki.

- Winorośle na ziemi Valère'a warte są prawie tyle samo co dom. Czy są jacyś producenci win, którym by na nich zależało?

- Tacy jak Hélène? - zapytał Paulik, wyraźnie poirytowany. - Żaden miejscowy winiarz nie mógłby sobie pozwolić na zakup tej nieruchomości. My też nie.

- Porwanie Erwana - jakieś tropy?

- Jedyne porwanie w Aix miało miejsce dziesięć lat temu - odparł Paulik. - Trzej porywacze nadal są w więzieniu, ale skierowałem dwoje inspektorów do szukania w kartotekach przestępców mieszkających pomiędzy Aix i Var. Wczoraj wieczorem poszedłem do miejscowego baru i dowiedziałem się, kto był tam przedwczoraj - dwaj starsi jegomoście, barman, stały bywalec, o którym wszyscy mówią, że tylko siedzi w kącie i śpi - mogę potwierdzić, że właśnie to robił wczoraj wieczorem

- i dwóch braci lub kuzynów o nazwisku Pioger. Chociaż nie ma pewności, że Piogerowie byli tam, kiedy wszedł Erwan.

- Piogerowie? - zainteresował się Verlaque. - Jean-Claude Auvieux mówił mi o nich. To kuzyni i ich obecność nie wróży nic dobrego. Mieszkają nad starym sklepem...

- Sklepem żelaznym.

- Właśnie. Zaczniemy od nich, dobrze? - powiedział Verlaque, sięgając do kieszeni po swój portfel. - Kupię ci kawę.

- Dzięki - rzekł Paulik i się podniósł. - Następnym razem moja kolej.

- Ostatnie pytanie. Który bar? Des Touristes? La Boule d'Or?

- Bar des Sports - odparł Paulik.

- A niech to! Miałem nadzieję, że to był Le Bar du XXème Siècle. To moja ulubiona nazwa.

Kiedy Verlaque dotarł do biura, zadzwonił do Guillaume'a Mattona.

- *Âllo* - odezwał się Matton.

- *Bonjour, maître Matton* - zaczął Verlaque. - Tu Antoine Verlaque, sędzia śledczy z Aix-en-Provence. Dziękuję, że pan odebrał.

- Mam nadzieję, że z Valère'em wszystko w porządku. Od jakiegoś czasu nie mam od niego wieści.

- M. Barbier czuje się dobrze. Ale zaginął jego pasierb, Erwan. Znaleźliśmy list z żądaniem okupu, M. Barbier odebrał też jeden telefon w tej sprawie.

- Co takiego? Czy Erwanowi nic nie jest?

- Jak dotąd nie - odparł Verlaque. - Dzwonili wczoraj i Erwan mógł porozmawiać z M. Barbierem.

- Do diabła, ten Erwan - rzekł Matton. - Ile żądają?

- Pięćdziesiąt tysięcy euro. - Verlaque słyszał oddech prawnika.

- To niedużo - powiedział w końcu Matton.

- Tak, niedużo - zgodził się Verlaque.

- Robota amatorów?

- Prawdopodobnie. Czy coś takiego kiedykolwiek zdarzyło się M. Barbierowi?

- Nie. Czuję się częściowo odpowiedzialny. Zachęcałem go do kupna tego domu i przypuszczam, że tam jest bardziej... na widoku. W wielkim mieście łatwiej się ukryć. Ale przynajmniej mam pewność, że moja bratanica, Sandrine, mu towarzyszy - odparł Matton.

- Jest dla niego wielką pomocą - powiedział Verlaque.

- Doskonale. To ja ją poleciłem. Przynajmniej to zrobiłem dobrze. Trochę się martwiłem, że Sandrine będzie pracowała w Puyloubier, ale teraz się cieszę, że pomaga Valère'owi.

- Martwił się pan? Dlaczego?

Prawnik znowu na chwilę zamilkł, po czym odpowiedział:

- Jej dawny chłopak mieszka w Puyloubier - jakby w Prowansji nie było innych wiosek.

- Naprawdę? - zdziwił się Verlaque.

- Przepadam za Sandrine - mówił dalej Matton - ale zawsze miała zły gust, jeśli chodzi o mężczyzn, i ciężko przeżywała rozstania.

- Jak się nazywa ten eks? - Wziął do ręki ołówek i trzymał go nad notatnikiem, ale już wiedział, jakie to będzie nazwisko.

- Pioger - odparł Matton. - Hervé, jeśli dobrze pamiętam. Pan jest sędzią - a nuż Sandrine pana posłucha. Może i jestem doświadczonym prawnikiem, ale ona widzi we mnie tylko osobliwego stryjka z miasta, który o niczym nie ma pojęcia.

* * *

Po długim szukaniu wymówek Sylvie zgodziła się umówić z Marine na lunch w Mazarin. Idąc w dół rue Fabrot, Marine zorientowała się, że ma jeszcze dziesięć minut. Spontanicznie

przeszła więc przez automatyczne drzwi do klimatyzowanej Sephory. Rzadko kupowała produkty do makijażu, ale lubiła zaopatrywać się w kremy do twarzy i pomadki. Zimny podmuch sprawił, że skrzyżowała ręce na piersiach, ale wiedziała, że za kilka minut przywyknie do tej nienaturalnej temperatury. Ten sklep był wyjątkowy, przychodziła tu od lat. Gotyckie sklepienia nad jej głową pochodziły z czternastego wieku, a budynek w poprzednim życiu pełnił funkcję kaplicy klasztoru des Grands-Carmes. Strzeliste wnętrze mieściło też antresolę, na której często bawiła się z Charlotte klockami Lego, podczas gdy Sylvie przechadzała się dookoła sklepu, wypełniając metalowy koszyk kremami i perfumami. Rzeźbiona głowa anioła, z zamyśloną twarzą i wydrążonymi oczyma, przyglądała się kupującym. „Średniowieczny ochroniarz” – pomyślała Marine i wybrała jasnoróżową pomadkę. Zastanawiała się nad sekretami i historiami kobiet, chronionymi i ukrywanymi przez te stare ściany. Nawet teraz wśród klienteli i obsługi przeważały kobiety, z których każda miała swoje tajemnice, radości i bolączki. Marine skierowała się w stronę *caissier*, kiedy młoda ekspedientka w czarno-białym mundurku Sephory lekko pociągnęła ją za rękaw.

- Przepraszam, *mademoiselle* – odezwała się.

Marine odwróciła się, w pierwszej chwili poirytowana, ponieważ nie potrzebowała i nie szukała pomocy, ale gdy zobaczyła za sobą ekspedientkę, która musiała być jeszcze nastolatką, uśmiechnęła się i zapytała:

- Tak?

- Muszę pani powiedzieć, że gdyby pani włosy były bardziej rude, a pani była trochę niższa, wyglądałaby pani jak bliźniaczka Isabelle Huppert.

Ucieszona komplementem Marine podziękowała dziewczynie.

- I z pani piękną, jasną i piegowatą cerą - mówiła dalej sprzedawczyni - proszę nie zapominać o kremie z filtrem.

Marine podziękowała raz jeszcze - wiedziała, że to nie chwyt reklamowy, tylko uprzejma rada. Zapłaciła za pomadkę i wyszła na południową gorączkę. Od razu skręciła w cours Mirabeau i kluczyła pomiędzy hordami miejscowych i turystów, by dojść do Mazarin, znajdujące się kilka drzwi dalej.

- *Salut*, Marine - powitał ją Frédéric, kiedy wchodziła przez obrotowe drzwi kawiarni. Wprawdzie nie było tu klimatyzacji, ale i tak panowała temperatura o kilka stopni niższa niż na zewnątrz, na zatłoczonym tarasie. - Sylvie już czeka na górze - poinformował ją, po czym krzyżąc, przekazał barmanowi zamówienie na trzy kieliszki *rosé*.

- Dziękuję, Frédéric! - powiedziała Marine i poszła w górę wyściełanych wykładziną schodów.

Kiedy usiadła przy stoliku, Sylvie uniosła lewą brew. Zobaczyła małą, czarno-czerwoną torebkę Sephory i zapytała:

- Zakupy?

- Szminka - wyjaśniła Marine.

- Zobaczymy.

Marine wyjęła szminkę i pomalowała usta.

- Delikatna - oceniła Sylvie. - Pasuje do ciebie.

Podszedł inny kelner, by przyjąć ich zamówienie. Ze względu na upał obie kobiety wybrały sałatkę.

- Jakie to banalne, typowe - stwierdziła Marine, uśmiechając się do kelnera, któremu właśnie oddawała menu - zamawiać w restauracji sałatkę.

Kelner skinął głową i odszedł, a Sylvie się odezwała:

- Czy na górze nadal jest ten stolik z klockami Lego?

- Nie wchodziłam tam - odparła Marine - ale mam nadzieję, że tak.

- Dużo myślę o czasie, kiedy Charlotte była mała - powiedziała Sylvie, opierając łokcie na stole i chowając brode w dłoniach.

- Jeśli chodzi o Charlotte... Martwię się...

Sylvie uniosła dłoń.

- Wiem, wiem. To nie w porządku z mojej strony, że pozostawiłam ciebie i Antoine'a w nieświadomości, nie wyjaśniłam, co się dzieje.

- Bardzo często cię nie było - odpowiedziała Marine. - Ale chcę, żebyś wiedziała, że uwielbiam spędzać czas z Charlotte i że ci ufam. Wiem, że istnieje jakiś sensowny powód tego wszystkiego.

Sylvie sięgnęła ręką przez stół i uściśnęła dłoń przyjaciółki.

- To takie szczęście, że cię mam - powiedziała. - Los teraz tak bardzo mi sprzyja.

Wrócił kelner i postawił przed kobietami *salades niçoises*.

Marine podniosła widelec.

- Mów dalej.

- Widzisz, na sympozjum fotograficznym w Arles...

- Wiedziałam. Spotkałaś kogoś.

- Spotkałam ponownie.

Marine wpatrzyła się w twarz Sylvie.

- Nie chcesz chyba powiedzieć...?

- Chcę - odparła Sylvie. - I jestem taka szczęśliwa - szalenie zakochana. I Wolfgang też.

- Ale on jest żonaty.

Sylvie potrząsnęła głową.

- Rozwiedziony, od trzech lat. Kiedy mieliśmy romans, Wolfgang nie był szczęśliwy ze swoją żoną, ale ich dzieci były jeszcze bardzo małe. Teraz wyprowadziły się już z domu, starszy studiuje inżynierię na uniwersytecie w Kolonii, a młodsza kształci się na położną w Kopenhadze. Więc

Wolfgang i jego żona po przyjacielsku się rozwiedli. On mi powiedział, że przez dwa lata myślał, by się ze mną skontaktować, ale wreszcie uznał, że zostawi to przypadkowi.

Marine uśmiechnęła się, ale zachowała dla siebie konstatację, że ich spotkanie - wziętych europejskich fotografików - było tylko kwestią czasu. Kiedyś widziała prace Wolfganga na wystawie w Paryżu i dziwiła się, że nie wpadli na siebie wcześniej.

- Czy on wie...?

- Mam zamiar dzisiaj mu powiedzieć.

- Sylvie!

- Obiecuję!

- A Charlotte?

- Chciałabym, żebyś ze mną była, kiedy jej powiem - rzekła Sylvie.

- Nie sądzę, aby to było konieczne...

- Proszę, Marine. Będę całkiem w rozsypce. Wiesz, że będę.

Marine przypomniała sobie jedną ze swoich pierwszych wizyt u Sylvie, kiedy Charlotte jeszcze nie było na świecie. Sylvie otworzyła drzwi cała we łzach. Okazało się, że na jednym z wysokich świerków za tarasem mieszkania utknął kot, na tyle daleko, że nie dało się go zdjąć. Sylvie płakała już od dwóch dni, doprowadzając do rozpaczyny wszystkich, którzy dzielili z nią dziedziniec. Wizyta skończyła się na tym, że obie chodziły wokół tarasu, Sylvie płakała, Marine wołała kota. Wreszcie wezwały straż pożarną.

- Dobrze - rzekła Marine. - Kiedy?

- Dzisiaj wieczorem?

- Przyjdę przed kolacją.

23

Aix-en-Provence, niedziela 11 lipca 2010

Niezależnie od tego, ile razy przejechał już swoim zdezelowanym, zielonym range roverem w dół *route nationale* 7 w kierunku Puyloubier, Bruno Paulik nigdy nie znużył się rozciągającym się przed nim widokiem. Kochał go o każdej porze roku, ale zwłaszcza teraz, w lecie, kiedy neonowo zielone liście winorośli kontrastowały z czerwoną ziemią, tak uwielbianą przez Cézanne'a. Jesienią winorośle zmieniały kolor - najpierw na żółty, potem na pomarańczowy, wreszcie na czerwony, ale ciemniejszy, bogatszy niż barwa gleby. W oddali majaczyła mont Sainte-Victoire z białego piaskowca, która stawała się coraz większa, w miarę jak oddalał się od Aix. Kiedy po raz pierwszy odwiedzili farmę, jeszcze zanim ją kupili, Léa zakryła oczy rękoma i zawołała:

- Ta góra zaraz na nas spadnie!

Paulik zaparkował przed wąskim wiejskim domem, który, jak wiedział, należał do Gastona. Świeżo odmalowane na zielono drzwi ocieniała przepiękna wisteria, która kwitła przez kilka tygodni wczesną wiosną. Wiszące w oknach kuchennych czyste, białe, koronkowe firanki wskazywały na to, że w domu jest kobieta. Zapukał, posługując się mosiężną kołatką, i po chwili drzwi otworzyły się, ukazując Gastona w kuchennym fartuchu.

- *Ah, monsieur le commissaire* - powiedział Gaston, usuwając się na bok. - *Entrez.*

Paulik skinął głową i wszedł do środka. Zupełnie nie zdziwiło go to, że Gaston znał jego zawód. Wiadomość, że jest policjantem, prawdopodobnie rozniosła się we wsi, jeszcze zanim on i Hélène podpisali akt notarialny zakupu domu. To wyjaśniało, dlaczego kuzyni Pioger tak się przyczaili i dlaczego nic nie wiedział o ich istnieniu, dopóki nie opowiedział mu o nich Thomas.

- Coś ładnie pachnie - stwierdził Paulik, idąc wąskim korytarzem na tyły domu, gdzie, jak sobie wyobrażał, musiała się znajdować kuchnia. Wiejskie domy tego typu miały zazwyczaj podobny rozkład pomieszczeń.

- *Lapin* - odparł Gaston, gestem wskazując Paulikowi, by usiadł przy wypolerowanym, drewnianym stole.

Paulik spodziewał się, że w nieskazitelnej kuchni zobaczy żonę gospodarza, ale wtedy przypomniał sobie, że Gaston ma na sobie fartuch.

- Robi pan królika z białym winem? - zapytał.

- I oliwkami. Tak robiła moja ukochana Mathilde.

- Jest pan wdowcem?

Gaston skinął głową.

- Mathilde zmarła cztery lata temu. Ale czy to oznacza, że mam żyć w brudzie i jeść byle co?

- Raczej nie - zgodził się z nim Paulik.

- Nie tak jak stary Marcel - mówił dalej Gaston, idąc w stronę zabytkowego kredensu. Paulik uśmiechnął się. Uwielbiał, gdy starsi ludzie, tacy jak jego rodzice, określali inne osoby w swoim wieku jako „stare”. - Żyje jak świnia.

- To pański kompan z baru?

Gaston skinął głową, otwierając szafkę.

- *Un petit verre?*

- Z przyjemnością - odparł Paulik.

Rozejrzał się po kuchni, równie czystej i uporządkowanej jak front domu. Zdał sobie sprawę, że Gaston często bywał w Barze des Sports nie dlatego, że cierpiał na depresję czy był alkoholikiem, ale dlatego, że szukał towarzystwa.

Dużymi drżącymi rękoma Gaston wyjął pozbawioną etykiety butelkę i dwa małe kieliszki do mocnych trunków. Podszedł do stołu i postawił je, mrugając okiem.

- Troszkę eliksiru.

- Doskonale - rzekł Paulik, podniósł butelkę i przyglądał się przejrzystemu napojowi. - Pan sam go zrobił?

- Oczywiście - odparł gospodarz. - Zwykle robiła to Mathilde, ale teraz, kiedy... - Przerwał i nalał alkohol.

- Co pan robił przed emeryturą?

- Pracowałem na kolei.

- A jak długo jest pan na emeryturze?

- Od 1979.

Paulik zakasłał, zaskoczony, że ten żywotny mężczyzna, który przed nim stoi, jest dużo starszy, niż myślał.

- Mówi pan poważnie? Ja wtedy chodziłem do gimnazjum!

- W tamtych czasach, jeśli pracowało się dla SNCF⁸, szło się na emeryturę w wieku pięćdziesięciu pięciu lat. Teraz mam osiemdziesiąt sześć.

- Gratulacje. - Paulik uśmiechnął się, trzymając delikatny, kryształowy kieliszek i wznosząc toast po części za długą emeryturę gospodarza, ale także za to, że starszy pan wyglądał, jakby dopiero co skończył siedemdziesiątkę. Paulik upił łyk i spojrzał na Gastona. - Pyszne. - Upił drugi łyk i, wachając trunek, powiedział: - Nie mogę rozpoznać smaku. Czuję trochę cynamonu...

- *Angélique* - odparł Gaston.

- Ach - rzekł Paulik, odstawiając kieliszek. - Moja córka uwielbia ten kwiat. Któregoś dnia powiedziała mi, że wszystkie

kwiaty powinny być białe.

- Jest ich tutaj dużo, ale Mathilde pochodziła z Górnej Prowansji, gdzie rośnie ich nawet więcej. Nazywała to nalewką mnichów.

- A pan jest z Puyloubier?

- Urodziłem się w tym domu - potwierdził.

- Chciałem zadać panu kilka pytań dotyczących wioski.

- Tak myślałem.

- A zwłaszcza La Bastide Blanche - mówił dalej Paulik.

Gaston zagwizdał.

- Kiedy byliśmy dziećmi w wiejskiej szkole, śpiewaliśmy piosenkę o *bastide*. *Le fou qui va à la Bastide Blanche, va avoir une vie de turbulence!*

- Czy dwór już wtedy stał pusty?

- O tak. Pewnego roku, gdy miałem sześć czy siedem lat, zdecydowałem się tam pójść i wreszcie zobaczyć to miejsce - opowiadał Gaston. - Doszedłem do połowy ścieżki prowadzącej do *bastide*, kiedy dogoniła mnie moja matka. To był jedyny raz, gdy podniosła na mnie rękę. - Dla lepszego efektu potarł się po pośladku. - Wciąż to czuję.

- Co dokładnie wydarzyło się w *bastide*? - zapytał Paulik.

Gaston skrzywił się i zakorkował butelkę.

- Nie mnie o tym opowiadać...

Paulik postanowił spróbować innej taktyki:

- Mogę iść i zapytać Marcela...

- Tego starego pierdołę! - zawołał Gaston, wyjmując korek z butelki i ponownie napełniając kieliszki. - Nie ufam mu za grosz.

Paulik uśmiechnął się - dawno nie słyszał tego wyrażenia. Szączył swój likier z dzięgielu i czekał. Gaston upił łyk i zaczął:

- *Bastide* został zbudowany w 1660 przez szlachcica o nazwisku de Besse, który zmarł zaledwie kilka lat po

ukończeniu budynku. Dwór odziedziczył jego syn. Mieszkał tu z rodziną, dwoma synami i trzema córkami, jak mi się zdaje. Następnie, na początku XX wieku *bastide* przeszedł na jego najstarszego potomka - Hugues'a de Besse. *Le Monstre Hugues*.

- *Ah bon?*

- Bez wątpienia słyssał pan wszystko o markizie de Sade i o tym, co się wyprawiało w jego *château* w Lacoste?

- Wychowałem się na farmie w Ansious.

- To tylko kawałek drogi od Lacoste - powiedział Gaston. - Hugues był gorszy od Sade'a. A przynajmniej tak mówią.

- Ale on od dawna nie żyje - zauważył Paulik. - Dlaczego dom był zamknięty i wszyscy, nawet pańska matka, bali się tego miejsca?

- Duchy - odparł Gaston otwarcie. - Płaczące duchy tych biednych dziewcząt - służących z Aix i z okolic - które spełniały seksualne fantazje Hugues'a, oraz ich niechcianych dzieci, pogrzebanych w piwnicy.

Paulik wzdrygnął się.

- Czy wszyscy tutaj wiedzą o duchach? - Pomyślał o kuzynach Pioger i innych mieszkańcach wioski, którzy być może chcieli przestraszyć Valère'a.

- Och, oczywiście, wszyscy wiedzą. Przynajmniej ci, którzy mają więcej niż dwadzieścia lat i tutaj się urodzili. Ale teraz Puylobier stało się tak zwaną sypialnią dla Aix. Jest sporo nietutejszych.

Spojrzał na Paulika i uniósł brew. Paulik wiedział, że choć z urodzenia był Prowansalczykiem, także został zaliczony do tej kategorii.

- Nie każdy obawia się tego domu - mówił dalej Paulik. -

Nowy właściciel mówił mi, że kiedy go kupił, ściany były popisane przez miejscowych nastolatków.

Gaston wzruszył ramionami.

- Są młodzi i głupi.

Paulik wypił ostatni łyk trunku, czując przyjemne ciepło rozlewające się po całym ciele.

- Wie pan co, moja córka Léa, która ma jedenaście lat, dziwnie się w tym domu poczuła, ale to nie był łyk.

Gaston skinął głową.

- Jest kilkoro miejscowych, którzy mówili to samo. Kiedy byłem w szkole średniej, banda moich kolegów i koleżanek z klasy chodziła do *bastide*, próbowali straszyć się nawzajem. Była wśród nich ta słodka dziewczyna, Jeanne, która później została zakonnica - nie widziałem jej od lat. Włamali się tam któreś nocy i przez jakieś dziesięć minut biegali od pokoju do pokoju, potem wyszli, zupełnie rozgorączkowani. Ale będąc już na zewnątrz, zauważyli, że nie ma z nimi Jeanne. Dwóch chłopaków na ochotnika wróciło do środka, żeby ją odszukać. Potem całymi tygodniami się tym chwalili. Znaleźli ją na strychu, siedziała bez ruchu na podłodze. Twierdzili, że przez dobre kilkanaście minut starali się, by ich usłyszała i wstała. Później mówiła każdemu, że się nie bała, raczej czuła ciepło. Tak właśnie to opisała. Ciepło.

- Pan nigdy tam nie poszedł?

- Nie, proszę pana - odparł Gaston. - Nie po cięgach, jakie zebrałem. Nie byłem taki głupi.

Przypisy:

⁸ Société nationale des chemins de fer français - francuski państwowy przewoźnik kolejowy (przyp. tłum.).

Aix-en-Provence, niedziela 11 lipca 2010

Inspektorzy Goulin i Schoelcher zaparkowali nieoznaczony samochód przed frontem zabitego deskami sklepu żelaznego w Puyloubier. Obiekt, niegdyś jedna z atrakcji wioski, wraz z *boulangerie*, *boucherie* i *cave coopérative*, wyglądał na zamknięty od długiego czasu. Nadal miał witrynę sklepową z oblażącymi z farby drewnianymi okiennicami. Inspektorzy otrzymali od Verlaque'a informacje o kuzynach Pioger, ale ponieważ nie posiadali nakazu, mieli po prostu obserwować drzwi wejściowe do mieszkania i czekać na pojawienie się Didiera bądź Hervégo. Zdjęcia kuzynów dało się zdobyć bez trudu, bo obaj byli notowani.

- Nie możemy tu zbyt długo zostać - powiedziała Sophie do swojego partnera, Jules'a. - Obserwować mieszkanie w Aix, gdzie ludzie wciąż wchodzą i wychodzą, to jedno, ale tutaj... jesteśmy na wsi. Wszyscy się znają.

Jules wzruszył ramionami, nie odwracając wzroku od chodnika po jednej i po drugiej stronie ich auta.

- Może nie - odparł. - Wioski takie jak Puyloubier są pełne nowych mieszkańców, którzy dojeżdżają codziennie do Aix. Z kolei latem wypełniają się turystami. - Rozłożył mapę na desce rozdzielczej, żeby oni także wyglądali na urlopowiczów.

- Jakiś miejscowy pewnie zapyta nas, czy potrzebujemy pomocy - stwierdziła Sophie.

- Wątpię - odparł Jules. - Nie jesteśmy w Alzacji.

Sophie uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Jules Schoelcher był Alzaczkiem i kiedy po raz pierwszy pojawił się w ich oddziale, koledzy droczyli się z nim z powodu jego wyprasowanych dżinsów i skrupulatności w pracy.

- Spójrz - rzekła Sophie. - Ten starszy gość po drugiej stronie ulicy. Wyraźnie zwalnia przed drzwiami wejściowymi.

- Na górze nie może być dwóch mieszkań - stwierdził Jules.
- Budynek jest zbyt mały.

- On ma klucz - zauważyła Sophie. Przekrzywiła głowę, by lepiej widzieć. - Wchodzi...

- Odczekajmy pięć minut.

Po trzech Sophie spojrzała na zegarek i powiedziała:

- To mi się trochę nie podoba.

- Masz rację - odparł Jules, otwierając swoje drzwi. - Nie możemy zostawić go tam samego. Chodźmy.

- Jesteśmy z Partii Zielonych - szepnęła Sophie, kiedy przechodzili przez jezdnię. - Przygotowałam listę z fałszywymi podpisami.

- Rozumiem.

Starszy człowiek zostawił drzwi od ulicy otwarte i policjanci pobiegli po schodach na górę. Jules Schoelcher zapukał do drzwi. Usłyszeli jęki i spojrzeli po sobie.

- Wchodzimy - zdecydowała Sophie.

- *Állo!* - zawołał Jules, otwierając drzwi. - Czy wszystko w porządku?

Weszli do pokoju dziennego, umeblowanego relikdami z lat siedemdziesiątych, do których zaliczała się też tapeta w żółto-pomarańczową kratę.

- *O mon dieu* - biadolił głos w kuchni, a gdy tam weszli, starszy człowiek siedział przy laminowanym stoliku z głową opartą na dłoniach.

- Proszę pana - odezwała się Sophie Goulin. Podeszła i położyła mu rękę na ramieniu. - Dobrze się pan czuje?

- Zmyli się - odparł, patrząc na nią. - A są mi winni czynsz za trzy miesiące.

Sophie i Jules wymienili spojrzenia.

- Kuzyni Pioger? - zapytał Jules.

- *Mais oui!* - odpowiedział mężczyzna ze złością, jak gdyby Jules powinien wiedzieć, kto wynajmuje to mieszkanie.

- Być może uda nam się panu pomóc, *monsieur...*?

- Cheneau - odparł mężczyzna. - Marcel Cheneau.

- Jest pan pewny, że się wyprowadzili? - zapytała Sophie, rozglądając się po brudnej kuchni.

- Zniknęły ich ubrania i papiery - oznajmił Cheneau. - I ich wymyślne stereo. - Spojrzał na Sophie i zapytał: - A tak w ogóle, to kim jesteście?

- Inspektorami policji - odparła Sophie. - Z Aix.

- Wiedzieliście, że Piogerowie wystawili mnie do wiatru? Jakim sposobem wiedzieliście to wcześniej niż ja?

- Wysłał nas tutaj sędzia śledczy z Aix - wyjaśnił Jules, siadając przy stole. - W innej sprawie. Porwania w Bastide Blanche.

Marcel Cheneau wpatrywał się w Schoelchera szeroko otwartymi oczyma.

- Co pan mówi? I myślicie, że zrobili to Piogerowie?

- Nie jesteśmy pewni - odparł Jules. - Kiedy widział ich pan po raz ostatni?

Cheneau wzruszył ramionami.

- Chyba dwa dni temu, w barze. Byłem tam z moim kumplem, Gastonem. Wypiliśmy kilka piw, a potem zamówiliśmy pizzę.

- Czy do baru wszedł jakiś paryżanin i pytał o drogę do *bastide*? - zapytała Sophie.

- Komisarz już mnie o to pytał - odrzekł Cheneau. - Wczoraj, w barze. Odpowiedziałem, że tak.

- Czy bracia Pioger też tam byli? - chciał wiedzieć Jules.

- Nie mnie o tym mówić.

- Czy chce pan odzyskać swój czynsz?

Cheneau westchnął.

- Tak, byli tam. I wyszli wkrótce potem, jak zobaczyli tego osobliwego paryżanina.

- Ma pan jakiś pomysł na to, dokąd mogli się udać? - zapytała Sophie. - Proszę się nie martwić, M. Cheneau. Będziemy pana chronić.

Mężczyzna skinął głową i wymruczał:

- Chyba tak. Do Riviery.

- Na wybrzeżu? - zapytał Jules.

- Nie, nie - odparł Marcel, potrząsając głową. - Myśliwska chata w lesie. Nazywa się Riviera, bo, no cóż, z tyłu ma widok na strumień.

* * *

Było prawie południe, tuż przed niedzielnym lunchem - godziną szczytu w *cave coopérative* w Rians. Zamkną go punktualnie o dwunastej trzydzieści i otworzą ponownie dopiero we wtorek. Różnorodność tablic rejestracyjnych na parkingu dorównywała tej w lecie, samochody z Holandii i Niemiec, a nawet angielskie, z kierownicą po prawej stronie i opuszczanym dachem, stały zaparkowane obok samochodów osobowych i małych furgonetek zarówno z Bouches-du-Rhône, jak i Var - dwóch departamentów, na których granicy leży Rians. Trzy inne samochody, citroëny, wszystkie ciemnoszare, ustawiono jeden obok drugiego na dalszym krańcu parkingu. Bruno Paulik rozłożył dokładną mapę okolicy na masce jednego z nich i wygładził ją brzegiem dłoni. Wskazał na cienką białą drogę i powiedział:

- Chata myśliwska znajduje się osiem kilometrów na północny wschód od Rians, trzeba do niej zjechać z drogi D70. M. Cheneau powiedział, że nie ma tam kierunkowskazu, ale że dokładnie dwa kilometry i dwieście metrów na północ od Esparron droga skręca i zaraz za zakrętem, po prawej stronie zaczyna się polna ścieżka oznaczona tabliczką „*privé*” przybitą do drzewa oliwnego. Chata jest około kilometra w dół tej drogi.

- Czy to jedyny dojazd do tego miejsca?

- Według M. Cheneau - tak - odparła Sophie.

- Zaparkujmy przy D70, żeby nie wzbudzać podejrzeń - instruował podwładnych Paulik. - Spotkamy się przy drzewie oliwnym i pójdziemy polną drogą parami. Ci, którzy są w mundurach, mogą okrążyć chatę, a inspektor Goulin i ja podejdziemy do budynku i udamy, że się zgubiliśmy, wędrując po okolicy.

Sophie Goulin spojrzała w dół na swoje szorty, zadowolona, że wybrała je na dziś zamiast długich spodni. Temperatura już dochodziła do trzydziestu stopni, poza tym w szortach wyglądała jak turystka. Zerknęła na szefa, który miał na sobie okulary słoneczne i słomkowy kapelusz i starał się nie uśmiechać. Prawie go takiego nie rozpoznawała, więc wiedziała, że bracia Pioger także go nie zdemaskują.

Dziesięć minut później samochody stały już zaparkowane chaotycznie wzdłuż wąskiej drogi. Jules Schoelcher miał zostać przy drzewie oliwnym, z telefonem przygotowanym na wypadek, gdyby trzeba było zaalarmować innych. Usiadł na kamieniu, wyjął mapę i udawał, że ją czyta. Inni skierowali się w głąb lasu. Gdyby ktokolwiek się zatrzymał, żeby z nim porozmawiać, miał odpowiadać z niemieckim akcentem - co nie było niczym trudnym dla kogoś, kto urodził się w Colmarze i nadal rozmawiał po niemiecku z rodzicami - i mówić, że chce dojechać do Gréoux-les-Bains bocznymi drogami. Miał też twierdzić, że pożyczył samochód od przyjaciela z Marsylii.

Serce Sophie łomotało, kiedy szła pełną drogą obok swojego szefa. Przeczytała kartotekę kuzynów Pioger i wiedziała, że są agresywni i nieprzewidywalni. Skupiła myśli, żeby las nie odwracał jej uwagi od zadania, które mieli wykonać, wychowała się na wsi i wiedziała, że jaszczurki robiły zaskakująco dużo hałasu, kiedy śmigały wśród roślinności to w jedną, to w drugą stronę.

Szli prawie dwadzieścia minut, kiedy ich oczom ukazała się chata.

- Nie zatrzymuj się - szepnął Paulik i zmierzali dalej, chociaż nieco wolniej. Próbowwała się nie uśmiechać na myśl o nazwie La Riviera. To oczywisty żart, bo drewniana budowla miała dach sklecony z blachy falistej i przechylała się na jedną stronę tak, jakby można ją było zburzyć kichnięciem. Sophie, jak mogła, starała się przypominać zagubioną turystkę - kogoś, kto nie ma pojęcia, co czai się w środku tego budynku. Niewiniątko. Zauważyła, że komisarz musiał myśleć to samo, bo ujął ją za rękę, tak jakby była jego dziewczyną lub żoną.

Nagle drzwi chaty otworzyły się i wyszedł z nich mężczyzna, wyraźnie wzburzony.

- Co się dzieje? - wrzasnął przez dzielące ich mniej więcej dwadzieścia metrów. - Czego chcecie?

Paulik puścił rękę Sophie.

- Przepraszam, że przeszkadzamy - odezwał się. - Po prostu spacerujemy.

- Więc spadajcie - odpowiedział mężczyzna. - To własność prywatna.

- A może myśli pan o sprzedaży? - zapytał Paulik, powoli zbliżając się do mężczyzny, w którym rozpoznał Hervégo Piogera. Usłyszał stłumiony dźwięk dochodzący z chaty.

Pioger podszedł bliżej.

- Głuchy jesteś? - warknął.

- Od miesięcy szukamy tutaj nieruchomości - powiedział Paulik. - A to miejsce wygląda, jakby potrzebowało opieki. - Przesunął się już tak, że znalazł się w odległości około metra od Piogera.

- Nie jest na sprzedaż - zawołał Pioger, podnosząc rękę. - Idźcie już.

- Chodźmy, kochanie - odezwała się Sophie, pociągając Paulika za rękę.

Widziała pot, który kroplił się na czole Piogera, jego otwarte usta. Czuła też lukrecjową woń anyżówki.

- Kotku, wiesz, jak kocham te okolice - powiedział Paulik, patrząc na partnerkę.

- Zrób to, co mówi twój kotek - nakazał mu Pioger.

Kątem oka Paulik widział, że wszyscy są na swoich miejscach.

- Dobrze - zgodził się. - Przepraszam, że przeszkadziliśmy.

Na to hasło pozostali policjanci wpadli do chaty przez tylne drzwi, o których istnieniu Sophie i Jules dowiedzieli się od Marcela Cheneau.

- Fantastycznie się sprawdzały, kiedy miejscowi żandarmi robili nalot na naszą chatę - powiedział wtedy.

Hervé Pioger instynktownie odwrócił się w stronę drzwi La Riviere, a Paulik rzucił się do przodu i powalił go na ziemię. Sophie wyjęła pistolet z tylnej kieszeni szortów i wycelowała go w głowę Piogera.

- Nie ruszaj się.

Usłyszała, jak jeden z jej kolegów krzyczy: - Na ziemię, natychmiast! - i odetchnęła z ulgą. Pomyślała o swojej sąsiadce, fryzjerce, z którą lubiły czasem wypić kieliszek wina, podczas gdy ich dzieci razem się bawiły. Co dzisiaj jej powie o swoim dniu w pracy? Nic, co by dotyczyło czynności operacyjnych, tylko jakieś szczegóły na temat kolegów - że Jules rozśmieszył

ją, gdy jechali samochodem, że inny policjant w następny weekend się żeni. Jej sąsiadka miała przeciwny problem, jej klienci chętnie dzielili się najbardziej osobistymi lękami i nadziejami, podczas gdy ona pracowała nad ich fryzurą. Nie mogła przekazywać Sophie treści tych rozmów, chyba że tych błałych. Ale mogła opowiadać o swojej pracy: cięciach, farbowaniu, suszeniu.

- Nareszcie! - zawołał jakiś głos ze środka chaty.

- Zabierzcie go sobie! - krzyknął do Paulika Hervé Pioger z głową przyciśniętą do ziemi.

Sophie i Paulik wymienili spojrzenia, kiedy mężczyzna w wieku około czterdziestu lat wyszedł z chaty w towarzystwie jednego z inspektorów, który trzymał go za ramię.

- Czuję się bardzo dobrze! - zawołał, strząsając rękę policjanta. - Chcę wnieść oskarżenie...

- Zamknij się - krzyknął Hervé Pioger.

- Zajmiemy się tym, M. Le Flahec - odezwał się Paulik.

Inny policjant wyszedł z chaty z Didierem Piogerem w kajdankach, a Sophie pomogła Hervému wstać i jemu także założyła kajdanki.

- Musimy zawieźć pana do szpitala, na badania...

- Przecież powiedziałem, że czuję się dobrze - upierał się Erwan.

- Lekarz to sprawdzi - powiedział Paulik. - Był pan przetrzymywany wbrew pańskiej woli. - Przyglądał się Erwanowi Le Flahec, starając się odczytać wyraz jego twarzy. Wciąż nie był pewien, czy porwanie nie zostało ukartowane przez samą ofiarę.

Sophie zadzwoniła do Jules'a i poprosiła, żeby podjechał do chaty. Dwóch innych inspektorów pobiegło już po pozostałe dwa pojazdy. Odwróciła się do Erwana i powiedziała:

- Zabierzemy pana do szpitala, potem będzie pan mógł iść do domu i się wyspać. Jutro przyjdzie pan złożyć zeznania.

- Skoro pani tak mówi - odparł Erwan powoli. Zamknął oczy, zakołysał się w przód i w tył i zaczął się osuwać. Sophie złapała go w ramiona.

25

Nowy Jork, 22 września 2010

- Bardzo mi ulżyło na wieść, że Sandrine nie była w La Rivierze z kuzynami Pioger. Erwan powiedział, że nigdy się tam nie pojawiła - wyjaśnił Valère. - Uwierzyłem mu. Bruno Paulik zadzwonił do mnie od razu, kiedy tylko znaleźli Erwana, a on sam wrócił do domu kilka godzin później, po wizycie w szpitalu. Wyglądał na wyczerpanego, był poirytowany, ale to zrozumiałe. Teraz, kiedy miałem w domu dwoje gości, nie radziłem sobie bez Sandrine, poza tym martwiłem się o nią.

- Ale gdzie ona była? - zapytał Justin.

- Próbowałem zadzwonić do Mattona, do Paryża, ale nie odbierał, więc się rozłączyłem i nie zostawiłem wiadomości. Nie chciałem go niepotrzebnie denerwować. Na szczęście tamtego dnia odbywał się wiejski rynek i Hélène i Léa zaproponowały, że zrobią dla mnie zakupy.

Justin poruszył się na krześle, marszcząc brwi.

- Czy możesz się tak nie wiercić? - zapytał Valère. - To są ważne szczegóły.

- Przepraszam. Proszę mówić dalej.

* * *

Wyciągnąłem sfatygowaną książkę kucharską Ali-Baby⁹, należącą niegdyś do Agathe, i przystąpiłem do gotowania zupy. Planowałem, że zjemy ją ze świeżym chlebem i kozim serem.

Kiedy Léa wróciła z rynku, usiadła przy kuchennym stole i rozwiązywała krzyżówki, a ja gotowałem. Michèle siedziała przy basenie i krzyczała do telefonu na swojego japońskiego wydawcę albo prawnika od praw filmowych z Los Angeles. Erwan spał na górze.

- Zastanawiam się, co niewidoma dama je dziś na kolację - powiedziała Léa, przyglądając się, jak kroję pory. - *Maman* i ja widziałyśmy ją dzisiaj niedaleko rynku. Szła po chodniku, dając się prowadzić białej lasce.

- Niewidomi uczą się robić różne rzeczy, o które byśmy ich nie podejrzewali - odparłem. - Jestem pewien, że teraz gotuje coś zdrowego i dobrego.

- Mam nadzieję, że Erwan wkrótce poczuje się dobrze - mówiła dalej.

Zapomniałem już, z jaką łatwością dzieci zmieniają temat. Powiedziałem:

- Po prostu potrzebuje czternastu godzin snu.

- Mój tata kiedyś spał przez czternaście godzin - oznajmiła dziewczynka. - Wcześniej nie kładł się przez całe dwie noce, bo musiał pracować.

- *Âllo!* - usłyszeliśmy głos z holu wejściowego. To był Bruno Paulik, który przyszedł po Léę.

- Proszę wejść, panie Brunonie - odpowiedziałem. - Jesteśmy w kuchni.

Paulik wszedł i pochylił się, by dać córce całusa.

- Czas do domu, kochanie.

- Léa wspaniale dotrzymywała mi towarzystwa - oznajmiłem.

- Miło mi to słyszeć. My także lubimy jej towarzystwo - rzekł Paulik, mrugając do córki.

- Czy przechodząc przez ogród, możecie powiedzieć Michèle, że zaraz kolacja? - poprosiłem.

- Żaden problem - odparł Paulik. - Czy ona zawsze tak krzyczy przez telefon?

- Zawsze.

- Słysząc ją z naszej kuchni.

- Przepraszam.

- Jakież wieści od Sandrine? - zapytał Paulik, zatrzymując się w kuchennych drzwiach.

- Kompletnie nic - odrzekłem. - Zamierzam jeszcze raz zadzwonić do jej stryja z Paryża. Miałem trudności, żeby się z nim połączyć.

- Proszę mnie zawiadomić, jeśli czegoś się pan dowie.

W jego głosie nie było wrogości, ale wiedziałem, że komisarz podejrzewał Sandrine o zorganizowanie porwania Erwana i o zepchnięcie Michèle ze schodów. Musiałem przyznać, że nie wyglądało to dobrze. Fakt, że Sandrine spotykała się z Hervém i wciąż coś do niego czuła, całkowicie mnie zaskoczył. Czy dlatego zatrudniła się u mnie? By znaleźć się blisko niego? A teraz zniknęła...

- Wszystko w porządku z Sandrine? - zapytała Léa, patrząc na ojca. - Lubię ją.

- Jestem pewien, że tak - odparłem zbyt szybko. Léa obrzuciła mnie jednym z tych spojrzeń, mówiących „Nie wierzę ci”, w których już jedenastolatki są świetne.

Wieczór nie zrobił się ani trochę przyjemniejszy, gdy Michèle zaczęła dręczyć mnie tematem książki, którą miałem z nią napisać. Jej powrót do zdrowia był jednym z najbardziej zagadkowych, jakie kiedykolwiek widziałem. Poszliśmy na górę tuż przed jedenastą i zajrzałem do Erwana, który spał jak zabity. Tym razem zostawiłem drzwi jego sypialni otwarte, moje również. Nie chciałem ryzykować. I teraz o moim śnie, Justinie. Tutaj ostrzeżenie. Nigdy nie należałem do tych, którzy relacjonują swoje sny. Na uniwersytecie miałem kolegę, który

każdego ranka, kiedy półprzytomni siadaliśmy wokół kuchennego stołu, wkraczał do kuchni i opowiadał nam swój sen w każdym jego nudnym szczególe. Nie mieliśmy wątpliwości, że te sny były zmyślone, bo w niewyjaśniony sposób zawsze pojawiał się w nich jeden lub dwóch jego ulubionych aktorów – on stawał się ich kumplem, świetnie się razem bawili – i sen zawsze kończył się dobrze. W snach tak się nie dzieje, przynajmniej nie w moich.

Kiedy wsunąłem się do łóżka, zdałem sobie sprawę, że nie zadzwoniłem do Mattona. Zapisałem sobie przypomnienie na karteczce i przykleiłem na lampie przy łóżku. Miałem do niego zadzwonić od razu rano. Zerwał się wiatr, więc zamknąłem okna. Wołałem duchotę niż wycie i jęki wiatru. Okiennice uderzały lekko w kamienne ściany, mimo że były do nich przytwierdzone. Sen nie przyszedł od razu, za bardzo poruszyły mnie wydarzenia dnia. Leżałem więc tam, wyczulony na hałasy i doznania cielesne. W takich chwilach staję się hipochondrykiem. By poczuć senność, liczyłem uderzenia serca, ale wydały mi się one tak nieregularne, iż uznałem, że umieram. Głowa zaczęła mi pulsować – na pewno mam tętniaka. Przewróciło mi się w żołądku i już widziałem tam guz. Tak naprawdę walczyłem ze snem, bo za każdym razem, kiedy zamykałem oczy, ukazywało mi się morze – nie turkusowe Morze Śródziemne, ale takie ciemnoszare i wzburzone. Po kilku godzinach wyczerpanie zwyciężyło i zasnąłem. A oto, co mi się śniło:

Szedłem niezmierną plażą, nie piaszczystą, jak plaże tutaj nad Atlantykiem, ale skalistą, jak w Prowansji. Byłem boso i kamienie raniły mi stopy, ale szedłem dalej. Od czasu do czasu patrzyłem za siebie, gdzie na wzgórzu wychodzącym na morze widziałem La Bastide Blanche. Z zamkniętymi okiennicami dom wydawał się pozbawiony życia. Sceneria przede mną wyglądała ponuro: morze i niebo miały tę samą mglistoszarą barwę,

ponad wzburzonymi falami głośno wył wiatr. Nic nie zakłócało linii horyzontu, nie pojawiały się żadne żywe istoty. Przez jakiś czas wpatrywałem się w morze, kiedy dostrzegłem na nim podskakujący na falach czarny kształt. Po chwili przybrał on postać Agathe. Nie płynęła, tylko próbowała wdrapywać się na fale. Nie widziałem jej twarzy, ale wiedziałem, że to ona. Czułem jej niepokój i lęk, kiedy tak starała się przeskoczyć każdą z fal i do mnie zbliżyć. Płakała, a jej łkanie rozbrzmiewało po całej plaży. Gdy dotarła bliżej, zauważyłem, że w panice oglądała się przez ramię. Za nią pojawił się kolejny falujący kształt, w jakiejś jasnoczerwonej pelerynie. Gonił ją. Próbowałem wbiec do wody, ale fale mnie powstrzymywały, a nawet pchały do tyłu. Nie mogłem też krzyczeć, nagle straciłem głos. Wokół wciąż rozbrzmiewało wycie wiatru i płacz Agathe. I nagle ona zniknęła, podobnie jak jej prześladowca. Obudziłem się bez tchu i usiadłem.

Ponownie zasnąłem, kiedy już wschodziło słońce. Musiałem spać bez snów przez kilka godzin, bo kiedy zszedłem na dół, było już po jedenastej. Michèle i Erwan siedzieli w milczeniu przy kuchennym stole, on oparł głowę na dłoniach, a ona patrzyła przez okno zamyślona. Kiedy wszedłem, Michèle odwróciła głowę, by na mnie spojrzeć.

- Cóż - odezwała się - cieszę się, że ktoś tu dobrze spał.

Przetarłem oczy, podszedłem do ekspresu do kawy i go włączyłem.

- Zasnąłem dopiero wcześniej rano.

Erwan spojrział w górę.

- Więc tobie też to nie dawało spać?

- Co nie dawało mi spać? - zapytałem. - Po raz pierwszy zasnąłem o trzeciej, ale miałem straszny sen.

- Czy w tym śnie słyszałeś płacz? - chciała wiedzieć Michèle. Skinąłem głową, miałem sucho w ustach.

- To nie był sen - wyjaśnił Erwan. - Też słyszeliśmy płacz. Płacz kobiety.

- Dla mnie to brzmiało, jakby było ich więcej - rzekła Michèle.

- Być może - zgodził się Erwan.

- To mogło być zawrodozenie wiatru - zasugerowałem.

- Mam ponad siedemdziesiąt lat i, jak sądzę, znam różnicę - roześmiała się Michèle.

Mój telefon zaczął dzwonić. Podeszedłem do ekspresu, przy którym go wcześniej położyłem, i odebrałem połączenie. To był Guillaume Matton.

- Matton - powiedziałem, przechodząc do większego salonu. - Próbowałem się do ciebie dodzwonić.

- Tak myślałem, że będziesz się dobijał - odparł. - Wczoraj po raz pierwszy od lat jechałem metrem i mnie okradli. Zabrali mi telefon, ale na szczęście nie portfel. Ten był w mojej teczce.

- Pech - skomentowałem. Prawie dodałem, że nie tęsknię za zgiełkiem, zamętem i przemocą w wielkim mieście, ale uświadomiłem sobie, że tutaj działo się prawdopodobnie więcej niż w bezpiecznej i nudnej ósmej dzielnicy.

- Chciałem dać ci znać, że mam teraz nowy telefon, numer ten sam - powiedział Matton. - I gdybyś mógł przekazać wiadomość Sandrine, ona pewnie też próbowała do mnie dzwonić.

- Chciałem z tobą o niej porozmawiać.

- O Hervém Piogerze? - zapytał Matton. - Powiedziałem sędziemu, że z tego, co wiem, już się nie widują. Ale ona nadal może mieć do niego słabość.

- Cóż, teraz z pewnością się nie widują, bo on jest w areszcie - odparłem. - Porwanie. - Matton zagwizdał, a ja opowiedziałem mu o uprowadzeniu Erwana i uwolnieniu go z rąk porywaczy. - Problem polega na tym - mówiłem dalej - że

nie mogę znaleźć Sandrine. Wydawała się czymś zmartwiona, nieswoja i nie ma jej już od dwóch dni. Myślisz, że pojechała do Josy? Możesz dać mi jej numer telefonu?

Matton milczał przez kilka sekund, wystarczająco długo, bym się zdenerwował. W końcu powiedział:

- Josy nie żyje. Zginęła w wypadku samochodowym trzy lata temu.

Przypisy:

⁹ Henri Babinski (pseud. Ali-Bab), *Gastronomie pratique. Études culinaires suivies du Traitement de l'obésité des gourmands*, Flammarion, Paris 1967.

26

Paryż i Aix-en-Provence, poniedziałek 12 lipca 2010

Marine wyglądała przez okno pociągu, myśląc o Sylvie i Charlotte, i o nowej osobie w ich życiu. Charlotte przyjęła wiadomość spokojnie, ale kiedy Marine ją uścisnęła, czuła, jak dziewczynce łomocze serce. Poprzedniego dnia, gdy Marine zapytała Sylvie, jak Wolfgang zareagował na informację, że ma jedenastoletnią córkę, Sylvie przygryzła górną wargę i zapaliła papierosa.

- Poza tym, że rzucił szklanką na drugi koniec pokoju i krzyczał na mnie przez jakieś dziesięć minut, przyjął to raczej dobrze.

Wcześniej tego dnia Marine i Sylvie miały się spotkać przy hotelu, w którym zatrzymał się Wolfgang, i przekazać Charlotte nową wiadomość. Verlaque odprowadzał tam żonę, po drodze zrobili trochę zakupów spożywczych i przypadkiem wpadli na Sylvie i Wolfganga, którzy zmierzali do hotelu, gdzie on miał przeczekać rozmowę z dziewczynką. Gawędzili chwilę, a obok nich przechodzili mieszkańcy miasta i turyści, którzy rozmawiali, śmiali się i fotografowali budynki w Aix. Cieszyli się letnim zmierzchem i łagodną, wieczorną temperaturą. Wolfgang mieszkał w nowym hotelu, wybudowanym przy rzymskich łaźniach termalnych.

Kiedy Marine zapytała go, czy podoba mu się hotel, odpowiedział sucho świetną francuszczyzną, choć zabarwioną

silnym niemieckim akcentem:

- Jest w centrum. Ma parking. Basen. Ale spa mnie nie interesuje, nie znam niczego bardziej nudnego.

Verlaque roześmiał się, przyznał, że jest tego samego zdania, i spontanicznie zaprosił Wolfganga na drinka w czasie, gdy kobiety będą rozmawiać z Charlotte. Wolfgang uściśnął mu rękę i chętnie przyjął zaproszenie, a Marine i Sylvie uśmiechnęły się szeroko, wdzięczne za troskliwość Antoine'a.

Kiedy Marine wróciła od Sylvie, mężczyźni siedzieli na oświetlonym świecami tarasie, z butelką wina na stoliku. Jeszcze jedna butelka, pusta, stała na podłodze. Obaj podnieśli się i przywitani z Marine, czekając, aż usiądzie. Verlaque nalał jej kieliszek wina w kolorze miodu, a ona upiła łyk, zanim zaczęła mówić.

- Myślę, że dobrze poszło - rzekła. - Charlotte słuchała spokojnie, choć wydawała się poruszona, ale kiedy wychodziłam, śmiała się, była szczęśliwa, nawet podekscytowana.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ona się czuje - powiedział Wolfgang. - Ona i Sylvie były drużyną przez jedenaście lat, a teraz pojawiają się ja...

- Hej, brachu, będzie dobrze - odezwał się Verlaque, ściskając ramię gościa.

Marine spojrzała na męża i zacisnęła pięści, żeby powstrzymać się od śmiechu - słowa „hej, brachu” nigdy wcześniej nie wyszły z jego ust. Uznała, że jest trochę pijany.

Wolfgang upił nieco wina.

- Jedenaście lat to taki ważny wiek - zaczął, patrząc, jak wino wiruje w jego kieliszku. - Carl Jung powiedział, że w tym wieku stał się świadomym człowiekiem. Porównał to z wychodzeniem z mgły. „Wiedziałem, kim jestem” - powiedział wtedy.

W tym momencie Marine polubiła, a nawet pokochała Wolfganga, i wiedziała, że nie tylko wszystko będzie dobrze, ale że on już na stałe zagości w ich życiu.

* * *

Z okna pociągu widziała oczyszczalnię ścieków. Na jednym z okrągłych zbiorników namalowane było ogromne oko. Dla Marine był to znak, że zbliżają się do Paryża. Cieszyła się z francuskich szybkich pociągów i ich cudownej efektywności, tym bardziej że w tym tygodniu była to jej druga podróż do stolicy. Zaczęła zbierać swoje rzeczy. Wyciągnęła mapę i spojrzała na swoją trasę: miała pojechać kolejką regionalną do końca linii, do Saint-Germain-en-Laye na zachodzie Paryża, potem taksówką do starego miejskiego lasu, w którym mieściła się prywatna szkoła dla dziewcząt Les Loges.

* * *

- Jeżeli dobrze pamiętam - powiedziała Marine, idąc krytym krążankiem Les Loges - tę szkołę i jeszcze jedną w Saint-Denis ufundował Napoleon.

- Właśnie - odparła jej dawna przyjaciółka Nathalie Garcia. - Zbudował ją w 1810, dla dziewcząt, których ojcowie - oficerowie i rycerze z Legii Honorowej - zginęli w walce. Obecnie mile widziane są tu potomkinie tamtych mężczyzn, ale zauważ: pod warunkiem, że mają dobre oceny. - Nathalie Garcia studiowała z Marine prawo w Paryżu i, podobnie jak ona, porzuciła pracę w sądzie na rzecz edukacji. Była wicedyrektorką tej szkoły.

- Idylliczne miejsce - zauważyła Marine, rozglądając się po przepastnym Cour d'honneur.

Nathalie skinęła głową.

- Ten dziedziniec zwykle jest hałaśliwy, pełen roześmianych dziewcząt w niebieskich mundurkach. Wrócą pod koniec

sierpnia. Zostanę tutaj na kolejne dwa tygodnie, by przygotować salę medialną, a potem zrobię sobie krótkie wakacje. A teraz powiedz mi, czego dokładnie szukasz. Twój mail mnie zaintrygował.

- Szukam akt Agathe Barbier - wyjaśniła Marine. - Uczyła się tutaj na początku lat sześćdziesiątych.

- Wiem - powiedziała Nathalie. - Badasz historię ceramiki francuskiej?

Marine roześmiała się.

- Niezupełnie.

- Cóż, jesteś już drugą osobą w tym miesiącu, która pyta o akta Agathe Barbier. Ale to pewnie nic niezwykłego, biorąc pod uwagę, jaką zyskała sławę.

- Kim była ta druga osoba?

- Historyczka sztuki - odparła Nathalie. - Oprowadzała ją dyrektorka biblioteki.

Otworzyła drzwi i ruchem ręki wskazała, by Marine weszła pierwsza.

- Archiwa są tam na górze - powiedziała Nathalie, idąc za Marine. - Skręć w lewo na szczycie schodów. Właśnie mieliśmy remont.

Marine czuła ulgę, że Nathalie, zawsze dyskretna, nie zadawała więcej pytań na temat jej badań.

Przeszły przez dużą salę zastawioną regałami. Marine wyobraziła sobie zaczytane dziewczyny, które siedzą przy długich stołach ustawionych na środku pomieszczenia. Nathalie kluczem otworzyła jeszcze jedno drzwi.

- To tutaj - oznajmiła, wprowadzając Marine do dużo mniejszej sali pełnej szaf na dokumenty i oszklonych biblioteczek. - Dyrektorka chciałaby dowiedzieć się więcej o celu twojej wizyty - powiedziała Nathalie, kiedy już zamknęła za nimi drzwi.

Marine starała się nie skrzywić. Więc nie zostawiła jej w spokoju.

- Jak możesz sobie wyobrazić, nasze akta dotyczące byłych uczennic nie są ogólnie dostępne.

Marine położyła torebkę na drewnianym biurku i wyjęła z niej list.

- Śledztwo w sprawie śmierci Agathe Barbier zostało otwarte przez sędzię śledczą w Cannes - powiedziała Marine. - To jest list od sędziego z Aix.

- Nasza *directrice* chodziła z Agathe Barbier do klasy - rzekła Nathalie. Przeczytała list i wręczyła go z powrotem Marine, wskazując na podpis Verlaque'a. - Jest twoim mężem?

Marine poczuła, że się czerwieni.

- Tak, od roku.

- Czytałam ogłoszenie w „Le Monde”. Gratulacje.

- Dziękuję.

- Dam ci jej akta i pozwolę ci pracować. Będę w sali medialnej po przeciwnej stronie korytarza. Nie pytam, czego szukasz.

- To tylko taki pomysł - odezwała się Marine. - Sama nie jestem pewna... Co byś na to powiedziała...? - Zdawała sobie sprawę, że Nathalie będzie musiała przekazać informacje *directrice*.

- Ale na co?

- Czy możesz poinformować *directrice*, że piszę biografię Mme Barbier?

* * *

Marine czytała akta młodej Agathe Le Flahec przez ponad godzinę, kiedy natrafiła na coś ciekawego. Usiadła prosto na krześle i ponownie związała włosy - zawsze tak robiła, gdy była

podeksytowana. Następnie pochyliła się, trzymając dokument drżącymi rękoma.

Kiedy w Musée Sèvres przeczytała korespondencję Agathe, była zaskoczona i zauroczona pięknym stylem artystki. Oczywiście, Agathe Le Flahec uczęszczała do prestiżowych szkół i została wychowana w czasach, kiedy ludzie wciąż pisali listy, i to pisali starannie. Agathe zmarła na długo, zanim internet i esemesy zabiły epistolografię. Ale jej proza okazała się lepsza, niż Marine oczekiwała. To była wręcz poezja. Marine otworzyła notatnik, w którym zanotowała ważne daty z życia Agathe i Valère'a Barbierów. Agathe zmarła w lecie 1988 roku. A dwa lata później Valère drastycznie zmienił gatunek literacki z powieści fikcyjnej i opowiadań na romans. Czy dlatego, że – jak wówczas twierdził – miał złamane serce? Czy może ktoś inny pomagał mu pisać jego wielokrotnie nagradzane wcześniejsze książki? Marine pomyślała zwłaszcza o jego wydanych w 1980 opowiadaniach, ulubionym tomiku jej matki, *Opowieści z Bretanii*. To Agathe była Bretonką, nie Valère.

Marine chwyciła za telefon i uśmiechnęła się na myśl o tym, że ma się posłużyć nowoczesną technologią – telefonem komórkowym i internetem – żeby sprawdzić kilka faktów. Przewijała wyniki, szukając artykułów o Valèrze Barbierze opublikowanych około 1990 roku, po ukazaniu się jego pierwszego romansu, *Kolejny dzień*. Znalazła kilka, w tym jeden obszerny w „Paris Match”, wyjaśniający nagłą zmianę gatunku u pisarza i rozplywający się nad nową powieścią. Większość pozostałych artykułów, na które trafiła, napisano w tym samym tonie, nawet tymi samymi słowami, jakby teksty zostały przesłane przez zespół promocyjny Barbiera. Tłumaczyły, że autor miał złamane serce i w swoich książkach nie chciał już analizować miłości ani problemów filozoficznych czy moralnych. Pół godziny później znalazła artykuł datowany na marzec 1991 w satyrycznym tygodniku „Le Canard

enchaîné”, który ku utrapieniu jej matki był ulubionym czasopismem jej ojca. Zawierał rysunek przedstawiający Valère’a Barbiera, który wyciągnięty na szelongu wyjada z pudełka czekoladki i jednocześnie pisze gęsim piórem coś, co najwyraźniej jest romansem. Za nim na ścianie wisi przekrzywiona, oprawiona w ramki Nagroda Goncourtów za *Czerwoną ziemię*.

Pod rysunkiem wydrukowano artykuł autorstwa Jean-Yves’a Bastou, który sugerował, że Barbier nie tworzy już fikcji literackiej, bo nie potrafi. Dziennikarz dawał do zrozumienia, że Barbier mógł korzystać z jakiejś pomocy we wcześniejszych powieściach, ale nie wskazywał na Agathe. Następnie Marine wygooglowała Bastou i znalazła więcej jego artykułów, częściej poświęconych muzyce rockowej niż literaturze. Na końcu natrafiła na jego nekrolog. Zmarł na atak serca w 2002 roku, w wieku sześćdziesięciu trzech lat.

Pomyślała, że z pewnością nie była jedyną osobą, która czytała piękną prozę Agathe i wyciągnęła z tego pewne wnioski. Wyłączyła telefon i spojrzała na leżący na biurku dokument, nagrodę za kreatywne pisanie, zdobytą przez Agathe Le Flahec w 1964, w jej ostatnim roku nauki w tej szkole. Tytuł opowiadania, *Przypadkowe spotkanie przy rue du Faubourg*, stał się także tytułem pierwszej powieści Valère’a Barbiera, opublikowanej w 1973.

* * *

- Chcę ci podziękować, Nathalie - powiedziała Marine, ponownie idąc za Nathalie Garcia przez korytarze Les Loges.

- Mam nadzieję, że twój przyjazd do Saint-Germain nie pójdzie na marne.

- Nie - zapewniła koleżankę, ściskając swoją torebkę. - Chociaż nie znalazłam nic sensacyjnego - skłamała.

- *Directrice* nie zatrzyma cię długo - mówiła dalej Nathalie.
- Wie, że musisz złapać pociąg.

Marine przyglądała się oprawionym fotografiom byłych uczennic, nauczycieli i dyrektorów. Jej uwagę zwrócił portret królowej, a Nathalie zatrzymała się przy nim.

- Anna Austriaczka - wyjaśniła. - W 1644 założyła tutaj klasztor żeński.

Marine skinęła głową i ruszyły dalej przez ciche korytarze. Czuła się prawie tak, jakby szła na spotkanie z matką przełożoną. Zaczęły jej się pocić dłonie. Otworzyły się jedne z drzwi i na korytarz wyszła niska, pulchna kobieta po siedemdziesiątce. Uśmiechała się. Miała kręcone, białe włosy i okulary w rogowych oprawkach. „Sekretarka” - pomyślała Marine. Kobieta wyciągnęła rękę.

- Witamy w naszej szkole - powiedziała. - Jestem Célestine Parent, *directrice*.

- Miło mi panią poznać - odparła Marie, potrząsając dłoń kobiety. - Bardzo pani dziękuję za możliwość skorzystania z archiwów.

- Zapraszam do mojego gabinetu. To będzie wszystko, Mlle Garcia.

Nathalie skinęła głową i odwróciła się, a Marine poszła za *directrice*. „Mme Parent może i wygląda niewinnie” - pomyślała Marine - „ale wypowiada się autorytatywnie”.

- Więc - zaczęła Mme Parent, kiedy obeszła swoje mahoniowe biurko i usiadła - pisze pani biografię Agathe Le Flahec?

- Tak - odparła Marine, niezgodnie z prawdą. - I mam taką śmiałą teorię, że ci, którzy celują w wytwarzaniu pięknej ceramiki, mogą być wspaniałymi pisarzami. A nawet poetami.

Mme Parent przytakiwała z uśmiechem.

- Miałam nadzieję cytować w książce fragmenty prozy Mme Barbier. Wie pani, wpisy do pamiętnika i tym podobne.

- Interesujące - skomentowała Mme Parent, odchylając się do tyłu. Marine zobaczyła, że ramiona *directrice* opadają, rozluźnione. - Chodziłam z Agathe do szkoły.

- *Ah bon?* - zdziwiła się Marine, udając, że o tym nie wiedziała.

- Od 1961 do 1964 - mówiła dalej Mme Parent. - Byłyśmy dobrymi przyjaciółkami. Uwielbiałam ją.

- Więc musiała pani znać Valère'a Barbiera - zauważyła Marine.

- Tyle co nic.

Marine uśmiechnęła się i starała się przybrać lekki ton.

- Och, pytam tylko dlatego, że on jest taką gwiazdą - powiedziała.

- Tak, można tak powiedzieć. Valère Barbier jest gwiazdą.

- Zakładam więc, że pani i Mme Barbier nie utrzymywałyście kontaktu po jej wyjściu za mąż? - zainteresowała się Marine. - To mi jest potrzebne wyłącznie do celów badawczych. Biografia jest w fazie początkowej i próbuję ustalić, kto znał Agathe Barbier i kiedy.

- Nie mogę wiele pomóc - oświadczyła Mme Parent. - To znaczy na temat tego, co działo się po 1964 roku.

- W aktach szkolnych widziałam, że została pani *directrice* w styczniu 1990 - rzekła Marine. - Czy w tym mniej więcej czasie kontaktował się z panią dziennikarz, Jean-Yves Bastou? Wiem, że to dawno temu...

Mme Parent skrzyżowała ręce na piersiach.

- Nie pamiętam tego nazwiska - odparła. - Ale nie jest pani jedyną osobą, która prosiła o dostęp do akt. Agathe zyskała wielkie uznanie w swojej dziedzinie, podobnie jak wiele innych uczennic Les Loges.

- Tak, Nathalie powiedziała mi, że kilka tygodni temu ktoś inny chciał obejrzyć akta Mme Barbier.

Mme Parent potwierdziła ruchem głowy.

- Pani profesor. Zatrzymano mnie na całodziennym spotkaniu i nie mogłam się z nią przywitać.

- Nie znalazłam zbyt wiele w folderze Mme Barbier. To mnie trochę zaskoczyło. - Marine uświadomiła sobie, że kimkolwiek była ta profesor, mogła zabrać część dokumentów.

Mme Parent wzdrygnęła się, a po jej twarzy przebiegł wyraz troski.

- Być może Agathe dużo stąd zabrała - powiedziała, wzruszając ramionami. - A po jej śmierci... kto wie. Wdowiec mógł się wszystkiego pozbyć albo przekazać synowi.

- Czy czytała pani opowiadanie o rue du Faubourg? - zapytała Marine.

- Około stu razy. - Mme Parent uśmiechnęła się po raz drugi. - Sprawdzaliśmy sobie nawzajem wypracowania. Ale moje nigdy nie były tak dobre jak jej.

- Czy nie uważa pani, że to dziwne...

- Przyznaję, że to dziwny zbieg okoliczności - rzekła Mme Parent. - Zawsze zakładałam, że Agathe zasugerowała tytuł mężowi. Nie wiem, czy miała pani czas przeczytać ten tekst, ale nie ma on nic wspólnego z książką.

- Nie mogłam go przeczytać. Nie znalazłam go w folderze. Pozostał tylko dokument o nagrodzie.

Twarz Mme Parent pobladła.

- Na pewno się pani myli. Opowiadanie jest u nas. Trzymamy te akta pod kluczem, a klucz jest w naszych archiwach. - Wstała, a Marine spojrzała na zegarek.

- Niedługo muszę złapać TGV - powiedziała. - Dziękuję pani za poświęcony mi czas. - Ale widziała, że *directrice* nie usłyszała z tego ani słowa.

Aix-en-Provence, poniedziałek 12 lipca 2010

- Mme Parent kłamie albo coś ukrywa - zawołała Marine, przekrzykując dźwięk płynącej z kranu wody. Skończyła szcztokować zęby, weszła do sypialni i wsunęła się do łóżka obok Verlaque'a.

- Jak myślisz, co chce zataić? - zapytał Verlaque, zdjął okulary do czytania i odłożył je na leżącą na stoliku nocnym książkę.

- Nie wiem, czy chroni Agathe, czy swoją siostrę. A tak przy okazji, nawet się nie zająknęła o tym, że jej siostra przez lata była sekretarką Valère'a. A ja nie poruszałam tego tematu, choć zdawał się dosłownie wisieć w powietrzu.

- Masz rację, to bardzo zagadkowe.

- Mme Parent nie wypowiada się dobrze o Valèrze.

Verlaque obrócił się twarzą do żony.

- Tego dnia na łodzi kłócił się z Agathe - powiedział. Skrzyżował ręce na piersiach i patrzył na swojego ukochanego Pierre'a Soulagesa - fakturowana czerń obrazu dominowała w pokoju. - Ale Valère mówi o Agathe tak ciepło, z prawdziwą miłością w oczach.

- Teraz to ty mówisz tak, jakbyś grał w hollywoodzkim filmie - skomentowała Marine. - Ckliwej *love story*.

- Trafiony, zatopiony. - Roześmiał się. - Ale nadal myślę, że Pelloquin mógł celowo zostawić cały sprzęt rozrzucony po

pokładzie. Jutro rano zadzwonię do Daniela de Rudder.

- Sama nie wiem - zastanawiała się Marine, jakby nie słyszała męża. - Mme Parent chroni Ursule i Agathe. I pomimo że zakolegowałeś się z Valère'em, nie sądzę, że można mu ufać. W jednej kwestii na pewno nie jest szczerzy. Prawda?

- To jest twoja opinia - powiedział Verlaque. - Ja nadal nie mogę uwierzyć, że Valère nie napisał wszystkich tych cudownych książek.

Marine westchnęła.

- Ani ja. Kiedy zakochujesz się w książce, trudno oddzielić ją od autora. Ale teraz, *chér juge*, mój instynkt wskazuje na Agathe. - Wyłączyła nocną lampkę i zwinęła się obok męża.

* * *

Następnego ranka Verlaque poszedł do Pałacu Sprawiedliwości okrężną drogą, najpierw skierował się w dół Gaston de Saporta, ponieważ miał ochotę na mocne espresso z palarni kawy na placu Richèlme. Wiedział, że znajdzie się na kilku fotografiach zrobionych przez turystów - przechodzący pasażem pod wysoką wieżą z kwadratowym zegarem mężczyzna średniego wzrostu, z szerokimi ramionami i wydatnym brzuszkiem, z rozczochranymi, szpakowatymi włosami i krzywym nosem, ubrany w musztardowy, lniany garnitur. To wszystko, co będą wiedzieli o widocznym na ich zdjęciu nieznanym, kiedy już wrócą do Kansas albo do Amsterdamu czy Tokio.

Zwolnił przed ratuszem i z rękoma w kieszeniach patrzył na jego fasadę. Wtem usłyszał za sobą słowa:

- *Monsieur, s'il vous plait.*

Odwrócił się i zobaczył parę młodych ludzi, zapewne niewiele po dwudziestce.

- Mam zrobić wam zdjęcie? - zapytał po angielsku.

- O tak, poproszę - odpowiedziała kobieta z uśmiechem. Podała mu swój telefon.

- Jesteście z Włoch? - zapytał Verlaque.

- Z Wenecji - odparł mężczyzna, wyprężając pierś tak, że Verlaque nieomal wybuchnął śmiechem.

- Szczęściarze - skomentował Verlaque.

Para stanęła przed ratuszem o barwie miodu, a Verlaque zrobił dwa zdjęcia. Podziękowali i ruszyli dalej, pewnie do katedry. Odwrócił się i jeszcze raz popatrzył na elewację dwupiętrowego gmachu rozświetlonego w porannym słońcu. Dostrzegął, dlaczego Włosi - nie, Wenecjanie - chcieli być sfotografowani na tle tego budynku. Był jednocześnie majestatyczny i swojski. Ponad szerokim wejściem, którym w niedziele wylewały się pary po obowiązującym we Francji ślubie cywilnym, znajdowały się medaliony prezentujące nie zwyczajowe trzy, ale pięć inskrypcji. Verlaque nigdy dotąd ich nie zauważył. Do *liberté*, *egalité* i *fraternité* dołączyły *générosité* i *probité*. Dwie dodatkowe wartości wydawały się bardziej odnosić do osobowości człowieka niż trzy pierwsze. Hojność stanowiła jeden z przymiotów Verlaque'a, który najbardziej sobie cenił. Przejął go od dziadków ze strony ojca, Charles'a i Emmeline. Ich domy w Paryżu i Normandii zawsze były otwarte dla rodziny, sąsiadów, przyjaciół i kolegów.

- Nawet gdyby został mi jeden szyling, i tak urządziłabym przyjęcie - mawiała Emmeline do wnuków ze swoim eleganckim, londyńskim akcentem.

Verlaque uświadomił sobie, że wszyscy jego przyjaciele przywiązywali wielką wagę do hojności, bo ludzie skąpi, czy też *mean*, jak ich nazywała Emmeline, szybko znikali z ich listy kontaktów. Kolega opowiadał mu kiedyś o Bożym Narodzeniu, które spędził w Ameryce. Przyjaciele przyjaciół organizowali przyjęcie. Dobrze im się powodziło i mieszkali w dużym domu, co więcej - jak chwalił się gospodarz - splęcili już na niego

hipotekę. Jednak na zaproszeniach widniało *BYOB*. Kolega zatrzymał sobie to zaproszenie na pamiątkę i kiedy wrócił, pokazywał je w całym Pałacu Sprawiedliwości. Współpracownicy z Aix próbowali zgadnąć, co znaczy ten akronim.

- *Bring your own bottle!* Przynies własną butelkę - musiał wyjaśnić młody asystent sędziego.

- Butelkę czego? - zapytała sekretarka.

Ludzie spojrzeli po sobie, zaskoczeni.

- Wina albo czegoś takiego - mówił dalej. - Ja też nie wiedziałem, co to znaczy, i stawiłem się z bukietem kwiatów i drogimi paryskimi czekoladkami. Więc poszedłem do kuchni i nalałem sobie szklanek wody z kranu. Tamtego wieczoru nie piłem alkoholu. Po raz pierwszy w życiu byłem na przyjęciu, na którym piłem wodę.

Verlaque uśmiechnął się, z sympatią wspominając młodego urzędnika, który do tej pory zdążył już przeprowadzić się do innego miasta. Spojrzał na słowo *probité*, myśląc o wczorajszej rozmowie z Marine. Uczciwość to jedna z jej najważniejszych cech. Była najuczciwszą osobą, jaką znał. Ruszył dalej z rękoma w kieszeniach, myśląc o Barbierze. O zdjęciach, na których pisarz obejmował aktorki i gwiazdy rocka. O licznych wystąpieniach w telewizji. Verlaque wszedł do palarni kawy i powiedział „Dzień dobry” do trzech kobiet, które pracowały tam, od kiedy pamiętał. Oparł się o ladę i zamówił włoskie espresso, patrząc na jedną z kobiet, która jednocześnie robiła kawę i ładowała zmywarę. „Jak Valère mógł przez cały czas oszustwem torować sobie drogę do sukcesu? Dlaczego dziennikarze i krytycy się nie zorientowali?” Podziękował za kawę i wsypał do filiżanki połowę saszetki z cukrem. Dwaj mężczyźni po przeciwnej stronie lady żartowali z ekspedientką, ich głosy i śmiech wybijały się ponad ostry dźwięk młynka. Wtedy Verlaque zdał sobie sprawę, że Barbier zawsze w ten

sposób śmiał się i żartował. Między innymi dlatego był tak kochany i tak chętnie zapraszany do literackich talk-show. Ulubiony pisarz całego narodu był żartownisiem, błaznem. Jaki to dobry dla pisarza sposób, by ukryć fakt, że nie ma tak bogatego wnętrza, jak to wynika z jego książek.

Piętnaście minut później Verlaque znalazł się przy swoim biurku, wcześniej starannie zamknął drzwi do gabinetu. Wybrał numer do Daniela de Rudder:

- Mam nadzieję, że nie dzwonię zbyt wcześnie? - przywitał się.

- Żartujesz? - odparł Rudder. - Jestem na nogach już od kilku godzin. Co mi pozostaje? Więc, do czego doszedłeś?

- Przyjrzałem się dokładnie zdjęciom z łodzi, zrobionym przez policję tuż po zaginięciu Agathe.

- I?

- Ten bałagan... Z tego, co wiemy, Pelloquin był dobrym żeglarzem, wręcz chorobliwie skrupulatnym, a dobry żeglarz nie zostawia dziobu łodzi w takim stanie.

- Hm...

Verlaque czuł, że Rudder uśmiecha się po drugiej stronie.

- Nawet kotwica nie była w bakiście, co może oznaczać, że Pelloquin mógł celowo narazić Agathe...

- Lub...

- Lub chciał, by to kto inny się potknął? - Verlaque skrzywił się, zakłopotany, że przyznaje się do swoich wątpliwości przed dawnym profesorem.

- Przejrzałeś akta? - zapytał Rudder.

- Oczywiście - odparł Verlaque. - Żadna z osób na pokładzie nie była karana. Jak pan wie, Agathe i Valère Barbierowie kłócili się tamtego dnia, Agathe miała też sprzeczkę z Pelloquinem. Ale to niewiele nam mówi. Moja żona była wczoraj w Paryżu, w Les Loges...

- Och, naprawdę? - zdziwił się Rudder. Zaczął kaszleć i Verlaque czekał, aż kasłanie ucichnie.

- Tak, jej koleżanka ze szkoły jest tam teraz wicedyrektorką. Marine, moja żona, przeglądała akta Agathe i wiele informacji wyniosła ze spotkania z obecną *directrice*.

- Więc?

- Kilka ciekawostek - powiedział Verlaque. - Agathe miała talent literacki i zdobyła nagrodę za opowiadanie o tym samym tytule, co pierwsza powieść Valère'a Barbiera.

- *Rue Faubourg*?

- Właśnie.

- Najprawdopodobniej po prostu zasugerowała mu tytuł.

- Tak właśnie myślę - przytaknął Verlaque. - Ale moja żona jest innego zdania.

- Bzdura - chociaż... gdyby Agathe rzeczywiście pomagała mu pisać książki, to dałoby mu dobry motyw, by ją zabić.

- Albo Alphonse'owi Pelloquinowi - zasugerował Verlaque. - Zapewne wydał miliony książek Barbiera. A mówiąc o Pelloquinie, mam znajomego, który więcej niż raz widział Alphonse'a i Agathe razem w kawiarni w szóstej dzielnicy.

- No, w końcu coś ciekawego. Nie wydaje ci się zastanawiające, że nigdy nie znaleziono jej ciała, mimo że wypadła z łodzi stosunkowo blisko Nicei? Myślę, że powinienesz... - Rudder znowu zaniósł się kaszlem i Verlaque odsunął telefon od ucha.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał, kiedy hałas ucichł.

Usłyszał jakieś szuranie i w telefonie odezwała się kobieta:

- Sędzia Verlaque? - zapytała. - Jestem Daphne de Rudder. Wiem, że mój teść właśnie z panem rozmawiał.

- Czy Daniel dobrze się czuje?

- Tak, tak - odparła. - Po prostu musi teraz odpocząć. Dużo za wcześniej dzisiaj wstał.

Verlaque słyszał w tle protesty Rudderera.

- Rozumiem - rzekł. - I dziękuję, że tak dobrze opiekuje się pani Danielem. - Kiedy się rozłączył, ktoś zapukał do drzwi. - Proszę.

Wszedł Bruno Paulik, uściskał dłoń szefa, podszedł do jasnoczerwonego ekspresu do kawy i go włączył.

- Kawy? - zapytał.

Verlaque zaprzeczył ruchem głowy.

- Wypiłem już dwie. Czy według ciebie to nie dziwne, że ciało Agathe Barbier nigdy nie zostało odnalezione?

- Raczej nie. W morzu wszystko może się zdarzyć. Na przykład są w nim rekiny. - Paulik wzruszył ramionami.

- O, jak miło! Ale wtedy pojawiłaby się ręka albo noga, prawda?

- Teraz to pan idzie w makabrę. Czy myśli pan, że zaplanowała wypadek i nadal gdzieś jest?

Czerwone światelko w ekspresie zgasło, sygnalizując, że urządzenie jest gotowe. Paulik zrobił kawę.

- Jest pan pewien? - zapytał, trzymając filiżankę.

- No dobrze, zrób mi też - zdecydował Verlaque z uśmiechem.

- Jest pan naiwniakiem. - Paulik zrobił kolejne espresso. - Upozorowanie śmierci zawsze wydawało mi się nierealne - powiedział, wręczając Verlaque'owi małą kawę i siadając naprzeciwko niego. - Nie jest warte całego tego wysiłku. Ale dlaczego Agathe miałyby to robić?

- Zemsta. Chce zastraszyć Valère'a. Doprowadzić go do szaleństwa.

- Tylko po co?

Verlaque opowiedział Paulikowi o odkryciu Marine.

- Poza tym mój dawny profesor prawa też uznaje ten scenariusz za prawdopodobny.

Paulik słuchał z otwartymi ustami.

- To zaczyna brzmieć jak powieść.

- Dokładnie - zgodził się Verlaque, myśląc o *Rebecce*.

- Ale co, jeśli Valère tylko sobie wyobraża te duchy? - zasugerował Paulik. - Co, jeśli to ten stary dom wydaje nocą dziwne dźwięki, a Valère sam napisał te wspaniałe książki? -

Położył prawą rękę na sercu. - Bo strasznie trudno mi uwierzyć, że było inaczej. *Człowiek honoru? Recepcjonistka? Czerwona ziemia?* - to wszystko nie napisane przez naszego narodowego bohatera? Co, jeśli Agathe Barbier po prostu wypadła z jachtu?

- Jak na wielbiciela opery masz naprawdę małą wyobraźnię.

* * *

Verlaque wbiegł do mieszkania, opróżnił kieszenie i odłożył portfel i telefon na kuchennym blacie. Na dworze było wciąż bardzo ciepło, podejrzewał, że pewnie ze trzydzieści stopni, i w drodze z pracy myślał, jak dobrze by mu zrobił prysznic. Ale był na to zbyt podekscytowany.

- Marine! - krzyknął.

- Co? - zawołała z antresoli. - Robisz tam na dole tyle hałasu!

- Zejdź! - poprosił.

- O rany - mruknęła Marine i wyłączyła swój laptop. Od ponad pół godziny wpatrywała się w to samo zdanie, był już najwyższy czas, żeby to skończyć. Słyszała, jak jej mąż otwiera lodówkę i tłucze kuchennymi szafkami.

- Białe? - zapytał, kiedy schodziła metalowymi schodkami, które uważała za zbyt nowoczesne i surowe jak na takie stare mieszkanie.

- Tak, poproszę - powiedziała. Przeszła przez kuchnię i uściskała Verlaque'a. - Jesteś rozgrzany.

- I spocony - dodał. - Przepraszam. Wskoczę pod prysznic przed kolacją. Szkoda, że nie możemy zainstalować na tarasie basenu. Ale najpierw - powiedział, nalewając każdemu z nich białego burgunda - chcę z tobą porozmawiać o Valèrze.

- *Santé* - rzekła Marine, stuknęła kieliszkiem w kieliszek męża i upiła łyk. - Rozmawiałeś z Danielem de Rudderem?

- Tak, i zaraził mnie pewną ideą - odparł Verlaque. - Myślę, że Agathe nadal żyje.

Marine starała się nie roześmiać. Przeszła się po ich niedużej, ale wygodnej kuchni i wypła jeszcze trochę wina.

- I teraz próbuje zastraszyć Valère'a? - zapytała.

- Właśnie.

- Jest pewien problem z tą teorią - stwierdziła.

- Jaki?

- Erwan. Z pewnością chciałyby być ze swoim synem.

- Może on wie. Może potajemnie się widują.

- Przez dwadzieścia dwa lata? - zdziwiła się Marine. Jej twarz zaróżowiła się od upału i wina. - A jeśli Agathe napisała wszystkie te wspaniałe książki, czy nie pisałyby nadal albo wróciła do swojego garnarstwa?

- To dlatego biegłem po schodach i odkładam wzięcie prysznicza. - Verlaque uśmiechnął się szeroko.

- Pokonałeś cztery biegi schodów?

- Zatrzymałem się na chwilę na pierwszym piętrze. Bądź cicho i słuchaj.

- Ale z ciebie głupek - zaśmiała się Marine.

- Claude Petitjean.

- Już ją oddałam Sylvie - powiedziała Marine. - Przepraszam.

- Nie ma problemu, kupię. Czytałaś w ostatni weekend sekcję literacką w „Le Monde”?

Marine odstawiła swój pusty kieliszek na blat i zatrzymała spojrzenie na mężu.

- Petitjean ma na koncie pięć książek, pierwsze cztery zebrały entuzjastyczne recenzje, ale nie były poczytne, a teraz ta kolejna...

- Ogromny sukces - przerwała mu Marine. - Pomimo że autor, lub autorka, nie udziela wywiadów, a nawet nie udostępnia zdjęć. Bo Claude może być zarówno kobietą, jak i mężczyzną.

- I zgadnij, kiedy opublikowano pierwszą książkę jej lub jego autorstwa?

- Tuż po śmierci Agathe?

- W 1990.

Przerwał im dzwonek telefonu Verlaque'a. Ten spojrzął na ekran i powiedział:

- *Merde*. To Jacob z klubu. On nigdy nie dzwoni. Mogę odebrać?

- Śmiało. Przekaż pozdrowienia ode mnie. Zaczę przygotowywać kolację.

Verlaque wziął komórkę i poszedł z nią do pokoju dziennego. Marine otworzyła lodówkę i wyjęła wiązkę rukoli, którą dziś rano kupiła na rynku. Kiedy sięgnęła w głąb lodówki, znalazła torebkę orzeszków piniowych, kawałek parmezanu przywieziony z niedawnej podróży do Ligurii i trochę pancetty z ziołami od jej ulubionego rzeźnika. Zrobi linguini, wykorzystując te składniki ugotowane w rosole.

Dziesięć minut później Verlaque wrócił do kuchni i podłączył telefon do ładowania.

Marine chodziła po kuchni tam i z powrotem.

- Coś mnie niepokoiło, kiedy czytałam Petitjean czy Petitjeana.

Verlaque otworzył lodówkę, chwycił butelkę wina i ponownie napęłnił ich kieliszki.

- Tak?

- Pamiętasz, jak ci opowiadałam, o czym to jest?

- Dwoje dzieciaków, które wychowały się na tej samej ulicy w Paryżu, spotyka się ponownie w wieku siedemdziesięciu lat. - Spojrzał na żonę. - Oczywiście. Przypomniało ci to Valère'a i...

- Michèle Baudouin.

Verlaque podszedł do Marine, otoczył ją ramionami i pocałował w czoło.

- Mam nadzieję, że się mylimy. Nie lubię oszustów.

- Zgadzam się. - Marine obróciła się, by zamieszać makaron.

- W jakiej sprawie dzwonił Jacob? Jeśli mogę spytać?

- Przeprowadzają się do Londynu.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Niższe podatki - wyjaśnił Verlaque.

- Z wiekiem nabieram coraz bardziej socjalistycznych przekonań.

- To przeczy temu, co według Churchilla naturalnie dzieje się z nami z wiekiem - zauważył Verlaque. - Ale mam tak samo.

Odpowiedź męża zaskoczyła Marine, lecz była za bardzo głodna, by dyskutować o polityce.

- Zadzwoń, by powiedzieć ci o przeprowadzce?

- Tak, i o tym, że sprzedają dom. Nie chcieliby korzystać z usług agenta. Mamy prawo pierwokupu.

* * *

Kiedy Antoine Verlaque i Marine Bonnet jedli kolację na tarasie i z butelką szampana, który zaskakująco dobrze pasował do makaronu, świętowali możliwość zamieszkania w domu Jacoba, Bruno Paulik siedział w jasno oświetlonej kuchni Gastona Bresseya. Wpadł na Gastona, gdy kupował

chleb, i zażartował, że tego wieczoru jest sierotą, gdyż jego żona i córka spędzały wieczór w Aix u siostry jego żony. Gaston natychmiast zaprosił Paulika na kolację i dodał, że ze względu na ciepły dzień przygotowuje makaron z łososiem. Paulik chętnie przyjął zaproszenie i kupił w *boulangerie* tartę z jabłkami, taką z chrupiącą skórką i cienko pokrojonymi owocami, ułożonymi w kształt wiatraczka. Pojechał do domu, żeby wziąć szybki prysznic, i żałował, że nie mogli sobie pozwolić na zbudowanie basenu. Stawił się u Gastona dokładnie o ósmej, z ciastem i butelką schłodzonego różowego wina.

Musiał ustawić nogi pod kątem, bo inaczej nie zmieściłby ich pod małym, drewnianym stolikiem. Sączył różowe wino Hélène - sprzedawała go tak dużo, że nie nadążała z dostawami - i patrzył, jak Gaston gotuje. Ten pochylał się nad blatem, krojąc pory, a Paulik zauważył, że blaty były o dobre dziesięć centymetrów niżej niż u niego. Żona Gastona musiała mieć niewiele więcej niż metr pięćdziesiąt. Starszy pan się nie śpieszył, smażył posiekane pory i czosnek na maśle i oliwie z oliwek, mieszając powoli. Paulik pytał go o wydarzenia we wsi w ostatnich latach i o jego pracę w SNCF. Gaston odpowiadał z namysłem i uwagą. „Tak samo jak gotuje” - pomyślał Paulik. Gospodarz starannie odrywał liście tymianku od zdrewniałych łodyg, po czym dodawał je do potrawy. Paulik czuł ich zapach z miejsca, gdzie siedział: był to tymianek cytrynowy, rosnący małymi krzaczkami wzdłuż podjazdu.

- To pewnie nie jest łatwe: widzieć we wsi tyłu przybyszów - powiedział, chrupiąc rzodkiewki, które obtaczał w *fleur de sel*, nasypanym przez Gastona do małego spodka. Od porannej rozmowy w gabinecie Verlaque'a Paulik nie był stanie myśleć o niczym innym niż Agathe i Valère Barbierowie. Miał nadzieję uzyskać trochę informacji od starszego pana, który być może mógłby wybić mu z głowy pomysł, że Agathe wciąż żyje.

Gaston wzruszył ramionami.

- *Le changement, c'est normale.* - Położył małą, żeliwną patelnię na kuchence gazowej i patrzył, jak się rozgrzewa. Otworzył stary słoik po dżemie, wysypał garść orzechów piniowych i delikatnie zamieszał je na suchej, gorącej patelni drewnianą łyżką. Paulik przestał jeść rzodkiewki, by zachować apetyt na kolację.

Kiedy orzeszki uprażyły się na jasnobrązowo, Gaston odstawił patelnię na bok. Paulik zapytał, starając się, by zabrzmiało to lekko:

- Czy teraz są jacyś nowi przybysze w wiosce?

Gaston odwrócił się, marszcząc brwi, i Paulik natychmiast pożałował swojego oczywistego pytania.

- Co pan ma na myśli? - zapytał gospodarz, wciąż trzymając w ręku drewnianą łyżkę. - Czy przyjechał pan tutaj tylko po to, żeby zadawać policyjne pytania?

- *Non, je suis desolé,* panie Gastonie - usprawiedliwił się Paulik. - Zaraz wyjaśnię. - Opowiedział Gastonowi o tajemniczej śmierci Agathe Barbier, a ten słuchał i gotował.

- Za chwilę kolacja - odezwał się gospodarz kilka minut później, kiedy odlał makaron i dodał do pora kilka dużych łyżek *crème fraîche*. Odłożył łyżkę do zlewu i odwrócił się do Paulika.

- Często widywałem we wsi tę dziewczynę, Sandrine - zaczął. - Ale kilka dni temu widziałem ją, jak rozmawiała z jednym z kuzynów Pioger. Zobaczyli mnie i ruszyli w dół alejką, jak gdyby nie chcieli, by ktokolwiek ich zauważył.

- Pamięta pan, kiedy dokładnie to się wydarzyło?

Gaston podrapał się po głowie.

- To trochę trudne dla kogoś w moim wieku.

- Rozumiem - rzekł Paulik.

- Ale wczoraj widziałem coś jeszcze dziwniejszego.

- Naprawdę?

Gaston odwrócił się i wyłączył kuchenkę.

- Było już późno w nocy, a ja nie mogłem spać, więc zszedłem na dół, by zrobić sobie herbatę rumiankową. To zdarza się mniej więcej raz na tydzień. Wyrząłem przez kuchenne okno, to tutaj, obok pana.

Paulik wyrzął przez okno i zobaczył tył wiejskiego domu przy ulicy równoległej do ulicy Gastona.

- I?

- Na górze zapaliło się światło - oznajmił Gaston, podchodząc do Paulika. - Tam, u góry. - Wskazał na jedno z okien.

Paulik spojrział na Gastona, czekając na wyjaśnienie.

- Czy nie uważa pan, że to dziwne, komisarzu? Dlaczego niewidoma kobieta musiała włączać światło w środku nocy?

Aix-en-Provence, wtorek 13 lipca 2010

Pomimo gorąca - odczuwalnego już o dziewiątej rano - Florence Bonnet uparła się, by do archidiecezji, zlokalizowanej na północ od placu Bellegrade, przy niepozornej uliczce zabudowanej powojennymi domami mieszkalnymi, pojechać na rowerze. Archidiecezja rządziła połączonymi parafiami w Aix i w Arles. Wydawało się, że znajdowali ją wyłącznie ludzie z ważnymi sprawami do załatwienia, bo tylko adres - cours de la Trinité - wskazywał na funkcję bladoróżowego budynku na końcu ulicy. Profesorka Bonnet przyjeżdżała w to miejsce od prawie pięćdziesięciu lat, od kiedy zaczęła studia, i prawie zawsze na rowerze. Tutaj nigdy nie dało się znaleźć miejsca parkingowego.

Oczywiście znała dyrektora archiwów, który niestety trafił na swoje stanowisko nie dzięki talentowi i ciężkiej pracy, ale za sprawą znajomości i politycznych rozdań. Kiedy weszła, podpisała listę odwiedzających i ruszyła w dół korytarza w stronę archiwów. Zastanawiała się, jak podejść do dyrektora. Powiedzieć mu wprost, czego szuka? Przekazać tylko absolutne minimum? Otworzyła drzwi i zobaczyła za biurkiem młodą, nawet nie trzydziestoletnią kobietę, która uśmiechnęła się do niej na przywitanie. Florence odwzajemniła uśmiech, przedstawiła się i zapytała o dyrektora. Kobieta pokręciła głową.

- Wyjechał na dwa tygodnie - odparła. - Wakacje.

Florence zasnuwała usta. Zupełnie zapomniała, że obecnie wielu pracowników wyjeżdżało na wakacje w dowolnym okresie, a nie podczas tradycyjnej przerwy urlopowej w połowie sierpnia.

- Rozumiem - powiedziała.

- Ale z przyjemnością pani pomogę - dodała szybko młoda kobieta. - Przez cały tydzień tylko kataloguję.

- Czy mogłam panią widzieć na uniwersytecie, na wydziale teologii? - zapytała Florence. Tak naprawdę nie była pewna, gdyż teraz wszyscy studenci wyglądali dla niej tak samo, a poza tym rzadko bywała w kampusie - tylko wtedy, gdy miała jakieś spotkanie.

- Być może. - Młoda kobieta ponownie się uśmiechnęła. - Jestem na studiach magisterskich. Czytałam niektóre z pani artykułów o Świętym Augustynie.

- To pięknie - odparła Florence, podenerwowana. - Jak ma pani na imię?

- Elodie.

- No to bierzmy się do roboty, pani Elodie - powiedziała Florence. - Potrzebne nam będą archiwa parafii w Puylobier.

- To łatwe.

- Od 1688 do 1760.

Twarz Elodie rozjaśniła się.

- Mogę je znaleźć.

Florence uśmiechnęła się i powiedziała:

- Doskonale. Jak pani wie, ja specjalizuję się w czasach o kilka wieków wcześniejszych. Tym razem szukam mężczyzny, hrabiego Hugues'a de Besse, który urodził się w 1688. Zacznijmy jednak mniej więcej dwadzieścia lat po tej dacie i idźmy dalej, aż do jego śmierci w 1760. W Puylobier jest kościół św. Poncjusza.

Elodie pokręciła głową.

- Teraz, ale nie wtedy. Był tam kościół maryjny, który wciąż stoi za wsią. Kilka tygodni temu katalogowałam stare zdjęcia tego kościoła. Pójdę po odpowiednie książki i do pani dołączę. Możemy pracować tutaj. Jak pani widzi, to spokojny czas w roku.

- Może dlatego, że nikt nie wie, że w tym budynku jest klimatyzacja - skomentowała Florence, odkładając torebkę i torbę na drewniany stół. Ze sznurkowej siatki wyjęła jasnoniebieski, bawełniany sweter, ozdobiony na krawędziach żółtymi, haftowanymi stokrotkami - prezent od Marine. Zanim włożyła go po raz pierwszy, Florence spojrzała na logo na metce i skrzywiła się. Często mijała butik tej specjalizującej się w dzianinie firmy i wołała nawet nie zgadywać, ile ten sweter musiał kosztować jej córkę. Potrząsając głową, złożyła to wszystko na karb Antoine'a Verlaque'a i jego ekstrawaganckich gustów. Marine została wychowana na zakupach w Monoprixie i na wyprzedażach.

Po kilku minutach wróciła Elodie z trzema dużymi, ciemnozielonymi księgami. Kiedy młoda kobieta starannie odkładała książki, Florence zauważyła, że ma na sobie białe rękawiczki. Po chwili dostała takie same.

- Zaczniemy od tego - powiedziała Elodie. - Główna księga zaczyna się od 1710, kiedy pani hrabia miał 22 lata. Czy tak będzie dobrze?

- Doskonale.

Elodie usiadła i otworzyła księgę. Popatrzyła na panią profesor i zapytała miękko:

- Czy powiedziała by mi pani coś o tym, czego pani szuka?

W korytarzu otworzyły się i zamknęły jakieś drzwi, a Florence przysunęła się bliżej do Elodie. Szeptem powiedziała dziewczynie to, co wiedziała, próbując nie krzywić się przy określonych fragmentach historii.

- Zanim zesłam na dół po księgi, sprawdziłam nazwisko ówczesnego arcybiskupa - oznajmiła Elodie.

- Wspaniale. - Florence patrzyła na pierwszą stronę księgi i delikatne, pochylone pismo wypełniające kolumny tekstu. - To fascynujące.

- To rejestry urodzin z kościoła Najświętszej Marii Panny - wyjaśniła Elodie.

- Ale oczywiście narodziny, które nas interesują, nie zostały odnotowane.

- A co z kartoteką u lekarza?

- Nie - odparła Florence, potrząsając głową. - Miały najwyżej położną.

- Och, oczywiście - przytaknęła Elodie. - Albo też pomagały sobie nawzajem.

- Biedne dziewczęta.

- Rejestry sądowe? - zasugerowała Elodie. - Jeśli ktoś zaskarżył hrabiego? Ktoś przecież musiał to zrobić!

- To już bardziej domena mojej córki. Ale wątpię, by któraś z tych dziewcząt odważyła się ujawnić, co działo się w tamtym domu. Zatem - mówiła dalej Florence, delikatnie przewracając stronę - nie jestem pewna, czego szukamy, i nie sądzę też, że te rejestry cokolwiek nam ujawnią.

- Listy? Pamiętniki?

Florence usiadła prosto i spojrzała na Elodie.

- Ma pani takie skarby?

- Tak - odparła dziewczyna, przyciągając do siebie krzesło zza stołu. - Początkowo nie byłam pewna, czego pani szuka. Arcybiskup mógł trzymać listy i pamiętniki, ale nie przypominam sobie tak od razu. Są na dole. Kiedy rozpocząłam tu staż, dostałam do uporządkowania akta parafii w okolicach Sainte-Victoire. W tym oczywiście Puylobier. Zaraz wracam.

W południe Elodie zamknęła bibliotekę na dwie godziny i kobiety zjadły razem lunch w małej kuchni na parterze. Szczęśliwie też była klimatyzowana.

- Nie powinniśmy pozwalać gościom na pozostawianie w budynku podczas przerwy na lunch - odezwała się Elodie. - Ale myślę, że skoro jest pani emerytowaną profesorką filozofii...

- Nie chcę pani wpędzić w kłopoty! - zaprotestowała Florence. Ale jednocześnie nie miała ochoty jeść na zewnątrz w tej gorąco.

- Nie, wszystko w porządku. Zazwyczaj jestem jedyną osobą, która korzysta z tej kuchni. Wszyscy idą do domu albo do restauracji.

Po zjedzeniu kanapki z tuńczykiem Florence zdjęła sandały i zdrzemnęła się na starej skórzanej sofie przysuniętej do jednej ze ścian, a Elodie zagłębiła się w powieści. Florence zazdrościła jej młodości, szczególnie możliwości czytania przez cały dzień. Jej umysł za bardzo błędził ostatnimi czasy.

* * *

Florence spojrzała na zegar. Dochodziła czwarta. Nie znalazły żadnych pamiętników prowadzonych przez arcybiskupa, Jean-Baptiste'a de Brancasa, ale natrafiły na stosik listów.

- Coś ciekawego? - zapytała młodą kobietę, która czytała z głową opartą na dłoniach.

- Jeszcze nie, a przejrzałam już prawie połowę - odparła, ziewając. - Trudno odczytać odręczne pismo, a te listy są bardzo oficjalne.

- Ma pani pełne prawo powiedzieć, że są nudne - rzekła Florence.

- Są nudne.

Florence roześmiała się i znów pochyliła głowę nad listami. Ocalały tylko te adresowane do arcybiskupa. Jego listy albo

zagięły, albo znalazły się w innych archiwach, być może w Paryżu albo Watykanie. Oczywiście nie chciała spędzić nad nimi więcej czasu, niż na to przeznaczyła, i żałowała, że nie wzięła ze sobą jedwabnego szalika, by ochronić szyję i gardło przed chłodem z klimatyzacji. Rozboliła ją głowa.

- Bastide B. - odezwała się głośno Elodie.

- Słucham?

- To jest list od księdza, *père* Guya Bernarda z kościoła Najświętszej Marii Panny w Puylobier - wyjaśniała Elodie. -

Wygląda na to, że *père* Guy skarży się na „*des problèmes*” w Bastide B. Trudno odczytać jego pismo. - Odzianą w rękawiczkę dłonią przesunęła list do Florence. - To prawie na samym dole. Czy jest pani w stanie to odcyfrować?

Florence podniosła list i pochyliła się nad nim, starając się ignorować pulsujący ból głowy.

- „*Avec les bonnes*” - przeczytała na głos. - Ze służącymi. Nazywa je „*les filles rondes*”.

- Okrągłe? - dopytywała Elodie. - W ciąży?

Florence potwierdziła ruchem głowy.

- A *père* Guy, jako proboszcz, na pewno często bywał w *bastide*.

Elodie rozpoczęła lekturę następnego listu.

- To korespondencja od kardynała - powiedziała. - Pod koniec wspomina: „*Je regret de ne pas pouvoir vous aider avec les problèmes à la Bastide B.*”. Trudno odczytać datę, ale wydaje się, że to lipiec 1742.

- Kardynał nie mógł nic poradzić na te problemy - zauważyła Florence. - Nie mógł czy nie chciał?

Elodie czytała dalej, a kiedy skończyła, odezwała się:

- Kardynał pisze na końcu, że chciałby przypomnieć arcybiskupowi o hojności hrabiego.

Florence uderzyła ręką w drewniany stół.

- Teraz musimy jeszcze raz przejrzeć tamte książki - powiedziała.

- By sprawdzić datki od hrabiego? - zgadywała Elodie.

- Właśnie. Jak wykupił się z *les problèmes*.

* * *

Verlaque obudził się tego ranka przy pierwszym świergotaniu ptaków i poczuł przyjemne, chłodne powiewy napływające przez otwarte okna. Spojrzał na Marine, która wciąż spokojnie spała z rękoma wzdłuż ciała. Kiedy pociągnął białe prześcieradło, by okryć ramiona, usłyszał z kuchni dzwonek swojego telefonu. Wyskoczył z łóżka, żeby go wyłączyć, ale zauważył, że to Bruno Paulik. Jeszcze nie minęła siódma.

- Bruno, dzień dobry - odezwał się Verlaque.

- Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie - powiedział Paulik.

- Ale w Puylobier zdarzyło się coś dziwnego.

- Co takiego?

- Mieszka tam niewidoma dama, paryżanka, która każdego wieczoru włącza u siebie światło.

Nagle przed oczyma Verlaque'a ukazał się korytarz w mieszkaniu Ursule Genoux. Radośnie żółte ściany z kapeluszami wiszącymi na haczykach.

- Czy w ciągu dnia nosi duże słomkowe kapelusze? - zapytał.

- Jak się nad tym zastanowię, to tak. Léa i Hélène często ją widują. Léa wspominała o tych kapeluszach, bo w tych okolicach noszą je zazwyczaj Brytyjki.

- Albo kobiety z północnej Francji, które bardzo dbają o swoją cerę - uzupełnił Verlaque. - Ursule Genoux, jej siostra albo...

- Agathe Barbier. Wyślę radiowóz pod jej dom.

- Świetnie. Ja mam dziś dzień wypełniony spotkaniami. W Marsylii - powiedział Verlaque, patrząc na zegarek. - Jemy dzisiaj z Marine kolację w Puylobier. Marine oszalała na punkcie tamtejszej restauracji, a zwłaszcza ekscentrycznej kelnerki, która tam pracuje. Wpadniemy do was później, na rozchodniaka.

29

Nowy Jork, 23 września 2010

Następny dzień był jednym z najszcześniejszych, a jednocześnie najbardziej przerażających dni w moim życiu. Najpierw to, co dobre. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem taki szczęśliwy, jak w chwili, gdy usłyszałem Dzwoneczek toczący się w górę podjazdu. Wybiegłem na dwór dokładnie w chwili, gdy Sandrine parkowała.

- Gdzie byłaś? - krzyknąłem, kiedy wysiadła, otworzyła bagażnik i wyjmowała różne torby.

- Pisałam do pana! - odpowiedziała i złożyła *bise* na moim policzku.

- Z całą pewnością nie pisałaś.

- Z całą pewnością pisałam, M. Barbier, a taki pan jest ą-ę. Czy pan nie sprawdza swoich esemesów?

- Zawsze sprawdzam - odparłem. - Twój stryj też nie wiedział, gdzie jesteś.

Zamknęła bagażnik i spojrzała na mnie.

- Jemu też mówiłam.

- Nie, najwyraźniej nie.

Położyła swoją ogromną, niebieską torebkę na wgnieciony dach Clochette, pogrzebała w niej trochę i wyjęła telefon. Włączyła go i przewijała historię.

- *Merde!*

- Co?

- Nie wysłałam ich - wyjaśniła. - Powtórzyłam każdemu z was tę samą wiadomość. Musiałam być poza zasięgiem.

- Więc gdzie byłaś?

- W Cévennes - odparła. - W starym *cabanon* mojej przyjaciółki. Pozwala mi z niego korzystać, kiedy tylko... muszę się odizolować.

Ruszyła w kierunku domu, a ja chwyciłem jedną z jej toreb. Powiedziałem:

- Zamartwiałem się o ciebie.

Odwróciła się i spojrzała na mnie tak, jakbym właśnie powiedział najmiłszą rzecz na świecie.

- Naprawdę? - upewniała się.

Kiedy weszła do domu, zatrzymała się i rozglądała dookoła.

- Pamięta pan tę scenę z *Dźwięków muzyki*, w której matka przełożona mówi Marii, by wróciła do domu kapitana i zmierzyła się ze swymi demonami?

- Jak przez mgłę - odparłem, wciąż wkurzony. - Wypijmy po kieliszku wina i wtedy mi wyjaśnisz.

Sandrine maszerowała przede mną w stronę kuchni, jej sandały na wysokim obcasie robiły nieprawdopodobny hałas, gdy uderzały w ceramiczną podłogę. Nagle poczułem radość, że mam ją z powrotem w domu.

- Myślisz, że są tu jakieś demony? - zapytałem, wyjmując z lodówki butelkę białego wina.

- Nie. - Znowu rozglądała się dookoła, jakby ktoś nas podsłuchiwał. - Ale są duchy. I... Po prostu nie mogłam zmierzyć się z...

- Z duchami? I smutnymi wspomnieniami?

- Wie pan o Josy? - szepnęła.

- Twój stryj mi powiedział - odparłem. - Tak mi przykro, Sandrine.

Opadła na krzesło.

- Nigdy wcześniej nie byłam w takiej rozpacz. Nie wiem, jak sobie z tym radzić... Minęły już trzy lata, ale nie jest ani trochę lepiej.

- Będzie - powiedziałem. - Zapewniam cię.

Spojrzała na mnie, a jej oczy napełniły się łzami.

- Przepraszam, M. Barbier. Pan też przez to przechodził.

- Mogłabyś skorzystać z profesjonalnej pomocy. Ja tak zrobiłem.

- Co?

- Terapeuta - wyjaśniłem.

Pomachała ręką przed moją twarzą.

- To dla bogatych mieszczuchów. Kilka dni w Cévennes działo cuda. Poza tym, do kogo miałabym iść?

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, ale potem zdałem sobie sprawę, że miała na myśli terapeuta.

- Znajdziemy kogoś w Aix - rzekłem, a jej twarz przybrała zagadkowy wyraz. - Sesje mogą być opłacane z ubezpieczenia zdrowotnego. A jeśli zbyt dużo czasu upłynęło od wypadku, ja zapłacę. I nie życzę sobie żadnego sprzeciwu. Ale jest jeszcze jedna rzecz. Tej nocy, kiedy krzyczałem przez sen...

Sandrine zaczęła gwizdać i rozglądać się po kuchni.

- Sandrine. Gdzie byłaś wcześniej? Spotkałaś się z Hervém Piogerem?

Spojrzała na mnie i zaczęła płakać.

- Oczywiście, potrafię ich sobie wybierać, prawda? Nawet nie chciał się ze mną zobaczyć. Pukałam i pukałam do jego drzwi... a następnego dnia wpadłam na niego w wiosce, a on powiedział takie okrutne rzeczy.

- Zapomnij o nim, Sandrine - odezwałem się, podając jej chusteczkę. - Lepiej być singielką, niż wiązać się z kimś, kto

jest dla ciebie nieodpowiedni, kto cię upokarza. On ci do pięt nie dorasta.

- Naprawdę?

- Jestem tego pewien.

- Dziewczyna czuje się samotna, M. Barbier - powiedziała.

- Wiem wszystko o samotności, Sandrine. Nie oceniam cię.

Wyprostowała się i uniosła kieliszek.

- Już mi lepiej, dziękuję. - Rozejrzała się dookoła i zapytała:

- Gdzie są wszyscy? Erwan? Michèle?

- Będziesz zadowolona - oboje wyjechali - odparłem. -
Przynajmniej na razie. Erwan zabrał ze sobą jedną z mniejszych waz Agathe...

- Pozwolił mu pan?

- Jestem zmęczony, Sandrine. Chciałem, żeby się wyniosł.

- On na pewno zaraz ją sprzeda...

- Zrobiła ją jego matka. Ma do tego prawo. - Powstrzymałem się od wyjaśnień, dlaczego pozwoliłem temu małemu skurczybykowi ją zabrać.

- A Michèle?

- Jest w Luberonie, w jakiejś fantastycznej rezydencji producentów filmowych - odparłem. - Wróci za kilka dni, ale tylko po to, by zabrać resztę bagażu i znów wyjechać.

- Uf! - Sandrine ponownie uniosła kieliszek i stuknęła nim w mój.

Właśnie upiliśmy pierwszy łyk, kiedy weszła Léa.

- *Coucou!* - zawołała z kuchennych drzwi. - Sandrine! -
Podbiegła i rzuciła się jej w ramiona. - Wiedziałam, że wkrótce wrócisz. Ale nie wiedzieliśmy, gdzie byłaś!

- Przepraszam, *chérie*. Drobnny problem natury praktycznej. Byłam w Cévennes, ale już jestem z powrotem. Po drodze zajechałam do Aix i odebrałam coś dla ciebie. - Sandrine

sięgnęła głęboko do jednej z toreb, wyciągnęła płaskie, prostokątne pudełko i podała je dziewczynce.

Léa usiadła przy stole i otworzyła pudełko. To było moje zdjęcie z Marią Callas, oprawione. Nie będę ci opowiadał o ramce. Dość powiedzieć, że miała dużo serc z kryształu górskiego.

- Dziękuję - powiedziała Léa.

Przytuliła zdjęcie do piersi, po czym starannie włożyła je do pudełka i umieściła na blacie. Namówiłem dziewczyny na grę w scrabble - one przeciwko mnie. Tak przyjemnie spędziliśmy około godziny. Sandrine pomogła swojej drużynie wygrać, gdyż przedłużyła słowo *on* do *déception* i zyskała podwójną premię słowną za wykorzystanie wszystkich płytek. No cóż, to Sandrine pomyślała o tym słowie, ale to Léa potrafiła prawidłowo je zapisać.

O ósmej Léa spojrzała na kuchenny zegar i oznajmiła, że musi iść do domu na kolację. Sandrine powiedziała, że znalazła w „La Provence” przepis na risotto, i zapytała Léę, czy chce pomóc.

- Chociaż tyle możemy dla pana zrobić, by złagodzić tę sromotną porażkę w scrabble - mówiła Sandrine.

Przekonywałem, że po prostu miały szczęście do liter, a w tym czasie Léa dzwoniła do rodziców, by zapytać, czy może zjeść z nami. Dziewczyny, drażniąc się ze mną, zostawiły planszę z rozegraną grą na brzegu stołu. Sandrine fruwała po kuchni i zbierała składniki do risotto, a Léa pomagała mieszać ryż, co było zajęciem długotrwałym i żmudnym. Zawsze się cieszyłem, gdy nie musiałem brać w tym udziału.

Skończyliśmy jeść około wpół do dziesiątej, wzięliśmy latarki i ruszyliśmy, by odprowadzić Léę przez ogród do domu. Tak, Justinie, wiem, że to brzmi jak szczegółowy, beznamiętny raport policyjny, ale chcę przekazać ci wszystkie fakty. A tak przy

okazji, ten burbon Tennessee jest wyśmienity. Ja pewnie wybrałbym tradycyjny armagnac.

Kiedy dotarliśmy do domu Paulików, w środku paliły się światła. Léa otworzyła drzwi, pomachała nam na pożegnanie i zamknęła za sobą. Wtedy Sandrine powiedziała:

- *Zut!* Léa zapomniała zabrać swoją fotografię.
- Możemy ją przynieść jutro - zaproponowałem.

Sandrine nalegała, żebyśmy przeszli się trochę dłużej, by spalić kolację. Byłem w dobrym nastroju i chętnie się zgodziłem. Poza tym w kieszeni miałem cygaro, a lubię palić i się przechadzać.

Poszliśmy do wioski - wymarłej o tej porze - i wróciliśmy do domu. Był dopiero kwadrans po dziesiątej, ale nagle oboje poczuliśmy się wyczerpani. Na podeście powiedzieliśmy sobie do widzenia i wtedy zadzwonił telefon.

- *Âllo, Valère* - odezwał się Bruno Paulik. - Pewnie dobrze się bawicie, ale już czas, by Léa wróciła do domu. Mogę po nią przyjść.

Serce podeszło mi do gardła. Nie mogłem wykrztusić słowa.

- Valère?

- Ona jest w domu - rzekłem. - Odprowadziliśmy ją mniej więcej godzinę temu.

- Nie żartuj.

- Mówię serio. - Sandrine usłyszała naszą rozmowę i wyszła z sypialni. Była blada i miała otwarte usta. Bruno powiedział coś do Hélène i słyszałem, jak krzyknęła. - Sprawdźcie w jej pokoju. Pewnie poszła prosto do łóżka - zasugerowałem, jak gdybym znał ich dziecko lepiej niż oni sami.

- Nie ma jej tutaj - stwierdził Bruno. - Zaraz u was będę...

Rozłączył się, zanim mogłem coś odpowiedzieć. Odwróciłem się do Sandrine, a ona ruszyła biegiem w dół schodów.

- Może Léa jest w ogrodzie - zgadywałem, idąc za nią.

Sandrine przebiegła przez pokoje na parterze, wołając imię dziewczynki. Wszedłem do kuchni i gapiłem się na cztery ściany, absolutnie niezdolny, by się ruszyć czy zrobić coś użytecznego. Weszła Sandrine i spojrzała na blat kuchenny.

- Fotografia Léi zniknęła - powiedziała.

- Myślisz, że wróciła, żeby ją zabrać?

- Oczywiście - odparła. - Przepraszam, M. Barbier! -

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczyma i zaczęła krzyczeć:

- Ale gdzie ona jest? Ten dom! Ten dom pełen duchów! Powinnam była trzymać się od niego z daleka!

- Sandrine, uspokój się. - Ująłem ją za ramię i myślałem, że będzie płakać, ale ona zebrała się w sobie, kiedy tylko usłyszała, jak przed domem zatrzymuje się samochód Brunona. Podbiegłem do drzwi.

- Jest tutaj? - zapytał, dysząc.

- Nie. Szukaliśmy jej po całym domu. Myślmy, że mogła przyjść tu z powrotem, by zabrać zdjęcie, które zostawiła w kuchni. Teraz go nie ma.

- Przeszukajmy ogród - zakomenderował Bruno, obracając się, by spojrzeć na winnice i drzewa oliwne, które oddzielały nasze włości. Nagle zapaliły się światła na zewnątrz i rozjaśniły ogród.

Wtedy wyszła Sandrine.

- Czy te światła nam pomogą? - zapytała.

- Tak - burknął Bruno. Wtem spomiędzy winorośli doszedł do nas warkot, za chwilę zobaczyliśmy tam dwa reflektory. - Hélène. Jedzie traktorem.

Sandrine wręczyła nam latarki.

- Weźmy po jednym rzędzie i idźmy w kierunku waszego domu. - *Cagole*, która mówi komisarzowi policji, co ma robić.

Rzuciłem się przed siebie, w stronę basenu, nie czekając na nikogo. Poczulem mdłości. Czy mogła wpaść do wody? Ale kiedy znalazłem się blisko, w świetle basenowych lamp zobaczyłem, że basen jest pusty, tylko turkusowa woda uderzała delikatnie w obłożone kafelkami ścianki.

- Dzięki Bogu - mruknąłem do siebie, włączyłem latarkę i dołączyłem do pozostałych.

Było nas czworo dorosłych, wykrzykujących imię Léi przy akompaniamencie warkotu traktora jeżdżącego wzdłuż rzędów winorośli. Jego światła były tak intensywne, że musieliśmy odwracać wzrok, kiedy podjeżdżał do nas blisko. Teraz rozumiałem, dlaczego Hélène pomyślała o tym, by się nim posłużyć.

- Oglądaliśmy film. Być może Léa coś do nas zawołała, ale nie słyszeliśmy - wyjaśnił Bruno, kiedy spotkaliśmy się na końcu naszych równoległych rzędów. Objął swoją łysą głowę dłońmi.

- Powinienem był wejść z nią do waszego domu - stwierdziłem - i się przywitać. To moja wina.

Paulik powiedział szybko:

- Pewien starszy mieszkaniec wioski powiedział mi wczoraj, że niewidoma kobieta, która wynajmuje tu dom, nie jest osobą, za którą się podaje...

- Co?

Hélène wysiadła z traktora. Schyliła się, jak gdyby przyglądała się winoroślom, owoce zwisały się w ogromnych gronach wśród szerokich, jasnozielonych liści. Wydało mi się dziwne, że zajmuje się teraz winoroślą, dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że musiała się schylić, bo wymiotowała. Bruno podbiegł do niej i potarł jej plecy, a my z Sandrine staliśmy tam, nie wiedząc, co robić, gapiąc się i czekając na wskazówki Brunona. Przecież jest komisarzem policji. Wtedy

spojrzał na nas, jego twarz oświetlona była przez pomarańczową łunę. Usłyszałem dochodzące z tyłu trzaski.

- Dwór! - krzyknął i zaczął biec.

Hélène ruszyła za nim, Sandrine szybko się z nią zrównała, a ja pobiegłem za nimi. Dopiero teraz zauważyłem, że Hélène ma na sobie koszulę nocną i buty do biegania, a Sandrine jest boso. Musiała zrzucić sandały na wysokich obcasach, kiedy wychodziliśmy z domu. Kobiety są od nas silniejsze, Justinie, szczególnie w takich chwilach jak ta. Musisz to wiedzieć i zaakceptować. Agathe była z całą pewnością silniejsza ode mnie.

Niebo rozbłysło, tą samą pomarańczowo-czerwoną łuną, która rozświetliła twarz Brunona. *Bastide* stanął w płomieniach, kłębiących się teraz z każdego okna.

30

**Aix-en-Provence,
wtorek 13,
środa 14 lipca 2010**

Antoine Verlaque zobaczył pomarańczową poświatę, będąc we wsi. Początkowo pomyślał, że może to od fajerwerków z sąsiedniej miejscowości, i spojrział na telefon, żeby sprawdzić datę. Nie, Dzień Bastylli przypada dopiero jutro. Poza tym poświata pojawiła się na północy, poniżej mont Sainte-Victoire, gdzie znajdowało się tylko kilka domów, między innymi farma Paulików i La Bastide Blanche. Dołączył do Marine, która stała przy samochodzie i wpatrywała się w niebo.

- Naszej niewidomej kobiety nie ma w domu - powiedział. - Ale spójrz na tę łunę.

- Chciałam pobiec do jej domu i cię zawołać, ale kilkoro ludzi wyszło z baru, patrzyli w górę i krzyczeli. Barman zadzwonił do straży pożarnej. Boję się, Antoine.

- Pojedźmy do Valère'a.

Właśnie mieli wsiadać do samochodu, gdy zadzwonił telefon Verlaque'a.

- *Merde* - zaklął. - To Rudder.

- Odbierz - poradziła Marine i podbiegła do drzwi kierowcy.
- To może być ważne. Ja poprowadzę.

- Danielu - odezwał się, trzymając telefon pod brodą i zapinając pas.

- Moja synowa jest na zewnątrz - powiedział Rudder. - Więc nie mamy za wiele czasu. Czy myślałeś o...

- Tak, twoja teoria o tym, że Agathe wciąż żyje, jest fascynująca.

Rudder zaniósł się śmiechem, który przeszedł w kaszel.

- O czym ty mówisz?

- Twoje ostatnie słowa do mnie...

- Przerwała nam siostra Ratched - powiedział Rudder.

- Ale ta teoria może się potwierdzić, niezależnie od tego, czy jest twoja, czy nie - mówił dalej Verlaque. - Claude Petitjean. Nie widzisz tego?

- Claude Petitjean?

- Pisarz lub pisarka. - Verlaque spojrzał na Marine i mrugnął, ale ona nie odrywała wzroku od krętej drogi.

Rudder wydarł się do telefonu:

- Wiem, o kim mówisz! Petitjean to kobieta, ale ona ma czterdzieści kilka lat, a nie prawie siedemdziesiąt. Wcześniej pracowała jako profesor biologii z Limoges. Mieszka na wsi z mężem i dziesięcioletnimi bliźniętami, chłopcem i dziewczynką. Przekształcili stodołę na dom mieszkalny.

- Skąd to wszystko wiesz? - westchnął Verlaque.

- Ratched uwielbia jej książki - chrząknął Rudder - więc obiecałem jej, że dowiem się trochę o tajemniczej pisarce. Moje źródła są absolutnie pewne.

- Nie wątpię - powiedział Verlaque. - Ale kiedy rozmawialiśmy ostatnio, wskazałeś na fakt, że ciało Agathe nigdy nie zostało znalezione.

- Po prostu głośno myślałem. Chciałem zasugerować, żebyś się lepiej przyjrzał Les Loges... - Zaczął kasłać, a Verlaque usłyszał szuranie i kobiecy głos. - Mój czas się skończył - powiedział Rudder, jednocześnie śmiejąc się i kaszląc. - Kiepski żart. Przepraszam.

* * *

Kiedy podjechali bliżej do *bastide*, niebo jeszcze bardziej rozbłysło, ale pole widzenia tuż przed samochodem zasnuło się dymem. Verlaque szybko przekazał Marine treść rozmowy z Rudderem, choć ona już wcześniej większość zrozumiała.

- Nawet jeśli Agathe nie napisała książek Petitjean, i tak być może żyje - powiedziała. - Jest jeszcze jedna kobieta, która powinna trafić na listę podejrzanych, także po sześćdziesiątce albo siedemdziesiątce.

Verlaque spojrział na żonę.

- Michèle Baudouin.

- Tak. Widziałam ich razem i ich relacja jest co najmniej dziwna. Miłość i nienawiść, tak jak w książkach Petitjean.

- A to, co przed nami, przypomina raczej scenę z *Rebekki* - zauważył Verlaque i pochylił się w stronę przedniej szyby, aby zobaczyć drogę.

- Tak się kończy ta książka? - zapytała Marine, rzucając mężowi szybkie spojrzenie. - Pożarem?

- Tak, Danvers staje w płomieniach.

Skręcili w drogę do gospodarstwa Paulików i zatrzymali się na jej skraju, w pobliżu *bastide*.

- Nie chcę bardziej podjeżdżać - zdecydowała Marine i wyłączyła silnik.

- Stąd możemy iść pieszo - stwierdził Verlaque, wysiadając z samochodu. Kiedy podeszli do frontowego tarasu, podbiegł do nich Paulik z obłędem w oczach.

- Tam jest Léa! - krzyczał ponad strzelaniem iskier, rykiem ognia i dalekim dźwiękiem syren. Na twarzy miał smugi od potu i łez.

Verlaque chwycił go za łokieć.

- Nie możemy wejść do środka, Bruno!

- Bruno, strażacy są w drodze! - zawołała Marine. - Niech robią swoje.

- Chrzańć to! - wrzasnął Paulik, wyrwał się z uchwytu Verlaque'a i ruszył do drzwi wejściowych, w których kłębił się czarny dym. Zdarł z siebie T-shirt, przycisnął go do twarzy jako maskę i zniknął w środku.

- Bruno! - krzyknęła Hélène, kiedy dotarła do nich z Sandrine u boku. - Nie!

- Tylne drzwi - powiedziała po chwili. - Otwórzmy je. Ogień może jeszcze tam nie dotarł.

- Klamka może być za gorąca - zawołał Verlaque.

- Rękawice do grilla - odkrzyknęła Sandrine. - Wezmę je i spotkamy się już tam!

W tej chwili podbiegł do nich Valère Barbier, bez tchu, oparł się rękoma na kolanach, żeby odzyskać równowagę.

- M. Barbier - odezwała się Marine, podchodząc do niego. - Musi pan usiąść.

- Absolutnie nie mogę usiąść - odparł, patrząc ze łzami w oczach na dom. - Jeśli Léa tam jest...

- Może wcale nie - powiedziała Marine.

- Ale Léa wróciła do mojego domu, by zabrać zdjęcie, o którym zapomniała - tłumaczył Valère. - Najwyraźniej przyłapała tę kobietę na gorącym uczynku, kiedy ta oddawała się swoim strasznym praktykom.

- Kogo ma pan na myśli, Valère? - szepnęła Marine.

- Niewidomą damę...

- To pan o niej wie?

- Bruno właśnie mi powiedział o niewidomej kobiecie - zaczął Valère drżącym głosem - która mieszka w wiosce... i za tym wszystkim stoi.

Syreny wyły coraz głośniej i głośniej, a potem nagle ucichły, kiedy dwa wozy strażackie zatrzymały się nieopodal.

- Musiała gonić Léę - mówił dalej, jakby nie słyszał samochodów i strażaków, którzy rozwijali węże.

- Może Léa uciekła - zasugerowała Marine i objęła pisarza ramieniem.

Valère odtrącił jej rękę.

- Agathe! - krzyknął, patrząc na dom. - Agathe!

- Czy w środku są ludzie? - zapytał Verlaque'a kapitan straży pożarnej, który dotarł już na taras.

- Możliwe, że trzy osoby - odparł Verlaque, spoglądając na żonę. Czy w domu była Agathe Barbier? - Właśnie wszedł tam Bruno Paulik, komisarz policji. W środku może być jego jedenastoletnia córka. I kobieta... po sześćdziesiątce.

Strażacy zaczęli łać wodę przez okna, a dwóch z nich, w pełnym rynsztunku, z maskami tlenowymi na twarzach, weszło do budynku.

- Znajdą ich. - Marine uspokajała Valère'a.

Wróciła Sandrine, z trudem łąpała oddech.

- Tylne drzwi były szeroko otwarte - wysapała. - Nie mogę tu stać i patrzeć. Wyjeżdżam. Dobrze, że mam kluczyki w kieszeni!

- Co? - wrzasnęła Valère. - Teraz? - Pobiegnęła w stronę wiaty dla samochodów, a w chwilę potem dał się słyszeć silnik Clochette śmigającej w dół podjazdu. - Ona jest taka niestabilna. - Valère potrząsnął głową.

- Każde z nas inaczej reaguje na sytuację - skomentowała Marine. Patrzyła na płonący dom i w duchu odmawiała Modlitwę Pańską.

Verlaque krzyknął, kiedy dwóch strażaków wyszło z budynku, prowadząc między sobą Brunona Paulika z twarzą przykrytą maską tlenową.

- Jak on się czuje? - zapytał Verlaque.

Położyli Brunona na ziemi. Młodszy odparł:

- Znaleźliśmy go u szczytu schodów, nieprzytomnego.

- Próbował wejść na strych - wyjaśnił Verlaque. - Jego córka lubiła się tam bawić.

- Chodźmy - odezwał się jego partner i ponownie wbiegli do domu.

- Pięć minut - zawołał kapitan straży. - Dach może się zawalić w każdej chwili.

Wróciła Hélène i osunęła się na ziemię obok męża.

- Nic mu nie będzie - zapewnił Verlaque, klękając obok. - Poszli teraz szukać Léi.

Dwie minuty później dwaj strażacy wybiegli z domu, zdzierając z twarzy maski. Byli sami.

- Nie udało nam się wejść na strych - powiedział jeden z nich.

Hélène załkała, pochyliła się i przejechała dłońmi po żwirowej posadzce tarasu. Zachwiała się.

- Moje dziecko! - krzyczała, zwijając się z bólu. Wstała i pobiegła w stronę budynku, ale Verlaque szybko ją zatrzymał.

- Hélène, może jej tam nie ma - powiedział, trzymając ją w ramionach.

- Musimy się wycofać - zdecydował kapitan. - Dach za chwilę runie. - I jak na komendę, w całym budynku rozległ się łoskot, któremu towarzyszyły wybuchy iskier i dźwięk walącego się drewna. - No właśnie. Spadają drewniane belki.

- To wszystko moja wina - stwierdził Valère. - Kto za tym stoi? Ona musiała od dawna wiedzieć...

- Co wiedzieć? - zapytała Marine.

Valère wymamrotał:

- Przysięgam, że jeśli Léa wyjdzie z tego cało, wszystko wyznam - przysięgam na Boga...

- Wszystko pan wyzna? - zdziwiła się Marine. Z daleka rozległ się dźwięk klaksonu, który z każdą chwilą narastał. - To

Sandrine.

Jeden ze strażaków podbiegł do samochodu Sandrine, żeby ją upomnieć, że podjechała za blisko płonącego domu.

- Mniejsza z tym! - zawołała, wyskakując z samochodu. Okrążyła auto, by dotrzeć do drzwi pasażera. Otworzyła je. - Chodź, słodziaku - rzekła miękko.

- *Maman!*

- Léa! - krzyknęła Hélène.

Bruno zdarł z twarzy maskę tlenową i powoli wstał, chwiejąc się na nogach.

- Powoli, Bruno - powiedział Verlaque i podbiegł, by mu pomóc.

- Och, dzięki Bogu - rzekła Marine, ściskając Valère'a. Spojrzeli na Paulików, złączonych teraz potrójnym uściskiem.

Sandrine podbiegła do Valère'a.

- Jesteś genialna! - zawołał i ją uściskał. - Gdzie ją znalazłaś? W kaplicy?

- Tak - odparła dziewczyna. Marine spojrzała w dół i zauważyła, że Sandrine jest bosa. A ta mówiła dalej: - Pomyślałam, że Léa mogła tam pobiec, uciekając przez tylne drzwi. To był szczęśliwy traf.

- Dlaczego po prostu nie pobiegła do domu? - zapytała Marine.

- Bała się, że kobieta, która ją goni, domyśli się, dokąd ona ucieknie - wyjaśniła Sandrine. - I ją tam złapie.

- Bystra dziewczuszka - stwierdził Valère.

- A nie było śladów czyjejś obecności? - chciała wiedzieć Marine.

- Nie, ale szybko stamtąd wyszliśmy - odparła Sandrine. - To miejsce przyprawia mnie o dreszcze. Podobnie jak życie na wsi. Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do centrum Aix.

Valère spojrzał na swoją przyboczną i uśmiechnął się. Takie słowa świadczyły o tym, że wyleczyła się z bólu. Nigdy więcej uciekania.

Marine zorientowała się, że nie ma przy niej męża. Rozejrzała się i zobaczyła go przy basenie, rozmawiał przez telefon. Poszła w jego kierunku, po części dlatego, żeby oddalić się od dymu, ale także dlatego, że chciała już jechać do domu.

- *Merci*, Charles-Henri - powiedział Verlaque i się rozłączył.

- Wszystko w porządku? - zapytała. - Trochę późno na telefon.

- Charles-Henri zawsze późno się kładzie. Poprosiłem go o przysługę. - Spojrzał w górę na *bastide*, który teraz był już tylko dymiącą skorupą. - Tam jest kobieta. Jestem tego pewien.

Marine ujęła go pod ramię.

- Myślę, że masz rację - powiedziała. - Jutro dowiemy się więcej. A teraz jedźmy do domu.

* * *

Następnego dnia przez Aix-en-Provence wiał mistral, obniżając temperaturę o prawie dziesięć stopni, co mieszkańcy przyjęli z ulgą. Chociaż nieomal w całym regionie odwołano fajerwerki przygotowane na Dzień Bastyllii. Pożar w La Bastide Blanche został opanowany już wczesnym rankiem, ale z powodu wiatru strażacy trzymali wartę. Z dworu nie pozostało nic oprócz czterech oryginalnych kamiennych ścian. Ścian, na które dziadek Hugues'a de Besse wydał tak dużo pieniędzy.

Tuż po dziesiątej do Verlaque'a zadzwonił Bruno Paulik i powiedział, że w jego rodzinie wszyscy mają się dobrze. Wciąż są wstrząśnięci, ale cali i zdrowi. Léa i Hélène jeszcze śpią w małżeńskim łóżku, przytulone do siebie. Paulik zasugerował, żeby Verlaque i Marine przyjechali do nich po lunchu, bo kapitan straży pożarnej oraz komendant miejscowej

żandarmerii będą musieli przesłuchać wszystkich obecnych. Valère i Sandrine wynajęli pokoje w przydrożnym, sieciowym hotelu niedaleko autostrady i także przyjdą o drugiej.

- Potrzebują ciuchów i przyborów toaletowych - dodał Bruno, podając Verlaque'owi rozmiary potrzebnych ubrań i nazwę hotelu.

- Dobrze - odparł Verlaque i się rozłączył. Zaniósł Marine cappuccino. - Proszę - rzekł, wręczając jej filiżankę, kiedy już usiadła w łóżku i uklepała za sobą poduszki.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się. - Jesteś aniołem.

- Pij. Przed lunchem musimy wpaść do Monoprixu i paru innych sklepów odzieżowych, żeby kupić kilka rzeczy dla Valère'a i Sandrine, a potem pojechać do Brunona.

- Daj mi jeszcze kilka sekund - poprosiła Marine sennym głosem.

- Co za noc - westchnął Verlaque, siadając na brzegu łóżka.

- Wszystko potoczyło się tak szybko.

- Właśnie. - Marine upiła łyk kawy i powiedziała: - Kiedy płaciłeś za kolację w restauracji, zadzwoniła Nathalie. To moja dawna koleżanka, która pracuje w Les Loges. Powiedziała, że przez kilka dni zbierała się na odwagę, żeby do mnie zadzwonić, bo niedawno się rozwiodła i boi się stracić pracę. Po mojej wizycie w szkole Mme Parent, dyrektorka, pobiegła wściekła do archiwów, wykrzykując coś o braku zaangażowania i olbrzymiej nieudolności swoich pracowników. Archiwistka wyjechała na wakacje, ale najwidoczniej zaniedbała sprawę, nie sprawdzając dowodu osobistego tej rzekomej profesor.

- Michèle Baudouin...

- Tak - potwierdziła Marine. - Archiwistka najwyraźniej jej nie rozpoznała. Mme Parent wyrwała teczkę Agathe Barbier jakiejś Bogu ducha winnej podwładnej i otworzyła ją z furją, rozrzucając papiery po całym pokoju. Nathalie powiedziała, że stało się jasne, iż czegoś brakuje.

- Nagrodzonego opowiadania Agathe.

- *Przypadkowego spotkania przy rue du Faubourg* - dodała Marine. - Dla Ursule dowód, że Agathe nie tylko pomagała Valère'owi. Mme Parent powiedziała mi, że Agathe nie miała nic wspólnego z tą książką, ale myślę, że kłamała.

- Dobrze, że zdecydowaliśmy się wczoraj zjeść w Puylobier - stwierdził Verlaque. - Chociaż nie pomogliśmy - ja nie pomogłem - wiele.

- Byliśmy tam. To duża pomoc.

- Więc Michèle musi mieć to opowiadanie ze sobą - stwierdził Verlaque. - Gdzieś w Luberonie.

- Albo zostawiła je w *bastide*...

- A w tym wypadku zniknęłoby na zawsze.

- Może to dobrze - zasugerowała Marine. - Teraz to Valère zdecyduje, czy powie prawdę.

- Dosyć kłamstw - stwierdził Verlaque.

Pomyślał o tym, że Valère oszukiwał Agathe. Ursule i Alphonse Pelloquin oszukiwali Rudderera. Michèle Baudouin oszukiwała Célestine Parent i biedną archiwistkę. A on nieomal oszukał swoją ukochaną żonę. Tylko przez sekundę, ale i tak go to przestraszyło.

- O co poprosiłeś wczoraj Charles'a-Henriego Lagrade'a?

- Mam przecucie, że kogoś przeoczyliśmy - kogoś, kto mógłby zyskać na doprowadzeniu Valère'a Barbiera do szaleństwa. Poprosiłem Charles'a-Henriego, żeby trochę popytał w środowisku. On zna wszystkich w świecie wydawniczym.

- Może opowiesz mi resztę w Monoprixie? - zaproponowała Marine. Zrzuciła z siebie pościel i znieruchomiała. - O rany... Tak.

- Też o niej pomyślałaś, prawda?

- Tak. Teraz to ma sens. - Wyskoczyła z łóżka, otworzyła szufladę i zaczęła wybierać ubrania. - Chodźmy. Na szczęście dzisiaj jest chłodniej. - I zaczęła się śmiać.

- Z czego się śmiejesz?

- Co, u diabła, kupimy Sandrine do ubrania?

Verlaque i Bonnet właśnie skończyli zakupy i szli na parking, kiedy zadzwonił telefon. To był Bruno Paulik. *Cigales* robiły harmider, a ulice wypełniły się ludźmi powracającymi z rynku, którzy idąc, walczyli z wiatrem, a w torbach nieśli długie pory i jeszcze dłuższe słoneczniki. Marine położyła pakunki z Monoprixu obok fontanny i usiadła na jej skraju, a Verlaque odebrał telefon i przywitał się:

- Jak się macie?

- Dziewczyny wróciły do łóżka i znowu śpią - odparł Paulik. - Ale strażacy przez cały ranek pracowali w *bastide*. Mistral im nie pomaga. Przyszli do nas szef straży pożarnej i kapitan żandarmerii, wypiliśmy razem kawę, kiedy Léa była jeszcze na górze. Znaleźli na strychu ciało.

Verlaque usiadł i trzymał telefon pomiędzy nimi, by Marine słyszała.

- Kobieta? - chciał wiedzieć.

- Tak - potwierdził Paulik. - Léa opowiedziała, co stało się wczoraj wieczorem. Weszła do kuchni i wzięła fotografię, ale wychodząc, usłyszała hałasy u szczytu schodów i poszła na strych. Zobaczyła tam kobietę odzianą w jakąś długą, białą, zwiewną sukienkę, która z pewnością miała przestraszyć Valère'a. Kobieta miała odsłoniętą twarz i dziewczynka rozpoznała w niej niewidomą damę z wioski. Léa krzyknęła, a kobieta zaczęła ją gonić. Léa uciekła przez tylne drzwi i biegła do kaplicy, nie zatrzymując się. Nie mogła wiedzieć, że kobieta potknęła się na schodach o swoją długą sukienkę i uderzyła głową w balustradę z kutego żelaza. Szef straży

powiedział, że prawdopodobnie była nieprzytomna, kiedy wybuchł pożar.

- A czy żandarmi przeszukali dom, który wynajmowała w Puylobier?

- Tak. W kuchni znaleźli jej torebkę i dowód osobisty.

- Kim była?

- Monica Pelloquin - odparł Paulik. - Żona wydawcy.

Verlaque spojrział na Marine, a ona skinęła głową.

- Jak udało jej się wyjść z domu i dojść do *bastide*? Myślałem, że dom jest pod obserwacją?

- Miał być - odparł Paulik. - Ale brakowało im ludzi - w Marsylii odbywał się właśnie mecz towarzyski po wygranej Hiszpanii w Pucharze Świata.

- Mecz piłki nożnej - wtrącił Verlaque z westchnieniem. - Francja kontra Wielka Brytania.

- Musieliśmy wysłać tam tylu inspektorów, ilu tylko mogliśmy. Pseudokibice...

- Po obu stronach - dodał Verlaque.

- Wiedział pan o Mme Pelloquin? Nie wydaje się pan zaskoczony.

- Doszedłem do tego wczoraj wieczorem. Nie przestawałem myśleć o jej przezroczyście jasnej cerze, typowej dla kogoś, kto stale nosi kapelusz słoneczny. Daniel de Rudder skierował moją uwagę na niewłaściwą osobę. Myślałem, że to Ursule Genoux lub jej siostra. Ale jednocześnie wydawało mi się, że Mme Pelloquin mogła dużo zyskać, demaskując Valère'a jako literackiego uzurpatora.

- Nie powiedziałbym, że jest uzurpatorem...

Verlaque uśmiechnął się. On także, jako miłośnik wczesnych książek Barbiera, chciał go bronić. Wkrótce się dowiedzą, ile napisał on sam, a ile jego zmarła żona.

- Znajomy z Paryża zadzwonił w kilka miejsc wczoraj późnym wieczorem i dzisiaj wczesnie rano - powiedział. - Jak się wydaje, ludzie z branży wydawniczej i dziennikarskiej są albo sowami, albo skowronkami. W każdym razie Mme Pelloquin rzeczywiście skontaktowała się z kilkoma wydawcami gazet i czasopism i przedstawiała im coś, co nazywała „sensacją stulecia”. Rozmawiała nawet z producentem filmowym. Mogła na tym zarobić wielkie pieniądze i zyskać sławę.

- O roli Agathe musiał jej powiedzieć Alphonse Pelloquin.

- Tak, i Monica prawdopodobnie myślała, że jej mąż i Agathe mają romans. Agathe nie żyje, nie mogła już się na niej zemścić. Ale zamiast niej mogła zaatakować Valère'a.

31

Aix-en-Provence, środa 21 lipca 2010

Marine uniosła kieliszek z szampanem.

- *Santé* - powiedziała, stukając nim w kieliszek męża.

- *Cheers* - odparł Verlaque po angielsku, jak zwykle przy wznoszeniu toastu.

- To bardzo miłe ze strony Jacoba i jego żony, że pozwolili nam tu pomieszkać w czasie ich pobytu w Londynie - powiedziała Marine, patrząc na rzędy fioletowej lawendy ciągnące się aż do basenu.

- Tylko wtedy ma to sens - skomentował Verlaque - kiedy możesz spędzić jakiś czas w miejscu, które chcesz kupić. To idiotyczne, że musimy tak szybko się decydować, gdy kupujemy nieruchomość, a nie możemy nawet jej przetestować. Tak jak samochód podczas jazdy próbnej.

Marine skinęła głową.

- Gdy kupowałam moje mieszkanie w Mazarin, deptało mi po piętach dwoje innych potencjalnych kupców. Musiałam się zdecydować i złożyć ofertę w dziesięć minut. Dłużej się zastanawiam, kupując buty.

Verlaque spojrział do tyłu, na długi, niski, wiejski dom, który przez wieki stopniowo był rozbudowywany.

- Nie jest tak majestatyczny, jak La Bastide Blanche - zauważył.

- I dzięki Bogu.

- Prawdopodobnie nie jest też nawiedzony.
- Naprawdę tak myślisz? - zapytała Marine. - Że Bastide...
- Tak - odparł Verlaque. - Ale nie mów nikomu.
- Ja też tak myślę. Nawet bez trików Moniki Pelloquin zaszło tam zbyt wiele tajemniczych wydarzeń.

- Przedmioty, które zniknęły i pojawiały się z powrotem.

- Jak twoje okulary do czytania.

- Bardzo zabawne - obruszył się Verlaque.

- Przykro mi z powodu sędziego Ruddera.

Verlaque spojrzał na czyste, błękitne niebo i się uśmiechnął.

- Przeżył długie, dobre życie. I cieszę się, że mogłem mu wszystko przekazać, zanim umarł. Odniosłem wrażenie, że poczuł ulgę.

- Trzy osoby nie żyją - zauważyła Marine.

- Niestety, Ursule Genoux nie potrafiła poradzić sobie z poczuciem winy inaczej niż przez przedawkowanie środków nasennych.

- I skoro Ursule i Alphonse Pelloquin nie żyją, nigdy się nie dowiemy, co się wydarzyło na tym jachcie.

- Wiemy wystarczająco dużo - zaproponował Verlaque. - Célestine Parent sporo nam powiedziała. Jej wczorajsza wizyta w Aix okazała się bardzo owocna. - Upił trochę szampana, delektując się tym, jak lekkie bąbelki spływają z jego ust do przełyku. - Ursule opowiedziała Mme Parent, że wyszła w trakcie tego sztormu na pokład i zawołała o pomoc. Miała nadzieję, że pojawi się Alphonse. We mgle nie była w stanie dostrzec, że zbliżająca się do niej wysoka postać ubrana w strój przeciwdeszczowy to Agathe. Ursule odepchnęła ją i dopiero słysząc jej krzyk, zdała sobie sprawę, kim ona jest. Agathe i Pelloquin wcześniej dużo się kłócili, prawdopodobnie o autora widmo. Wraz ze śmiercią Agathe problem Pelloquina się rozwiązał. Ursule powiedziała siostrze, że Pelloquin wyszedł na

dziób i widząc jej przerażenie, natychmiast domyślił się, co się stało. Później ją tyranizował, strasząc, że zgłosi wszystko na policję. Więc oboje milczeli. Mme Parent była wściekła, że opowiadanie Agathe zniknęło w płomieniach.

- To był jej dowód. A teraz Valère opuścił Francję, to całkiem sprytnie posunięcie. Gdzie on dokładnie jest?

- Na Pantellerii - odparł Verlaque, wyjmując z wiaderka z lodem ociekającą butelkę. Ponownie napełnił ich kieliszki i z powrotem usiadł. - Przed wyjazdem powiedział mi, że to Michèle Baudouin poleciła mu tę wyspę. Zamierza tam pisać swój pamiętnik, kiedy już znajdzie nowego wydawcę.

- To brzmi egoistycznie.

- Uporządkował niektóre rzeczy - powiedział Verlaque, wzruszając ramionami. - Mówi o kupieniu tego staroświeckiego sklepu obuwniczego przy rue Thiers, by prowadziła go Sandrine.

- Żartujesz? - zdziwiła się Marine. - Poszłam tam wczoraj po sandały. Z przykrością przyjąłam wiadomość, że zamykają sklep. Kupiłam też sandały dla Charlotte, która teraz powinna być w samolocie do Berlina. - Wypiła odrobinę szampana i spojrzała na swojego męża, który siedział na szezlongu z szeroko rozstawionymi nogami i na wpeł przymkniętymi oczyma. Powoli przesuwiał prawą nogę w przód i w tył. Zwykle tak zrelaksowany czuł się tylko we Włoszech. Dom Jacoba będzie dla nich doskonały. - Polubiłeś Valère'a, prawda?

- On idealnie pasuje do mojego wyobrażenia o wielkim pisarzu - odparł Verlaque. - Inteligentny, zabawny, uprzejmy, roztargniony. Czasem niemądry.

Chrzest opon na zwirowym podjeździe sprawił, że Marine i Verlaque odwrócili głowy.

Verlaque klepnął się w czoło.

- Zaprosiłem Paulików - oznajmił. - Zapomniałem ci o tym powiedzieć. Bruno wspomniał, że będą wieczorem coś

załatwiać w Aix...

Marine szybko wstała i narzuciła sarong na strój kąpielowy.

- Cześć! - zawołał Bruno Paulik, kiedy wyszedł z za rogu domu z lodówką turystyczną w ręku. Za nim pojawiły się Hélène i Léa, każda z nich niosła torbę z zakupami. - Niezłe miejsce - mówił dalej i uśmiechał się szeroko, oglądając dom ze złotawego kamienia z szarobrazowymi okiennicami i wypielegnowanym ogrodem prowadzącym do basenu.

- Myślę, że nam wystarczy - powiedział Verlaque, ściskając dłoń Paulika i składając *bise* na policzkach Hélène i Léi.

- Przywieźliśmy z Aix jedzenie - odezwała się Hélène, wskazując na lodówkę. - Dwa pieczone kurczaki, duża sałatka ziemniaczana, trochę owoców i kilka butelek mojego nowego vermentino.

- I ser, i chleb! - wykrzyknęła Léa, podnosząc torbę.

- O rany, to miejsce jest jak z „Architectural Digest” - stwierdziła Hélène.

- Może za bardzo ekskluzywne? - zapytała Marine, krzywiąc się. Wiedziała, co jej rodzice, a zwłaszcza matka, powiedzieliby na widok tego domu.

Hélène pokręciła głową.

- Nie, nie. Jest eleganckie i stylowe.

- Léa i ja chcemy przetestować ten elegancki i stylowy basen - powiedział Bruno Paulik, obejmując córkę ramieniem.

- Ależ proszę - zachęcił Verlaque. - Jest tu nieprzyzwoicie duży domek basenowy, tam możecie się przebrać. Zaprowadzę was.

- Wejdzmy do domu - Marine zwróciła się do Hélène. - Oprowadzę cię.

Hélène zagwizdała, kiedy znalazły się w obszernej kuchni, którą Jacob wykończył elementami ze stali nierdzewnej i z marmuru karraryjskiego oraz szafkami o barwie jasnego

popiołu. Podłogę pokrywały oryginalne, ciemnoczerwone, terakotowe płytki.

- *Terre cuite* - powiedziała Hélène. - *Super belle*.

- Moja matka uprzedzałaby mnie, jak trudno utrzymać terakotę w czystości - odparła Marine ze śmiechem.

- Moja też. - Hélène postawiła lodówkę w rogu.

- Jak czuje się Léa? - zapytała Marine i otworzyła szafkę w poszukiwaniu kieliszków.

Hélène oparła się o blat i patrzyła na wykuszowe okno z widokiem na ogród.

- Teraz już lepiej. Ale na początku była bardzo smutna.

- Tak, to zrozumiałe. Tamtej nocy... ktoś ją gonił...

Hélène skinęła głową. Uśmiechnęła się, patrząc, jak jej córka skacze do basenu, a za nią Bruno, popchnięty przez Antoine'a Verlaque'a. - Ale była raczej smutna niż roztrzęsiona.

- Och, naprawdę?

Hélène obróciła się do Marine.

- Martwimy się o nią - rzekła. - Powiedziała nam, że będzie jej brakowało przyjaciół z *bastide*.

- Valère'a i Sandrine - zaczęła Marine.

- Nie - zaprzeczyła Hélène. - To znaczy, powiedziała, że za nimi też będzie tęsknić, ale bardziej za swoimi tajemniczymi towarzyszami. Léa nigdy nie była dzieckiem, które ma wymaganych przyjaciół.

Marine poczuła na rękach gęsią skórę i zadrżała.

- Mam mokry strój kąpielowy - wyjaśniła, kiedy Hélène spojrzała na nią z troską.

- Zastanawiamy się, czy nie zabrać Léi do terapeuty - mówiła dalej Hélène - który pomógłby jej uporać się z traumą tamtej nocy. Boże ty mój, nawet ja tego potrzebuję. Bruno mówił mi, że twoja mama badała historię *bastide*. Czy dowiedziała się czegoś interesującego?

- Nic szczególnego.
- No cóż, cokolwiek działo się w tym domu, już minęło.
- Z prochu powstałeś... - rzekła Marine, stawiając na stole cztery kieliszki do wina.

32

Nowy Jork, 23 września 2010

Justin spędził tak wiele czasu, zastanawiając się, jaką restaurację wybrać i jakie zamawiać wina, że nie poszukał miejsca, w którym mogliby zapalić cygaro po kolacji. Instynktownie poprowadził gościa w kierunku rzeki, gdzie przebiegały ścieżki rowerowe, rosły drzewa i otwierały się widoki na Brooklyn. Na szczęście wciąż utrzymywała się przyjemna temperatura, choć minęła już północ. Żaden z nich nie miał ochoty jechać do baru cygarowego na przedmieściach. Po drodze kupili trochę wody gazowanej.

- Czy jesteśmy w Brooklynie? - zapytał Valère, kiedy obcinali końcówki cygar, które wyjął z kieszeni marynarki.

- W Williamsburgu - odparł Justin, z nabożeństwem zapalając swoje cygaro nowiutką zapalniczką.

- Może kiedyś kupisz tu dom? Z czerwonobrazowego piaskowca?

- Mogę o tym pomarzyć.

Valère odchylił się na krześle.

- Czekolada.

- Piernik - stwierdził Justin.

- I ziemia - dodał Valère. - Zawsze ziemia. Czerwona, kubańska ziemia.

- Jak w Prowansji, prawda?

Valère skinął głową.

- Na Pantellerii przeważa skała. Ale z mojego domu widzę Tunezję. Już ci to mówiłem? Zawsze kupuj dom dla widoku - nigdy dlatego, że jest duży albo podoba ci się jego wygląd. To, co widzisz ze środka, wyglądając na zewnątrz, jest ważniejsze. Unosi duszę ku niebu.

- Nie będzie pan tęsknił za La Bastide? - zapytał Justin.

- Nie. Wszystkie te złe wspomnienia - moje i poprzednich mieszkańców - już odeszły.

- Szybko przemknął pan nad tą częścią - powiedział Justin. - Z Hugues'em de Besse i młodymi dziewczętami.

- To zbyt straszne, by nawet o tym myśleć. Marine Bonnet i jej matka zaprosiły mnie pewnego popołudnia i opowiedziały mi o tym. Biedne były tamte dziewczyny.

- A opowiadanie Agathe?

- Też należy już do przeszłości. Michèle powiedziała mi, że zamiast zabrać je do Gordes, zostawiła je w *bastide*, pod materacem łóżka. Do czternastego lipca dała mi czas na podjęcie decyzji o naszej współpracy. Gdybym odmówił, miała wyjawić wszystko dziennikarzom. Ale nie jestem pewien, czy by to zrobiła.

- Może to nie ma znaczenia - powiedział Justin, odwracając się do Valère'a. - To zależy od tego, jaką książkę planuje pan napisać.

- Mówiłem ci - odparł Valère. - Pamiętnik. Rozpoczynający się od mojego dzieciństwa, nauki, poprzez pierwszą pracę w „Le Monde”, aż do pisania.

- A o tym, co wydarzyło się w La Bastide?

- Jeszcze nie zdecydowałem.

- Nie wiem, czy to, co twierdzi Michèle Baudouin, jest zgodne z prawdą, ale ta książka to pańska szansa, by się obronić.

Valère zaciągnął się cygarem, przez chwilę milczał.

- Mówisz, że powinienem się wyświadczyć?

- Tego nie powiedziałem - rzekł Justin. - Ale jeśli Mme Baudouin nadal ma to opowiadanie i jeśli w jej oskarżeniach tkwi ziarno prawdy i pańska żona pomagała panu pisać wczesne książki, to dlaczego nie zachować się przyzwoicie?

- I uprzedzić jej atak?

- Właśnie. Jest pan jedyną osobą, która wie, ile z jej oskarżeń ma potwierdzenie w rzeczywistości. I znowu - gdyby się pan przyznał, poparłbym pana w stu procentach.

- To położyłoby kres mojej karierze - powiedział Valère. - Twoje wydawnictwo nie zarobiłoby na tej książce ani grosza.

- *Au contraire*. - Justin uśmiechnął się, zadowolony, że pamięta francuski zwrot.

- Wyjaśnij. - Valère utkwiał wzrok w swoim rozmówcy.

- Amerykanie uwielbiają konfesjonały - powiedział Justin.

- Francuzi nie!

- Ale to więcej niż konfesjonał. To historia odkupienia.

- Jeżeli jednak to, co twierdziła Ursule i co potwierdza Michèle, jest prawdą, to jestem kłamcą, oszustem.

- Pańskie romanse! Zarobił pan miliony dolarów na swojej umiejętności opowiadania - rzekł Justin. - Jest pan kochany za pańskie powieści i czytelnicy będą chcieli wiedzieć o panu wszystko, nawet jeśli popełnił pan błąd. Tak naprawdę to nawet lepiej, że się pan potknął. To czyni z pana człowieka takiego, jak oni. I nie będzie pan już kłamcą, bo się pan przyzna. Powie prawdę.

Valère zastanawiał się przez chwilę, paląc cygaro.

- Odkupienie jest trudniejsze niż sprawiedliwość, prawda? - odezwał się w końcu. - Odkupienie jest poza prawem. Dochodzimy do niego własnymi metodami i środkami - a przynajmniej taką mam nadzieję.

- Założę się, że dzięki tej książce straci pan niektórych czytelników, ale zyska ich pan dużo więcej.

Valère skinął głową.

- Ja też się założę - powiedział, wskazując na drugi brzeg rzeki - że pewnego dnia będziesz właścicielem jednego z tych czerwono-brązowych domów.

- Byłbym szczęśliwy w jednym z tych małych domów na południu Francji - odparł. - W pobliżu Paulików.

- Młody człowiek, taki jak ty, nie będzie miał nic do roboty w jednym z tych rozsypujących się, starych domów - zaprotestował Valère i machnął ręką.

- Być może ma pan rację - zaśmiał się Justin. - Czy ogień zaczął się w zniszczonych instalacjach?

- Tak i objął włączony grzejnik na wodę, w którym był przeciek.

- I wszystkie te stosy gazet...

- Biedna Monica. Nigdy jej nie lubiłem, ale jednak...

- Dlaczego to robiła? - zastanawiał się Justin, kręcąc głową.

- Czy próbowała doprowadzić pana do szaleństwa?

- Tak, stałbym się wtedy równie szalony jak ona - odparł Valère. - Oszalała z zazdrości. Zawsze dostrzegałem ten rys jej charakteru. Ale była też pazerna, a mogła zarobić dużo pieniędzy, demaskując mnie.

- W jaki sposób tak szybko dotarła do Paryża?

- To tylko trzy godziny pociągiem z Aix - odrzekł Valère. -

Pewnie podsłuchiwała, jak rozmawiam z Sandrine albo z Verlakiem o jego planowanym wyjeździe do Paryża. Teraz wiemy, że Monica ukrywała się w domu nawet wtedy, gdy wszyscy tam byliśmy. A może po prostu miała szczęście i wróciła do Paryża dokładnie w tym czasie, kiedy on się tam pojawił.

- Ursule Genoux najwyraźniej przeżywała katusze - zauważył Justin. - Czy była zakochana w Agathe?

- Nie, nie. Kochała ją, ale nie w taki sposób, jaki sugerujesz. Jeżeli Ursule miała jakieś wątpliwości na temat udziału Agathe w pisaniu moich książek, nigdy się z tym nie zdradziła. Potem jednak jej siostra musiała pokazać jej dokumenty z archiwów Les Loges. Ale wiem z całą pewnością, że Ursule była nawet bardziej oddana Agathe niż mnie. Więc jeśli Agathe nie chciała, by ktokolwiek dowiedział się, że mi pomaga, to Ursule i Célestine musiały to uszanować.

- Szkolna więź.

- Właśnie.

- A Michèle? - zapytał Justin. - Powiedział pan Sandrine, że jest w Gordes, ale ma wrócić.

- Jesteś dobrym słuchaczem, mimo że tak się wierzysz. Kiedy zobaczyłem się z Michèle dwa dni później, nie wydawała się już zainteresowana naszym wspólnym projektem. Producent filmowy w Gordes zarezerwował prawa do trzech spośród ostatnich książek Michèle, planując serial, więc pisanie z przebrzmiałym pisarzem, takim jak ja, już jej nie interesowało. Szczególnie w sytuacji, gdy producent zaproponował jej drobną rolę.

- O rany. Może zagrać samą siebie.

- Tak, nie potrzeba scenariusza. - Valère się roześmiał.

- Ostatnie pytanie, zanim przejdziemy do omawiania pańskiej nowej książki - powiedział Justin. - Sandrine?

- Kupiłem jej sklep obuwniczy. Nie kosztował zbyt wiele, a rodzina, do której należał, była zachwycona. Sandrine wysłała mi pocztówki i kiedy już przebrnę przez jej błędy ortograficzne, mam obrazki jej życia w Aix. Już zarabia na sklepie, a Marine Bonnet zagląda do niej co tydzień, żeby się przywitać. Kiedy próbowaliśmy uwolnić dom od duchów, to zgodnie z tym, czego dowiedziała się Sandrine, oznajmiliśmy im, że ich czas na ziemi

się skończył i że powinny spokojnie odejść w stronę światła. Myślę, że to była mądra porada, nawet jeśli Sandrine znalazła ją na jakiejś kiepskiej stronie internetowej. Lubię myśleć, że kiedy dom się spalił, cały jego ból i straszna historia – łącznie z moją – odeszły wraz z nim.

Valère sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął czarno-białą pocztówkę – trochę nieostrą fotografię przedstawiającą wielki dom.

- La Bastide Blanche? – zapytał Justin, przyglądając się uważnie zdjęciu.

- Tak, Sandrine znalazła ją gdzieś na pchlim targu – odparł Valère. - Przeczytam ci, co jest napisane na odwrocie, bo to po francusku: „W trakcie pożaru La Bastide zdecydowałam, że pozwolę Josy odejść. Kiedy już wiedziałam, że Léa jest bezpieczna. Nagle poczułam się lżejsza, poczułam ulgę, że nie ma piekła ani sądu ostatecznego. Josy jest dobrze tam w górze. I pan, M. Barbier, też powinien tak myśleć o Agathe. Jest bezpieczna i być może patrzy na pana z góry. Pewnie się śmieje. A i tak patrzy”.

- To naprawdę urocze – skomentował Justin. - Czy stracił pan wszystko w pożarze?

Valère wyprostował nogi i sięgnął do kieszeni spodni. Wyjął lnianą chusteczkę i Justin od razu wiedział, co to jest.

- Wszystko oprócz tego – powiedział z uśmiechem.

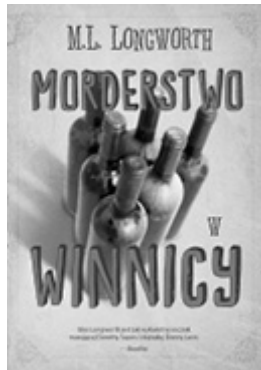
W SERII UKAZAŁY SIĘ:



Śmierć w Château Bremont



Morderstwo przy rue Dumas



Morderstwo w winnicy



Morderstwo na Île Sordou



Tajemnica odnalezionego płótna Cézanne'a



Kłątwa fontanny

www.smakslowa.pl

